

Anne Herries

Szansa
dla dwojga

Tłumaczył
Wojciech Usakiewicz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Kwiecień 1812 roku

Kapitan Jack Denning siedział skulony przy ognisku. Nawet latem wieczory w górach bywają chłodne, a szczyty otula gęsta mgła. Tego wieczoru mgły nie było, lecz mimo to kapitan przemarzył do szpiku kości. Zaczął się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek się rozgrzeje.

- Wciąż pana trzęsie, kapitanie?

Głos jego sierżanta, a zarazem przyjaciela, Brett, sprawił, że podniósł głowę. W świetle hiszpańskiego słońca, które dopiero zaczynało opadać ku powierzchni morza, twarz Denninga miała zboląły, udęczone wyraz. Zwłaszcza przekrwione, podkrążone oczy były wymownym świadectwem choroby i braku snu.

- To ostatnie podrygi gorączki - odrzekł. - Za parę minut mi przejdzie.

- Skoro pan odpoczął, to powinniśmy ruszać na przód - powiedział Brett. - Mamy przed sobą całonocny marsz, jeśli chcemy zdążyć na okręt, który rano odpływa.

- Wiem, sierżancie. Przygotujcie wozy. Ja zajmę się ogniskiem.

Gdy Brett odszedł wykonać rozkaz, Jack wstał. Krzywiąc się, rozsunął czubkiem buta żarzące się szczapy. Jego twarz, kiedyś bardzo pociągająca, była blada i wymizerowana. Włosy, niegdyś starannie przystrzyżone i ufryzowane, były za długie i posklejane od brudu, a zakrwawiony bandaż na głowie nadawał Jackowi wygląd krwiożerczego pirata.

Do diabła, tym właśnie byli oni wszyscy, dzielni zawadiacy. Szumowiny tego świata, jak nazwał ich wicehrabia Arthur Wellington, zwycięzca spod Talevary, dowódca sił brytyjskich na Półwyspie Iberyjskim. Na Boga i diabła, trzeba przyznać, że miał rację.

- Niech Bóg nam wszystkim wybaczy - mruknął Jack, zasypując popiół ziemią. Nie byłoby dobrze, gdyby po ich odejściu ogień znów strzelił w górę. Zbyt wielu wrogów mieli w okolicy. Byli wśród nich ci przekłenci Hiszpanie, którym podobno należała się pomoc. Tymczasem zamiast okazać Wellingtonowi wdzięczność za jego genialną taktykę, która w ostatnich tygodniach owocowała samymi zwycięstwami, hiszpańscy generałowie, urażeni w swej dumie, spowodowali kilka konfliktów. Poza tym niektórym oddziałom guerrilli, włączającym się po tych wzgórzach, było absolutnie wszystko jedno, czy atakują Francuzów, czy Brytyjczyków. - I niech Bóg nas wszystkich przeklnie... ciebie też, Wellington!

Minęło dwanaście dni od zdobycia Badajoz, trzy - odkąd kazano mu zameldować się u dowódcy.

- Wraca pan do domu, Denning. Będzie pan dowodził oddziałem ciężko rannych ludzi, którzy nigdy więcej nie staną do walki. Odpowiada pan za dowieszenie ich na wybrzeże i załadowanie na okręt płynący do Anglii. Sam popłynie pan razem z nimi.

- Moje rany są powierzchowne, sir. Przez kilka dni cierpiałem z powodu gorączki, ale wkrótce odzyskam pełną zdolność do służby. Czy mogę prosić o pozwolenie powrotu do oddziału po załadowaniu rannych na okręt?

- Rozkaz to rozkaz, jeszcze pan tego nie wie?! Regent osobiście zażądał pańskiego powrotu. Zrobił pan już swoje, Denning, i wszyscy wiedzą, jakim kosztem. Za dzielność w obliczu wroga przedstawię pana...

- W obliczu wroga... - Jack uniósł brwi.

- Tak, wroga - powtórzył Wellington. - Obaj wiemy, co zaszło, Denning, i jakie były tego konsekwencje. W kraju panuje skomplikowana sytuacja, więc i tutaj mój los wisi na włosku. Dlatego rozkazuję panu zachować pewne sprawy dla siebie. Wszystko zostanie ujawnione w odpowiednim czasie, ale mam nadzieję, że wtedy będę mógł łatwo sobie z tym poradzić. Rozumie mnie pan?

Jack spuścił głowę.

- Nigdy nie byłem gadułą, sir. Nie jestem dumny z tego, co się stało. Przeciwnie, będę pamiętał tę hańbę do końca moich dni.

- Do diabła, Denning! Nie ma pan powodu się wstyżić. - Wellington gniewnie zmarszczył czoło i przeszył go wzrokiem, przeklinając w duchu tego głupca, który rozkazał mu wysłać kapitana do domu. Denning powinien zostać w Hiszpanii i walczyć do końca kampanii. Tylko w ogniu walki mógłby zapomnieć o potwornościach, których był świadkiem. - Niech pan sobie nie myśli, że wraca na moje życzenie. Jeśli dobrze rozumiem, rozkaz wydał earl Heggan, a pochodzi on bezpośrednio od regenta, dlatego nie mam innego wyjścia, jak go wykonać.

Po tak wyraźnym rozkazie natychmiastowy powrót do Anglii był jedyną możliwością, lecz mimo to rozstając się z dowódcą, Jack kipiał ze złości. Trudno, odpłyń stąd, skoro tak mu kazano, ale za nic na świecie nie wróci do tego samotnego, opuszczonego domu, w którym przyszedł na świat. Jeśli lord Heggan chce porozmawiać z wnukiem, to będzie musiał sam go odszukać.

Już dawno temu Jack poprzysiągł sobie, że nigdy więcej nie postawi stopy w domu ojca, i był zdecydowany dotrzymać tego przyrzeczenia.

- Czy to nie jest przypadkiem list od Beatrice? - spytał pan Bertram Roade, gdy wszedł do salonu późnym popołudniem w czerwcu 1812 roku i zastał młodszą córkę pochyloną nad kartką. - Co ma do przekazania twoja siostra?

- Zaprasza mnie do siebie - odrzekła Olivia, prze-

syłając ojcu uśmiech. Podejrzewała, że papa tęskni za Beatrice znacznie bardziej, niż się do tego przyznaje. - Wkrótce wybierają się z Harrym do Brighton i chcą, żebym im towarzyszyła.

- Aha... - Oczy pana Roade'a, skryte za okularami, zabłyśły. - Zastanawiam się, czy nie byłby to dla mnie dobry moment na rozpoczęcie prac w Camberwell. Od czasu ostatniej rozmowy z Ravensdenem poczyniłem znaczne postępy.

- Bellows przyniósł także list do ciebie, papo - powiedziała Olivia. - Leży na kredensie. Podejrzewam, że jest właśnie od lorda Ravensdena.

- Natychmiast go przeczytam. Harry zawsze pisze takie interesujące listy. To wybitny umysł, doprawdy wybitny.

Pan Roade rzucił się na pakiecik z nieukrywaną przyjemnością, uśmiechnął się do córki i poszedł do gabinetu, zostawiając salon we władaniu Olivii.

Nie od razu wróciła do lektury listu. Odłożyła go na stolik, gdzie leżała już robótka i tomik poezji, który czytała, gdy służący przyniósł korespondencję. List siostry ją zaniepokoił.

Od dnia ślubu przed sześcioma miesiącami Beatrice już kilkakrotnie przysyłała siostrze zaproszenia. Do tej pory Olivia znajdowała różne wymówki, z których najbardziej prawdziwa była ta, że powinna spędzić trochę czasu z ojcem i ciotką Nan.

Z westchnieniem wstała i podeszła do okna. Roade

House stał na niewielkim wzniesieniu, na obrzeżach wsi Abbot Giles. W pogodne letnie popołudnie, takie jak to, z okna było widać kościelną wieżę i kilka dachów wiejskich domów... a w oddali majaczyła szarawa bryła opactwa Steepwood.

Jak złowieszcze wydawało jej się to miejsce! W ostatnich miesiącach zaszły w opactwie wstrząsające wydarzenia, wszystkie zaćmiła jednak ostatnia wiadomość o tym, że markiza brutalnie zamordowano w sypialni jego własną brzytwą.

Olivia zadumała się nad dziwnymi kolejami losu. Minęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd wróciła do domu, by zamieszkać z ojcem i Beatrice w Abbot Giles. Wtedy wszyscy byli poruszeni wiadomością o zniknięciu markizy. Olivia od początku była przekonana, że lady Sywell została zgładzona przez męża brutala i wbrew wszystkim późniejszym, pogłoskom, z których ostatnia odwracała sytuację i przypisywała morderstwo żonie Sywella, wciąż nie była pewna, czy ciało lady Sywell nie zostało ukryte gdzieś na gruntach opactwa.

Olivia ani przez chwilę nie uwierzyła w to, że markiza mogła zabić męża. Jeśli wziąć pod uwagę to, co mówili ludzie, w sypialni rozegrała się walka, markiz zaciekle się bronił. A był przecież silnym i mocno zbudowanym mężczyzną. Kobieta z pewnością nie byłaby w stanie go pokonać.

Nie, pomyślała Olivia. Zbrodni nie mogła popełnić jego żona. Ktokolwiek jednak był sprawcą, musiał do-

brze znać zabudowania opactwa. W okolicy krążyły najbardziej szalone plotki, Olivia uważała jednak, że należy winić jakiegoś wędrownego handlarza, a może służącego, który w swoim czasie został niesprawiedliwie wyrzucony.

Przez ostatnie miesiące mówiono też o złotych suwenach, które markiza ukradła mężowi, uciekając z domu. Trudno było jednak dać wiarę tej plotce, skoro pochodziła prosto z pralni. W każdym razie od pewnego czasu wszystkie okoliczne wsie żyły zbrodnią, którą popełniono wieczorem dziewiątego czerwca.

W gruncie rzeczy nikt nie mówił o niczym innym. Mimo powszechnej niechęci, jaką darzono właściciela opactwa, Sywell był jednak arystokratą, toteż oczekiwano drobiazgowego śledztwa. Niektórzy twierdzili, że sam regent zażyczył sobie otrzymać raport w tej sprawie.

Olivia nie wchodziła na grunty opactwa od tamtego strasznego listopadowego poranka w zeszłym roku, kiedy Sywell wygrażał jej siostrze garłaczem. Choć lord Ravensden odważnym natarciem zdołał odwrócić uwagę markiza, a sama Olivia czynnie go wspomogła i dzięki temu strzały chybiły, to przy okazji omal nie doszło do tragedii, bo Harry spadł z konia. Po tym epizodzie Olivia nabrała głębokiej niechęci do opactwa i jego właściciela, dlatego pilnowała się, żeby tam nie chodzić.

Po ślubie siostry zaprzyjaźniła się z kilkoma kobietami mieszkającymi w okolicy. Szczególnie przypadły sobie do gustu z lady Sophią, córką hrabiego Yardleya,

ale Sophia pojechała na początku roku do Londynu i zaręczyła się z księciem Sharnbrook. Robina Perceval, córka pastora z Abbot Quincey, również była w Londynie. Jednakże w ostatnim liście Robina zawiadamiała, że zaproszono ją do Brighton.

Olivia znowu westchnęła. Głupio było ulegać przygnębieniu bez powodu, ale nie umiała się przed nim obronić. Jeszcze tak niedawno jej życie było całkiem inne, urozmaicone...

- Czy coś się stało? - spytała Nan, stanąwszy za jej plecami. - Wybierz się na spacer. Jest miłe popołudnie, może kogoś spotkasz.

Olivia odwróciła się z uśmiechem do ciotki. Była uroczą panną o delikatnych rysach twarzy, którą okalały włosy o niezwykłym miodowozłotym kolorze. Poza tym Olivia miała niebieskie oczy, czasem przybierające zielonkawy odcień, ale jej urodę w pełni ujawniał dopiero czarujący uśmiech.

- Czy aż tak bardzo widać, że jestem przygnębiona? - spytała, świadoma, że Nan ma dla niej znacznie mniej zrozumienia niż wcześniej siostra. - Wiem, że nie powinnam się smucić, ale tęsknię za Beatrice.

- Nie ty jedna w tym domu za nią tęsknisz - odrzekła Nan z chmurną miną. - Czemu do niej nie pojedziesz? Tak często cię zaprasza.

- Zaproponowała mi, żebym w przyszłym miesiącu towarzyszyła jej i Harry'emu w wyprawie do Brighton. Uważasz, Nan, że powinnam to zrobić?

- Będzie tam wiele twoich przyjaciółek - zauważyła ciotka. - Któregoś dnia i tak musisz podjąć to wyzwanie, Olivio. Nie możesz ukrywać się w tym domu do końca życia... chyba że chcesz całkiem zmarnieć.

- Och, nie. Tego nie chcę - odparła Olivia. - Nie boję się spotkać dawnych znajomych. Zresztą Harry wytłumaczył wszystkim, że do zerwania zaręczyn doszło przez nieporozumienie i rozstaliśmy się w jak najlepszej zgodzie. Dobrze się stało, bo okazało się, że nie kochałam Harry'ego i nie pasowaliśmy do siebie, a on zakochał się w mojej siostrze. Ludzie mogą w to nie wierzyć, ale jeśli Harry tak twierdzi, nikt nie będzie głośno podawał w wątpliwość jego słów. Bądź co bądź, lord Ravensden ma swoją pozycję.

- Pieniądze i władza robią wrażenie prawie na wszystkich - przyznała ciotka. - Jednak nie możesz winić ludzi za to, że byli wstrząśnięci, chociaż teraz muszę przyznać, że postąpiłaś słusznie. Przykro mi, że Burtonowie tak surowo cię potraktowali, moja droga. To było z ich strony bardzo małostkowe - wyrzucić cię z domu tylko dlatego, że nie zgodziłaś się poślubić lorda Ravensdena. Tkwiąc tutaj na odludziu, niechcący sprawiasz Burtonom satysfakcję. Lord Ravensden przepisał na ciebie niemałą sumę. Możesz z niej teraz skorzystać. Pokaż tym wszystkim plotkarzom, że się nimi nie przejmujesz. - Uśmiechnęła się do Olivii. - Wiem, że czasem wydają ci się znacznie mniej wyrozumiała, niż twoim zdaniem powinnam być, ale to tylko mój sposób by-

cia. Naprawdę bardzo chciałabym widzieć cię szczęśliwą, a dużo ci do tego brakuje.

- Próbuję cieszyć się tym, że jestem tutaj z tobą i papą, Nan - powiedziała Olivia. - Naprawdę. Ale mam takie poczucie, jakby wszyscy ludzie z okolicy wyjechali do Londynu albo do Brighton. Jestem przyzwyczajona do towarzystwa, więc samotność łatwo mnie nuży.

- Nie wszyscy - sprzeciwiła się ciotka. - Dzisiaj rano widziałam we wsi Annabel Lett. Prosiła, bym przypomniała ci, że obiecałaś ją odwiedzić i przynieść książkę z bajkami dla jej córeczki.

- Masz rację - przyznała Olivia, pogodniejąc. - To bardzo ładna książka. Uwielbiałam ją w dzieciństwie, więc przywiozłam tutaj ze sobą. Dziękuję za przypomnienie, Nan. Natychmiast pójdę do Annabel, tylko włożę czepek.

- Świetnie, a po powrocie możesz odpowiedzieć siostrze na list. Napisz, że z przyjemnością pojedziesz z nią do Brighton.

- Zgoda. - Pod wpływem nagłego impulsu Olivia cmoknęła ciotkę w policzek. - Dziękuję za dobrą radę, Nan. Może było mi potrzebne małe kazanie. Papa jest zawsze taki wyrozumiały...

- I tak bardzo pochłonięty swoją pracą - dodała ciotka. - Ani on, ani ja nie jesteśmy odpowiednim towarzystwem dla panny w twoim wieku, Olivio. Naturalnie jesteś dla nas ważna, ale możemy ci dać tylko tyle. Swoje życie musisz urządzić sama, a nie wierzę, że-

byś znalazła przyjemność w robieniu przetworów albo pieczeniu.

Olivia wybuchnęła śmiechem.

- Gdybym umiała piec tak jak Beatrice, może nawet uważałabym to za całkiem ciekawe zajęcie. Niestety, moich wypieków nie chcieliby jeść nawet chłopcy farmera Ekinsa.

- Pewnie mogłabyś się z czasem nauczyć, tylko po co? Nie, moja droga. Sądzę, że powinnaś jechać do Brighton z Beatrice i lordem Ravensdenem. Może tam uda ci się wymyślić, co zrobić ze swoim życiem.

- To miłe, że chciało ci się przyjść taki kawał drogi - powiedziała Annabel. - Rebecca z przyjemnością posłucha tych bajek, a drzeworytami będzie zachwycona. Ona nigdy nie widziała takiej książki. Mnie nie byłoby stać, żeby coś podobnego kupić.

Książka zawierała kilka rytowanych ilustracji przedstawiających postaci i sceny z baśni, niektóre były nawet ręcznie kolorowane.

- Cieszę się, że mogę jej to dać - powiedziała Olivia z uśmiechem. - Jako dziecko spędziłam na oglądaniu tej książki wiele godzin. Czy Rebecca leży w łóżeczku?

- Tak, położyłam ją tuż przed twoim przyjściem. Właśnie ucina sobie popołudniową drzemkę.

- To lepiej jej nie przeszkadzajmy.

- Wypijesz ze mną herbatę, zanim pójdziesz, prawda?

- Dziękuję, chętnie. - Olivia usiadła. - Wiadomość o markizie Sywellu była wstrząsająca, czyż nie?

- To prawda. - Annabel pokręciła głową. - Ludzie tyle o tym mówią, że trudno się zorientować, co jest prawdą, a co fałszem.

- Mojej ciotce powiedziano, że on był... całkiem nagi.

- Słyszałam o jeszcze bardziej gorszących szczegółach. Większości z nich nawet nie śmiem wspomnieć. Sądzę zresztą, że są nieprawdziwe, ale wygląda na to, że odbyła się tam zażarta walka.

- Ja też tak słyszałam.

- Morderca musiał być cały zakrwawiony.

Olivia zadrżała.

- Och, lepiej pomówmy o czym innym.

- Naturalnie. Co słychać u lady Ravensden? Czy ostatnio pisała?

- Właśnie dzisiaj Bellows przyniósł list. Beatrice ma się dobrze i jest bardzo szczęśliwa. W przyszłym miesiącu oboje z lordem Ravensdenem jadą do Brighton. Zaproсили mnie, żebym im towarzyszyła.

- To miło - powiedziała Annabel. - Masz szczęście, że ci się nadarza taka okazja, Oliwo.

- Owszem. Gdyby Beatrice nie zakochała się w lordzie Ravensdenie, nasze życie potoczyłoby się zupełnie inaczej. Teraz mamy więcej służby i naprawdę niczego nam nie brakuje. Moja siostra i lord Ravensden są bardzo szczodrzy.

- Tak... - W oczach Annabel pojawił się dziwny wyraz. Zabębniła palcami o poręcz fotela. - Nikt się nie spodziewał ślubu twojej siostry.

- Beatrice chyba w ogóle nie myślała o małżeństwie, dopóki nie poznała lorda Ravensdena. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Annabel skinęła głową. Znow zwróciło uwagę Olivii, jak zadumany wyraz przybrała jej twarz. Zdawało się, że Annabel odpłynęła myślami bardzo, bardzo daleko. Może wspominała męża, którego straciła? Nigdy o nim nie rozmawiały, mimo że ich przyjaźń stawała się coraz bliższa. Annabel chyba nie chciała rozmawiać o przeszłości, a Olivia wykazywała dość taktu, by nie zadawać wścibskich pytań.

- Ciocia Nan uważa, że powinnam pojechać do Brighton - powiedziała. - Jej zdaniem należy stawić czoło plotkom. Naturalnie ona nawet nie wie, jak okrutne potrafią być wielkie damy. Przypuszczam, że niektóre w ogóle nie będą chciały ze mną rozmawiać.

- Ale nie będziesz się nimi przejmować, prawda? Lady Ravensden na pewno jest wszędzie przyjmowana... Czy nie sądzisz, że większość ludzi jest ci gotowa wszystko wybaczyć?

- Może i tak. Zresztą tych, którzy nie są gotowi, będę po prostu ignorować - odparła zuchowato Olivia. - A teraz powiedz mi, jak ci się podobało kazanie wielbnego Hartwella w ubiegłą niedzielę?

Tego wieczoru Olivia wracała do domu bardzo zadumana. Było ciepło i pogodnie, gdy szła wzdłuż murów opactwa. Jakże dziwna wydała jej się myśl, że zabudowania są całkiem opuszczone, mieszka tam jeszcze chyba tylko Solomon Burneck. Przypuszczalnie kamerdyner markiza wciąż trwał na swoim posterunku i czekał, by przekazać nieruchomość w ręce następnego właściciela.

Ale do kogo teraz należy opactwo? Tego Olivia nie wiedziała. Każdy miał inne zdanie na temat przyszłych losów posiadłości, aczkolwiek wydawało jej się, że miejscowi w większości chcieli, by Steepwood wróciło do rodziny lorda Yardleya.

Wiele zależało od tego, czy uda się znaleźć dziedzica, a. ponieważ wyglądało na to, że nikt nie zna krewnych markiza Sywella, pole do spekulacji było duże, a rozwiązywanie sprawy miało zapewne potrwać jeszcze wiele miesięcy.

Los opactwa Steepwood nie zajmował jednak jej myśli długo. Bardziej interesowało ją, co zrobić ze swoim życiem.

Odkąd lord Burton odesłał ją na wieś, starała się nie rozpamiętywać jego małoduszności. Bardzo uważała, aby nie rozczulać się nad sobą, nie miało bowiem sensu rozpaczać nad nieodwracalną szkodą.

Początkowo próbowała dopasować się do wolnego rytmu życia w Abbot Giles. Bardzo polubiła drogiego papę, bo jak można by go nie lubić? Wyczuwała, też, że przez brak umiejętności przydatnych w kuchni i spi-

zarni jest dla ciotki gorszą towarzyszką niż Beatrice, chociaż Nan okazywała jej wiele życzliwości i dogadywały się wcale nie najgorzej.

Olivia właściwie nie była nieszczęśliwa, tyle że drażył ją dziwny niepokój. Nie miała dość zajęć, by wypełnić czas, bo teraz ani ona, ani Nan nie musiały robić tyle co wtedy, gdy służba składała się wyłącznie z Lily, Idy i naturalnie Bellowsa.

Wychowano ją na damę. Nauczono czytać, pisać i liczyć. Znała trochę historię, wiedziała co nieco o sztuce i muzyce i pięknie haftowała. Umiała grać na fortepianie i harfie, a także śpiewać i nawet rysować.

Może gdyby poślubiła mężczyznę z tytułem, z czasem stałaby się cenioną panią domu, a w jej salonie spotykałoby się artyści, poeci i politycy. Wiedziała jednak, że teraz jest to mało prawdopodobne. Zerwała zaręczyny z mężczyzną o wysokiej pozycji społecznej i nie spodziewała się kolejnej szansy, albowiem dżentelmeni nie lubili wystawiać się na pośmiewisko i większość z nich wolałaby nie ryzykować bliższej znajomości z kimś, kto może tak haniebnie się zachować. Ponadto postanowiła przecież, że jeśli wyjdzie za męża, to tylko z miłości za człowieka, który będzie odwzajemniał jej uczucie. Taką parą byli Harry i Beatrice.

Jeśli zrezygnowałyby z małżeństwa, to co miała ze sobą zrobić? Była bystra, rozumiała więc, jak bardzo niekompletna jest jej edukacja. Wiedziała znacznie mniej niż Beatrice, choć należało pamiętać, że jej

siostrę uczył w domu ojciec, bardzo niezwykły człowiek.

Naturalnie teraz mogła się uczyć i nawet zaczęła pożyczać książki z biblioteki ojca, takie książki, których dawniej za nic by nie wzięła do ręki. Mimo że starała się zająć umysł, wciąż towarzyszył jej niepokój. W gruncie rzeczy była bardzo uczuciową panną i potrzebowała ujścia dla miłości, która w niej drzemała.

Olivia była bardzo wdzięczna Harry'emu Ravensdellowi za przepisanie na jej nazwisko dziesięciu tysięcy funtów. Dla niej oznaczało to bowiem, że nie ma potrzeby się śpieszyć z podejmowaniem życiowych decyzji... a mimo to tęsknie wyczekiwała, żeby coś się zdarzyło. Gdyby urodziła się mężczyzną, może spróbowałaby podjąć pracę, ale kobieta miała pod tym względem bardzo niewielkie możliwości. Życie guwernantki lub damy do towarzystwa było otepiające i znacznie mniej przyjemne niż to, które Olivia wiodła teraz.

- Jesteś wybredna i kapryśna - skarciła się na głos.
- Niczego ci nie brakuje... no, może odrobiny mocniejszych przeżyć i małego romansu.

Gdyby tylko była mężczyzną! Natychmiast wstąpiłaby do wojska i wyruszyła walczyć na Półwyspie Iberyjskim razem z innymi śmiałkami

Noworoczne wystąpienie regenta w parlamencie dotyczyło głównie błyskotliwych zwycięstw Wellingtona w Hiszpanii. Jedno z ostatnich, pod Badajoz, rozentuzjzmowało nawet papę, który przeczytał o nim w gazecie.

- Oblężenia Badajoz próbowano kilka razy - powiedział jej potem - ale nasi żołnierze nie mieli odpowiedniego sprzętu, zwłaszcza do kruszenia murów. Tym razem Wellington wsadził ludzi w Lizbonie na okręty, a potem małymi łodziami wyprawił ich rzeką w górę, aż do Alcacer do Sal. Po zażartej walce udało im się dokonać wyłomu w murach Badajoz. A możesz mi wierzyć, że lord Wellington na tym nie poprzestanie. Ani się obejrzymy, jak przepędzi Francuzów z całej Hiszpanii i Portugalii.

Heroizm żołnierzy, którzy odnosili takie zwycięstwa, wywierał na Olivii wielkie wrażenie. W głębi serca bardzo tęskniła za przygodą. Jak cudownie musi być walczyć i zwyciężać dla własnej chwały i potęgi Anglii.

Zbliżając się do Roade House, westchnęła. Wiedziała, że jest mało prawdopodobne, by kiedykolwiek przyszło jej opuścić granice ojczyzestego kraju. Mogła liczyć najwyżej na odwiedziny u siostry i lorda Ravensdena, a resztę czasu spędzać w miarę możliwości pracowicie w domu, z Nan i papą.

- Wydaje mi się to niesprawiedliwe, że oboje wyjeżdżamy i zostawiamy cię tu samą - powiedziała Olivia do Nan, całując ciotkę w policzek. Od jej wizyty u Anabel minął ponad tydzień. - Czy jesteś pewna, że nie zmienisz zdania i nie pojedziesz z nami? Beatrice na pewno bardzo ucieszyłby twój widok.

- Byłam u Beatrice przez kilka dni na Wielkanoc -

powiedziała Nan. - Tu jest mi całkiem dobrze, Olivio. Jak tylko z Bertramem wyjedziecie, wezmę się do robienia przetworów.

- Za tydzień wrócę do domu - dodał pan Roade. - Chyba że Ravensden zażyczy sobie, abym rozpoczął pracę nad naszym projektem. Ale tobie rzeczywiście będzie tu wygodnie, siostrzo. Olivia nie może podróżować sama, mimo że Ravensden przysłał po nią swój powóz i służących.

Olivia skwitowała uśmiechem troskliwość ojca. Po tym, jak lord Burton wyrzucił ją z domu, przyjechała do Northampton publicznym dyliżansem, a z Northampton do Abbot Giles wozem i nic złego jej się nie stało, chociaż była niemiłosiernie poobijana i cała obołała. No, i bała się, że pęknie jej serce. Życzliwość siostry szybko pomogła jej się pozbierać. Teraz była bardzo wdzięczna rodzinie za to, że tak się nią zajęli.

- Rozpieszczasz mnie, papo - powiedziała, przyjmując pomoc służącego lorda Ravensdena przy wsiadaniu. - Chyba powinniśmy ruszać. Stangret na pewno woli, żeby konie nie stały bezczynnie.

- Naturalnie, nie ma sensu czekać. - Pan Roade przesłał jej promienny uśmiech. - *Au revoir*, Nan. Jestem pewien, że wrócę, zanim zdążysz, za mną zatęsknić. - Wsiadł do powozu i zajął miejsce naprzeciwko córki. - Muszę przyznać, że bardzo chcę zobaczyć się z Beatrice i Ravensdenem. Harry napisał mi, że znalazł rysunki latającej maszyny, o których wspominał przed kilkoma miesiącami. To powinna być doprawdy interesująca wizyta!

Olivia pomachała ciotce ręką przez okno powozu. Upodobanie ojca do dziwacznych wynalazków było, w jej mniemaniu, trochę niepokojące. Wprawdzie po ostatnim wybuchu ojciec nie próbował jeszcze zainstalować nowego modelu kotła w Roade House, ale zdążył już jej powiedzieć, że jego zdaniem miejscowy kowal nie wypełnił instrukcji, jakie dostał przy zleceniu.

- Winę ponosi w całości marny wykonawca - stwierdził autorytatywnie. - Wspomniałem Ravensdenowi o swoim podejrzeniu w tym względzie, a on przyznał mi rację. A jeśli jego lordowska mość uważa, że powinienem kontynuować eksperymenty, bo warto, to w Camberwell zainstalujemy ogrzewanie, do którego kotły każemy wykonać w jednej z tych nowych odlewni żelaza. Może wtedy wreszcie będą takie jak w projekcie. Ufam bowiem, że przyjęta przeze mnie zasada jest słuszna.

- Na pewno masz rację, papo - przyznała Olivia, chociaż z teorii pana Roade'a nie rozumiała więcej niż kilka słów. - Ja w każdym razie cieszę się przede wszystkim na spotkanie z Beatrice. Wieki minęły, odkąd się ostatnio widzieliśmy.

- Nareszcie! - zawołała Beatrice od sekretarzyka, gdy Oliwię i ojca wprowadzono do salonu. Natychmiast podbiegła do nich z wyciągniętymi ramionami i uściśkała kolejno jedno i drugie. - Jak się cieszę, że cię widzę, papo, i ciebie, moja najdroższa siostró!

- Pięknie wyglądasz, moja droga - powiedział pan Roade. - Rzekłbym, że kwitnąco. A gdzie jest Raven-sden? Bardzo chciałbym obejrzyć te rysunki, o których pisał.

- Och, gdzieś go wezwano w ważnej sprawie. - Właśnie w tej chwili odgłos kroków w sieni oznajmił powrót Harry'ego. - Ale słyszę, że już jest w domu.

Znów wybuchło powitalne zamieszanie. Harry cmoknął Olivię w policzek i uścisnął dłoń teściowi. Po krótkiej wymianie zdań obaj panowie wycofali się do gabinetu, a Olivia została z Beatrice.

- Papa ma rację - powiedziała Olivia. - Bardzo dobrze wyglądasz, najdroższa.

- Bo i czuję się znakomicie - odrzekła Beatrice i znowu uściskała siostrę. - Usiądź ze mną, proszę, i powiedz mi dokładnie, co nowego w domu.

- Doniosłam ci w ostatnim liście, że lady Sophia ma narzeczonego, prawda? I o tych strasznych wydarzeniach w opactwie też ci pisałam?

- Tak. Nie będę udawać, że przykro mi z powodu marnego końca markiza Sywella. On musiał mieć wielu wrogów... jeśli choćby połowa historii o jego bezecnym zachowaniu wobec żon kupców i wieśniaków była prawdziwa. Z pewnością niejeden mąż i narzeczonego pragnął jego śmierci.

- Tak - zgodziła się z nią Olivia. - Ludzie przypuszczają nawet, że zbrodni mogła dokonać sama lady Sywell, osobiście jednak w to nie wierzę.

- Ja też nie - skwapliwie potwierdziła Beatrice. - Gdyby chciała go zabić, z pewnością zrobiłaby to przed ucieczką z domu... jeśli w ogóle z niego uciekła. - Zmarszczyła czoło. - Zawsze żałowałam, że nie udało nam się dokończyć przeszukiwania terenu.

- Po tym incydencie z Sywellem, kiedy chciał zastrzelić ciebie i Harry'ego, było to niemożliwe.

- No, naturalne. - Beatrice pokręciła głową. - Mniejsza o to, przestańmy się zajmować ponurymi sprawami. Prawdę mówiąc, chciałam przede wszystkim usłyszeć, co u ciebie, Olivio. Czy masz dużo nowych znajomych w okolicy? Czy dobrze ci się mieszka w domu?

- Owszem, mam znajomych. Niedawno byłam u Annabel Lett, a nie dalej jak wczoraj rano odwiedziłam Amy Rushmere. Obie przesyłają ci serdeczne pozdrowienia. Mam wrażenie, że wiele osób w okolicy tęskni za tobą, Beatrice.

- Piszę do wszystkich tak często, jak tylko mogę - odrzekła Beatrice z uśmiechem. - Nie mam za dużo czasu. Harry i ja byliśmy w Ravensden i jego posiadłościach na północy, a potem spędziliśmy kilka tygodni w Londynie. Szkoda, że z nami nie pojechałaś. Niejednemu raz pytano o ciebie.

Olivia się zarumieniła.

- Cieszę się, że są ludzie, którzy chcą pozostać moimi przyjaciółmi.

- Sama się przekonasz, że większość myśli o tobie bardzo życzliwie - odrzekła Beatrice z prawie niezauważalnym uśmiechem.

uważalnym grymasem na twarzy. - Kilkakrotnie mówiono mi, że lord Burton postąpił wobec ciebie niewłaściwie. Zresztą lady Burton nie widziano w Londynie od wielu miesięcy. O ile wiem, zamieszkała w Bath i spotyka się tylko z kilkoma najbliższymi osobami.

- Biedna lady Burton - zauważyła Olivia, przejęta współczuciem. - To przecież nie była jej wina. Skoro kazano jej zerwać wszelkie związki ze mną, nie pozostało jej nic innego, jak usłuchać.

- Myślę, że ona cierpi z tego powodu - powiedziała Beatrice. - Gdybyś miała okazję, Olivio, może spróbowałabyś się z nią pogodzić.

- Chętnie, o ile ona by tego chciała. Wiedz, że o wybaczenie błagać nie będę. Nadal uważam, że postąpiłam słusznie, i chyba się z tym zgodzisz.

- Naturalnie. Zresztą Harry twierdzi, że wina leży w całości po jego stronie. Powinien był od razu odmówić lordowi Burtonowi, kiedy ten zaproponował mu małżeństwo z rozsądku. Wszystko przez to, że bardzo cię lubił. I lubi cię nadal.

- Tak, ale kocha ciebie. - Olivia uśmiechnęła się do siostry. - Gdybym go poślubiła, a wy poznalibyście się na ślubie...

- Sprawy ułożyłyby się inaczej - powiedziała Beatrice i roześmiała się, widząc przekorny błysk w oczach Olivii. - No, może uczucia byłyby takie same, ale nie mogliśmy im ulec.

- W każdym razie dobrze się stało, że zerwałam za-

ręczyny z Harrym, a on przyjechał za mną do Abbot Giles, prawda?

- Nie mogę się nie zgodzić. Bardzo się cieszę, że nie złamały cię groźby lorda Burtona. Chyba nigdy nie będę w stanie wystarczająco ci podziękować. - Pochyliła się i pocałowała siostrę. - Chcę, żebyś i ty była szczęśliwa.

- Jestem szczęśliwa, że się widzimy. Tęskniłam za tobą, Beatrice.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Tylko nie mów mi, Olivio, że nie chcesz wyjść za mąż. Gdybyś poznała radość bycia szczerze kochaną, na pewno przestałabyś z niechęcią myśleć o małżeństwie.

- To możliwe. - Olivia widziała, że oczy siostry błyszczą szczęściem. - Obawiam się jednak, Beatrice, że jestem zbyt wybredna. Lord Ravensden nie był jedynym dżentelmenem, który mi się oświadczył. Żadnego z kandydatów do ręki nie lubiłam dostatecznie, by się nad nim poważnie zastanowić. Właściwie wolałabym chyba, żeby wszystko zostało tak jak teraz.

- Jedynie dlatego, że jeszcze nie spotkałaś odpowiedniego mężczyzny - zapewniła ją siostra. - Możesz mi wierzyć, najdroższa, że gdy się zakochasz, będziesz o tym wiedzieć. Zorientujesz się od razu, gdy tylko spojrzysz mu w oczy.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Czy panie mi wybaczą, jeśli nie będę im towarzyszył do Brighton? - Harry przeniósł wzrok z żony na Olivię. Minę miał skruszoną. - Papa i ja mamy jeszcze wiele spraw do omówienia, ale solennie przyrzekam, że stawię się w Brighton za tydzień.

- Możemy poczekać, aż będziesz mógł z nami pojechać - zwróciła mu uwagę Beatrice. - Nie mamy nic przeciwko odłożeniu podróży o kilka dni.

- Doprawdy nie widzę powodu, żeby pozbawiać was tylu przyjemności - odpowiedział Harry z uśmiechem. - Sądziłem, że uwiniemy się z papą szybciej, ale wciąż pozostaje mnóstwo do przedyskutowania. Będziesz całkiem bezpieczna, najdroższa Beatrice. W drodze zajmą się wami lokaje i twoja osobista służąca. A w Brighton na pewno spotkacie z Olivią wielu znajomych i całkiem zapomnicie o mojej nieobecności.

- Czy widziałaś kiedyś równie prowokującego mężczyznę? - spytała Beatrice, a Olivia wybuchnęła śmiechem. - Niech tam, milordzie. Postąpimy tak, jak sobie życzysz. Nie chciałabym ani tobie, ani papie zepsuć zabawy. Wyruszymy więc według planu jutro rano, ale

oczekujemy, że za tydzień niezawodnie do nas dołączysz, prawda, Olivio?

Olivia skwitowała uśmiechem ich przekomarzania. Widać było, że kochają się jak szaleni, lecz czasem mimo to bezlitośnie sobie docinali. Olivia wiedziała, że taki związek jest nie dla niej. Nie była pewna, czego właściwie chciałaby dla siebie, ale zdawało jej się, że wymarzony mężczyzna powinien być inny... poważniejszy, może nawet bohaterski.

- Trudno, zostawię cię teraz, żebyś mogła powiedzieć, co o mnie sądzisz - stwierdził Harry z figlarnym błyskiem w oku. - Papa wymyślił znakomity projekt ogrzewania grawitacyjnego i mamy iść do wschodniego skrzydła, aby zastanowić się, od czego najlepiej rozpocząć instalację. To doprawdy ekscytujące zajęcie.

Wyszedł, zostawiając siostry w rozświetlonym słoncem salonie z widokiem na rozarium. Był to ulubiony pokój Beatrice w tym domu. Olivia spojrzała na siostrę dość zdziwiona.

- Jak możesz spokojnie znieść myśl o tym, że twój dom zostanie obrócony w gruzy?

Beatrice uśmiechnęła się.

- Wschodniego skrzydła w ogóle nie używamy, bo jest bardzo zimne. Papa nie może narobić tam szkody. Zresztą widziałam jego nowe projekty. To ogrzewanie naprawdę może zadziałać. Pomysł polega na tym, że woda sama reguluje swój poziom. Harry dokładnie mi to wytłumaczył. Mniej więcej na tej samej zasadzie

tworzy się wodospady podziwiane w ogrodach. Kiedy woda spada do sadzawki, zastanawiamy się, w jaki sposób wraca na górę. A to samo ciśnienie wody pompuje ją do góry i...

- Och, nie trudź się. Z teorii papy nigdy nie zrozumiałem więcej niż kilka słów.

- To dlatego tylko, że nie masz przywileju korzystania z wyjaśnień Harry'ego - odpowiedziała wesoło siostra. Często rozmawiamy o takich sprawach.

- Naprawdę? - Olivia spojrzała na siostrę z podziwem. - Jak ty możesz to wytrzymać?

- Lubię słuchać. Zawsze fascynowało mnie działanie umysłów innych ludzi. Pewnie dlatego uwielbiam plotkować.

- Ach, plotki. - Olivia parsknęła śmiechem. - To zupełnie co innego. Dostałam list od Sophii z Londynu. Czy słyszałaś ostatnie nowiny o Caroline Lamb i lordzie Byronie? Ona jest doprawdy bezwstydna! Wszyscy o tym mówią...

Olivia przebierała się do kolacji bardzo zamyślona. Po tygodniowym pobycie w Camberwell przestała powątpiewać w szczęście siostry Beatrice nie spędzała już wielu godzin w kuchni przy garnkach, nie sprzątała, ale i tak w całym domu było widać jej rękę. Służba niewątpliwie ją szanowała, a dom był prowadzony bez zarzutu, mimo że - co nieczęste - panowała w nim atmosfera ciepła i życzliwości.

Olivia przypuszczała, że mogłaby być szczęśliwa w takim domu jak Camberwell, najmniejszej z posiadłości lorda Ravensdena. Również poślubienie mężczyzny, którego kochałaby i podziwiała, mogłoby ją uszczęśliwić. Jednak jej buntowniczy duch wciąż tęsknił za przygodą.

Zaczęła rozumieć, że wzorowe wychowanie, jakie odebrała, jest sprzeczne z jej prawdziwą naturą. Lady Burton była nerwową, słabą kobietą i układała ją na swoje podobieństwo, ale Olivia widziała, jak z każdym mijającym dniem zmienia się jej obraz świata.

Mimo to miała poczucie, że jeszcze nie zna prawdziwej Olivii. Naturalnie panna, która uwielbiała tańczyć do białego rana i flirtować z dżentelmenami prawiącymi komplementy, wciąż istniała. Olivia przypuszczała jednak, że wkrótce powinno się zmaterializować jej drugie ja.

- Gdyby tylko zdarzyło się coś ekscytującego - po-
-iedziała do siebie, przygotowana do zejścia na kolacje. - Gdybym mogła się zakochać tak jak Beatrice. -
Roześmiała się ze swoich marzeń. W Brighton najprawdopodobniej spotka tych samych dżentelmenów co w Londynie, a żaden z nich nie wzbudził dotąd jej zainteresowania.

- Na co czekasz, Olivio? - spytała swojego lustrzanego odbicia. Przypomniały jej się słowa wiersza. Rycerz samotnie błędzący po zażartej bitwie... oczekujący, że piękna dama przywróci go do życia, rozpędzi cię w idoczny w jego oczach... - Gdzie jesteś, rycerzu?

Doprawdy miała w głowie pełno romantycznych banialuk! Dlaczego nie mogła się zgodzić na poczciwego, szczodrego mężczyznę? Dlaczego zawsze musiała szukać czegoś więcej?

Uznawszy swoje tęsknoty za niedorzeczne, wzięła jedwabny szal i poszła na dół, gdzie zapewne już na nią czekano.

Olivia westchnęła i wyjrzała przez okno powozu. Były w drodze już trzy dni, przerwały bowiem podróż na dwie doby, by spędzić je u lorda i lady Dawlishów, wielkich przyjaciół Harry'ego i Beatrice, którzy mieszkali w pobliżu starej wsi Bletchingley w hrabstwie Surrey. Dochodziło południe, co oznaczało, że od ich wyjazdu upłynęły ponad trzy godziny. Wkrótce należało się spodziewać postoju i zmiany koni na stacji pocztowej.

- Hej, Kto tam?!

- Co się stało? - Beatrice spojrzała ze zdziwieniem na stangreta, który gwałtownie zatrzymał konie. - Czy widzisz coś, Olivio?

Siostra wyjrzała przez okno.

- Nie można przejechać. Zdaje się, że komuś odpadło koło od powozu.

- Ojej, a to pech - powiedziała Beatrice. Do wnętrza powozu zajrzał stajenny. - Czyżby podróżnym przed nami zdarzył się wypadek, Dorkins? - spytała.

- Obawiam się, że tak, milady - odpowiedział mło-

dy chłopak. - Musimy się zatrzymać i pomóc odbloko-
wać drogę.

- Wobec tego możemy wysiąść i rozprostować ko-
ści - orzekła Olivia, wyciągając rękę. - Proszę mi po-
móc, Dorkins. Potrzebuję trochę ruchu.

Zatrzymali się na wąskim odcinku drogi, w miejscu,
gdzie po obu jej stronach ciągnął się gęsty las. Jeden
rzut oka na ciężki powóz przechylony na bok z powodu
utruty przedniego koła, wystarczył Olivii, by wywnio-
skować, że przymusowy postój potrwa przynajmniej
kilkanaście minut. Służba z obu pojazdów krzątała się
i próbowała wymyślić, jak najwygodniej ściągnąć usz-
kodzony powóz z drogi.

Beatrice wyjrzała przez okno i zobaczyła oddalającą
się Olivię.

- Dokąd idziesz, najdroższa?

- Rozprostować nogi. Nie martw się, nie odejdę
daleko.

Olivia znikła między drzewami. W rzeczywistości
miała ściśle określony cel, nie zamierzała jednak głośno
o tym rozmawiać w obecności służby. W każdym razie
potrzeba naturalna dawała jej się we znaki już od dłuż-
szego czasu. Olivia nie chciała zatrzymywać powozu,
sądziła bowiem, że wkrótce dotrą do stacji pocztowej.
Skoro jednak nadarzyła się okazja, postanowiła z niej
skorzystać.

Nie pierwszy raz w życiu żałowała, że nie jest męż-
czyzną, gdy musiała ostrożnie zbierać spódnice ele-

ganckiej sukni podróżnej, nie bez trudności kucając za krzakiem niewidocznym z drogi. Chwilę później poczuła się znacznie różniej i zaczęła poprawiać odzienie, aby przypadkiem nie wyglądać niestosownie po powrocie na trakt. Nagle usłyszała groźne warczenie. Gdy się odwróciła, stwierdziła, że drogę powrotną ma odciętą przez wielkiego czarnego psa. Zwierzę odślaniało groźnie zębiska, a z jego postawy należało wnioskować, że nie zawaha się na nią rzucić, gdyby postąpiła krok dalej.

- Niech się pani nie rusza! - rozległ się za jej plecami męski głos. - On jest nauczony atakować obcych. Spokojnie, Brutus! Leżeć!

Pies zawahał się, ale przestał warczeć i po chwili ułożył się na ziemi u stóp Olivii, która próbowała się zmusić do zrobienia kroku w tył, ale nie była w stanie się ruszyć.

- Już nic pani nie zrobi. Przestał być groźny.

Olivia poczuła suchość w ustach.

- Nie mogę...

- Nie musi się pani bać - powiedział głos za jej plecami. Poczuła delikatny dotyk na ramieniu. - Nie pozwolę, żeby pies się na panią rzucił. Daję słowo.

Odwróciła głowę i zerknęła na nieznajomego. Zdumiona, szerzej otworzyła oczy. Pierwsze wrażenie było zatrważające. Pociągła, a właściwie wychudzona twarz z kwadratowym podbródkiem nasuwała myśl, że mężczyzna ostatnio wiele stracił na wadze. Oczy miał prze-

krwione, a włosy dłuższe, niż nakazywała moda, bardzo gęste, ciemne i lekko zakręcone. Wiatr potargał je i zwał kilka kosmyków na twarz. Przez prawą skroń mężczyzny ciągnęła się purpurowa blizna, jeszcze bardzo świeża.

- Och! - Przycisnęła dłoń do piersi, a serce podeszło jej do gardła. Mężczyzna był rostry, lecz szczupły, wręcz żyłasty, ubrany bardzo zwyczajnie. Uznała, że musi to być łowczy. - Proszę mi wybaczyć. Ja...

- To nam proszę wybaczyć, że panią przestraszyliśmy - powiedział Jack Denning. Jego słowa zabrzmiały szorstko, mimo że w zamierzeniu miały ją uspokoić. - Brutus był psem mojego dziadka, sir Joshui Chambersa, niedawno zmarłego właściciela Briarwood. Właśnie na terenie Briarwood znajduje się pani w tej chwili. Pies został nauczony, żeby atakować włóczęgów, którzy często wchodzą bez pozwolenia do lasu. On nie wie, że pani jest damą, za to czuje nieznany zapach.

- Obawiam się... że ja też nie mam pozwolenia. - Olivia wreszcie odzyskała głos. A więc to nie łowczy, lecz wnuk baroneta we własnej osobie. - Postąpiłam niewłaściwie.

Jack uśmiechnął się, a jego rysy straciły nieco ze swej ostrości.

- Kapitan Jack Denning - przedstawił się. - Mój człowiek zawiadomił mnie o wypadku na drodze, szedłem zobaczyć, co się stało. Czy to pani jechała tym powozem?

- Nazywam się Olivia Roade Burton. - Nieznacznie podniosła głowę, odzyskała bowiem pewność siebie. - Udaję się do Brighton z siostrą, lady Ravensden. Mamy przymusowy postój, ponieważ powóz jadący przed nami stracił koło.

- Właśnie tak słyszałem, więc wysłałem ludzi, żeby pomogli usunąć go z drogi. Prawdopodobnie gdy wróci pani do swojego powozu, będzie już można przejechać.

- Dziękuję. Niezwłocznie zawrócę.

- Proszę pozwolić, że panią odprowadzę. Chociaż obecnie jest tu według mojego rozeznania dość bezpiecznie, nie polecam samotnych spacerów po lesie, panno Roade Burton. Gdyby włóczędzy, o których wspomniałem, akurat tu byli, nie mógłbym zagwarantować pani bezpieczeństwa. To są dzicy i porywczy ludzie... A pani jest stanowczo zbyt młoda i bezbronna, żeby chodzić samopas.

Nie odpowiedziała. Z trudnego do wytłumaczenia powodu szybciej niż zwykle zabiło jej serce i nagle zabrakło tchu. Kapitan Denning zachowywał się uprzejmie, ale niezbyt przyjaźnie. Wyczuwała, że nie jest zadowolony z jej obecności.

- Ja... - Co za upokarzająca, sytuacja! Przecież nie mogła podać mu powodu, dla którego zeszła z drogi. - Zazwyczaj nie...

Nie zwrócił uwagi na jej zakłopotanie. Poleciał psu warować, a potem odwrócił się, by odprowadzić ją na drogę. Olivia poszła za nim zażenowana.

Nie знаła nikogo podobnego do tego człowieka. Zastanawiała ją blizna na jego skroni. Wyglądał tak, jakby ostatnio chorował, aczkolwiek ze sprężystości kroku należało wnioskować, że już odzyskał siły.

- Jesteśmy na miejscu, panno Roade Burton. Zdaje mi się, że pani powóz jest prawie gotowy do odjazdu.

- Dziękuję. - Olivia podniosła głowę i na chwilę skrzyżowała z nim spojrzenia. Zdawało jej się, że przez twarz przemknął mu bolesny grymas. Co mogło wywołać u niej takie wrażenie? Zanim zdążyła się zastanowić, grymas znikł. - Do widzenia, kapitanie Denning. Dziękuję za pomoc.

- Do widzenia, panno Roade Burton. Życzę pani szczęśliwej podróży.

- To miło z pana strony. - Uśmiechnęła się do niego. - Może jeszcze spotkamy się w Brighton.

Spłonęła rumieńcem, zdziwiona swoją odpowiedzią. Wprawdzie nie byłoby nic dziwnego w tym, że kapitan przyjeżdża do Brighton, wszak jego posiadłość znajdowała się w odległości niecałych dwudziestu mil, ale te słowa zabrzmiały doprawdy poufale. Zwykle nie pozwalała sobie na taki ton w stosunku do obcych.

- Wątpię - odparł Jack. - Chwilowo nie wybieram się do Brighton.

Olivia uznała, że dostała odprawę, zresztą zasłużoną. Może kapitan powziął przypuszczenie, że zagięła na niego parol. Trudno, sama była sobie winna. Okazała zbyt dużą śmiałość, graniczącą z arogancją.

Wyprostowana odeszła do powozu. W zasadzie jakie miało to znaczenie? Przecież nie obchodziło jej, co kapitan Denning o niej pomyśli, ani czy uznają ją za osobę zuchwałą i źle wychowaną.

Beatrice wyglądała z powozu przez okno. Wydawała się zaniepokojona. Widząc siostrę, pomachała do niej ręką.

- Nareszcie jesteś! Już się zastanawiałam, czy nie wysłać kogoś, żeby cię poszukał, najdroższa.

- Przepraszam, jeśli cię zaniepokoiłam. Weszłam kawałek do lasu, bo musiałam... no, wiesz. Natknęłam się na złego psa. Bałam się ruszyć, żeby na mnie nie skoczył, tak warczał. A potem zjawił się mężczyzna i zawołał psa. Myślałam, że to łowczy, ale chyba spotkałam właściciela tych włości we własnej osobie. Wyglądał... dziwnie.

- Nie bardzo wiem, co masz na myśli, mówiąc „dziwnie”.

- Ja też nie - przyznała Olivia i parsknęła śmiechem. - Może słowo „dziwnie” jest nieodpowiednie. Przypuszczam, że musiał niedawno chorować. Miał wychudzoną twarz, a oczy... - Pokręciła głową. To właśnie jego oczy wywarły na niej największe wrażenie. - „O, cóż ci jest, Rycerzu błady... *.

- Co powiedziałaś? - spytała Beatrice.

- Przypomniał mi się wiersz, który kiedyś czytałam.

¹ John Keats, *La belle dame sans merci*, przekład Stanisław Barańczak (przytłum.).

O rycerzu, który wracał półżywy z pola bitwy... miał bladą twarz i przekrwione oczy...

- Ach, poezja! - powiedziała Beatrice i uśmiechnęła się. - Jak on się nazywał? Chodzi mi o mężczyznę, którego spotkałaś...

- Denning... Kapitan Jack Denning.

- Pewnie żołnierz. Być może odniósł ranę na Półwyspie Iberyjskim i odesłano go do domu, żeby odzyskał siły.

- Tak... - Incydent bardzo poruszył Olivię. Najpierw przestraszyła się psa, a potem zirytowała ją sugestia kapitana, że postępuje nierozsądnie, chodząc samotnie po lesie. - Pewnie masz rację, Beatrice. To wyjaśniałoby jego szorstki sposób bycia. Nie zrobił na mnie wrażenia osoby, która często pokazuje się w towarzystwie.

- Chcesz powiedzieć, że nie jest dżentelmenem?

- Och, nie. Z pewnością nim jest, ale maniery ma dość surowe... a może raczej powinnam powiedzieć, że zachowuje rezerwę. Z pewnością mógłby być żołnierzem... a jeśli został ranny, to tłumaczy jego wygląd.

- Mam nadzieję, że cię nie obraził ani nie skrzywdził.

- Skądże - zachnęła się Olivia. - Wręcz przeciwnie. Wydawał się bardzo zaniepokojony tym, że sama chodzę po lesie. Jego pies jest tak wyszkolony, że atakuje włóczęgów. Najwidoczniej są plagą w tych lasach...

Beatrice skinęła głową. Siostra musiała spotkać jakiegoś właściciela ziemskiego z wojskową przeszłością. Olivia była przyzwyczajona do eleganckich manier i salonowych flirtów z dżentelmenami znanymi jej z Londynu. Sposób mówienia właściciela majątku na wsi łatwo mógł jej się wydać rażący.

- Krótko mówiąc, nic się nie stało - podsumowała. - Wsiadaj do powozu, najdroższa, bo stangret chce ruszyć.

- Naturalnie. - Olivia obejrzała się jeszcze za siebie, ale nie dostrzegła już kapitana Jacka Denninga. Po co właściwie chciała go zobaczyć? Przecież nie był przystojny i na pewno nie miał ujmujących manier. A jednak było w nim coś takiego... - Rzeczywiście, powinniśmy jechać dalej.

Gdy usiadła na ławie w powozie, wygładziła suknię. Ponowne spotkanie z kapitanem Denningiem wydawało jej się mało prawdopodobne.

Jack Denning postął chwilę wśród drzew, patrząc za powoli oddalającym się powozem. Potem gwizdnął na Brutusa i kontynuował obchód majątku. Jeszcze kilka miesięcy temu grunt po obu stronach traktu stanowił własność jego dziadka ze strony matki, ale na mocy testamentu sir Joshui niemałe włości przeszły w ręce Jacka wraz z kilkoma innymi nieruchomościami.

Jack bardzo się zmartwił wiadomością o śmierci dziadka, którą otrzymał po powrocie do Anglii. Sir Jo-

shua był jedynym człowiekiem na świecie, który darzył go szczerą miłością.

- Sir Joshua był bardzo bogatym człowiekiem - oznajmił mu adwokat, gdy Jack wreszcie odpowiedział na wezwanie kancelarii Trussella i złożył tam wizytę. - Zbił majątek na handlu, kapitanie Denning. Okrety, węgiel i żelazo... jeszcze kilka miesięcy przed swoją ostatnią chorobą zainwestował niemały kapitał w odlewnię. Może będzie pan chciał dokonać sprzedaży? Znam osoby zainteresowane kupnem, gdyby chciał się pan pozbyć jednej lub kilku nieruchomości sir Joshui.

Arystokraci zazwyczaj nie interesowali się handlem. Wielu młodych ludzi na miejscu kapitana Denninga natchmiast sprzedaloby kwitnące przedsiębiorstwa i zainwestowało pieniądze w ziemię lub złożyło je na pięć procent w banku.

- Tymczasem nie chcę - odrzekł Jack, czym zaskoczył adwokata. - Jeśli sir Joshua uważał inwestycje za trafione, to znaczy, że są dobre.

- Pański dziadek był wybitnym człowiekiem interesu, kapitanie.

- Tak przypuszczam. Proszę powiedzieć jego agentom i zarządcom, żeby prowadzili interesy, jakby nic się nie zmieniło. Zanim podejmę jakąkolwiek decyzję, muszę się poważnie zastanowić.

Jack nie był przekonany, czy chce zajmować się posiadłością dziadka. W razie czego dysponował wystarczającą ilością pieniędzy, by wieść życie beztroskiego

rentiera, wątpił jednak, czy znalazłby w tym zadowolenie. Uwielbiał rygory i szybki rytm życia wojskowego, ale to bezpowrotnie się dla niego skończyło. Zresztą jego wspomnienia z wojska skaził obraz tego, co stało się w Badajoz.

Z rozsądku wołał o tym nie myśleć. Czasem udawało mu się prawie o tym zapomnieć... prawie.

Rozpamiętywanie tamtego dnia naprawdę nie miało sensu. Zawiódł i nie był w stanie uwolnić się od wstydu. Najczęściej dręczące myśli wracały do niego nocami, we śnie. Budził się wtedy z krzykiem, cały spocony i przejęty wyrzutami sumienia.

Powinien był ich powstrzymać! Do diabła! Powinien był coś zrobić. Ale tak zdumiało go to, co zobaczył, takim obrzydzeniem go to przejęło, że zareagował zbyt wolno... i dlatego się spóźnił. Nie, nie wolno mu było wracać do dawnych zdarzeń, należało myśleć o przyszłości. Musiał jakoś ułożyć sobie życie.

Na podjeździe przed Briarwood House zobaczył staromodny, ciężki powóz. Herb na drzwiach powiedziałby mu, kto zaszczycił go odwiedzinami, gdyby Jack musiał się tego domyślać, nie było jednak takiej potrzeby. Podświadomie oczekiwał tej wizyty od wielu tygodni, odkąd tylko wrócił do Anglii.

- Przed półgodziną przyjechał earl - zawiadomił go Jenkins, gdy oskrobawszy buty, żeby nie nanieść błota do domu, Jack stanął w sieni. - Poprosiłem jego lordowską mość, żeby poczekał w bibliotece

i poczęstowałem go wyborną maderą z zapasów sir Joshui.

- Dziękuję - powiedział Jack i uśmiechnął się. - Zrobiłeś, co do ciebie należy.

Zerknął na swoje odbicie w lustrze z mahoniowymi ramami, zdobiące się, i strzepnął gałązkę z rękawa surduta. Wprawdzie był ubrany po wiejsku, ale nie chciał wyglądać niechlujnie. Earl przywiązywał wielką wagę do manier i Jack wiedział, że nie powinien sprawiać takiego wrażenia, jakby przyszedł prosto ze stajni.

W dużym, wygodnym salonie lord Heggan stał przy drzwiach do ogrodu i patrzył na starannie przystrzyżoną zieleń. Wysoki, siwowłosy mężczyzna był nieskazitelnie ubrany w spodnie do kolan i surdut z szerokimi połami w stylu, który był modny przed kilkunastoma laty. Był to bardziej oficjalny ubiór niż te, które najczęściej widywano na wsi. Słyszając nadchodzącego Jacka, earl odwrócił się od okna. Ruchy miał sztywne, ale na jego twarzy nie było ani śladu bólu, który dokuczał mu prawie nieustannie.

Jack nie spodziewałby się po earlu niczego innego. Lord Heggan był znany z tego, że nigdy nie okazuje słabości.

- Wybacz mi, proszę, że nie było mnie w domu, gdy przyjechałeś - odezwał się Jack. - Nie zawiadomiłeś mnie wcześniej o wizycie.

- Sądziłem, że będziesz mnie oczekiwał. - W suchym tonie lorda słyhać było dezaprobatę.

- Owszem, spodziewałem się wizyty prędzej czy później, ale nie znałem dokładnego terminu.

- Byłoby z twojej strony grzeczniej, sir, gdybyś zechciał sam złożyć mi wizytę.

- Sądzę, że znasz powód, dla którego tego nie zrobiłem - odparł Jack. Byli w tej chwili bardzo do siebie podobni, dwaj stanowczy, bezkompromisowi mężczyźni. - Przebywałeś ostatnio w Stanhope, a ja wyjeżdżając sześć lat temu, przysiągłem, że moja noga więcej tam nie postanie. Nie mam zwyczaju łamania przysiąg.

- Jesteś upartym młodym głupcem - powiedział earl i westchnął. - Czy wybaczysz mi, jeśli usiądę? Mam już siódmy krzyżyk na karku i nie mogę za długo stać. Zresztą zmęczyłem się podróżą.

Jack umiał zajrzeć pod maskę dziadka, zafrasował się więc, wyczuwszy jego napięcie.

- Proszę o wybaczenie. Nie jesteś w pełni sił. Nie pomyślałem o tym.

- To tylko wiek - odrzekł earl i zmarszczył czoło. - Sądzę, że zostało mi w najlepszym razie pięć lat życia. Dlatego koniecznie musimy porozmawiać. - Popatrzył prosto na wnuka. - Wiem, że nie darzysz miłością wicehrabiego Stanhope, i nie winię cię z tego powodu. Mój syn żył jak utracjusz i bez wątpienia umrze w grzechu. Nie okazuje skruchy i zaklina się, że nie okaże jej aż do ostatniego tchu.

- Ojciec przeklął mnie, kiedy odjeżdżałem z domu - odrzekł Jack. - Wiem, że choruje. Gdy widziałem się

z matką w Londynie, powiedziała mi, że niewiele życia mu zostało. Ale jeśli przyjechałeś mnie błagać, żebym odwiedził Stanhope'a, to tylko tracisz czas. Splunąłby mi w twarz i zarzucił, że zjawiłem się, by napawać się widokiem jego umierania.

- Zapewne masz rację - przyznał lord Heggan. - Nie jestem takim głupcem, żeby strześcić język bez potrzeby. To moim obowiązkiem było odwiedzić Stanhope'a. Poradziłem mu, żeby wreszcie pojednał się z Bogiem. Tyle mogłem zrobić.

Jack skinął głową. Gdy był młodszy, dziadek wydawał mu się bardzo obcy. Wszystko wskazywało jednak na to, że ten niezłomny, surowy miłośnik dyscypliny, który przyjeżdżał tylko wtedy, gdy chciał wyrazić swoje niezadowolenie, jest sprawiedliwym człowiekiem.

- Nikt nie osiągnąłby więcej. - Jack spojrzał mu w oczy. - Ale jeśli nie z powodu ojca, to po co przyjechałeś?

- Aby przypomnieć ci o twoim obowiązku wobec rodziny - powiedział earł. Jego wyblakłe niebieskie oczy wydawały się całkiem beznamienne. - Odesłano cię do Anglii w ściśle określonym celu. Ponieważ twojemu ojcu zostały w najlepszym razie miesiące, a może tylko tygodnie życia, musisz zapewnić przedłużenie rodu. Musisz ożenić się i spłodzić dziedzica, zanim będzie za późno.

- Mam dwadzieścia siedem lat - odparł Jack z wą-

łym uśmiezkiem, odbijającym mu się w oczach. - Nie sądzę, żebym w obecnej chwili stanowił beznadziejny przypadek.

- Odkąd pojechałeś do Hiszpanii, twoje życie było w ciągłym niebezpieczeństwie. A teraz, gdy już wróciłeś do Anglii, też zawsze możesz spaść z konia albo zarazić się chorobą, która zabija w kilka dni. Dopóki nie będziesz miał przynajmniej jednego syna, istnieje realna groźba, że prawo do tytułu wygaśnie wraz z twoją śmiercią. Nie ma w tej chwili męskiego dziedzica. Dlatego twoim obowiązkiem jest jak najspieszniej zatroszczyć się o sukcesję.

- Nie chcę okazywać nieposłuszeństwa - rzekł oschle Jack. - Tymczasem nie mogę obiecać, że spełnię twoją prośbę. Nie chcę się żenić.

- Twoje chęci są tu bez znaczenia. - Dziadek przeszył go wzrokiem. - Myślałem, że wyrażam się jasno. To jest kwestia obowiązku. Twoje chęci i życzenia są na drugim miejscu. Jesteś mi to winien jako głowie rodu.

- Wybacz, sir, ale nie wiesz, o co prosisz.

- Jeśli myślisz o miłości...

- Nie myślałem - przerwał mu Jack - i wiem, co zamierzałeś powiedzieć. Powiniennem zawrzeć małżeństwo z rozsądku i szukać przyjemności tam, gdzie chcę. Chociaż właśnie ty lepiej niż ktokolwiek inny powinieneś wiedzieć, jakie obrzydzenie budzi we mnie taki pomysł. Mam kochankę i na razie jest mi z nią dobrze. Jest szlachetnie

urodzona i poślubiła człowieka, który ją zaniedbuje. Gdybym chciał się ożenić, rozstalibyśmy się z Anne za obopólnym porozumieniem jako przyjaciele.

- Przynajmniej masz trochę przyzwoitości, której brakuje Stanhope'owi - rzekł lord Heggan, wbrew sobie spoglądając na wnuka z aprobatą. - Dlaczego nie chcesz spełnić swojego obowiązku, Jack?

- Gdybym miał się ożenić, rzecz jasna wybrałbym pannę z dobrej rodziny, niewinną i godną szacunku. A tego właśnie nie mogę zrobić. - Jack spochmurniał. - Mam ręce splamione krwią niewinnych ludzi. Mój dotyk zhańbiłby niewinną pannę.

- To śmieszne! - oburzył się dziadek. - Jesteś przeklętym głupcem, Jack. Nie życzę sobie więcej słyszeć tych niedorzeczności. Jeśli chcesz odziedziczyć moją fortunę, włości Hegganów i tytuł, który rzecz jasna z nimi się łączy, to zrobisz, co ci mówię.

- Tytuł nic dla mnie nie znaczy - odparł Jack. - Co zaś do pieniędzy, to sir Joshua zostawił mi ich aż nadto. Zawsze stosowałem się do własnego kodeksu honorowego i tylko tyle mi zostało. Nie prosz mnie, żebym się go zaparł dla majątku, bo tego nie zrobię.

- Na Boga, sir! - Earl uniósł się gniewem. - Gdybym był młodszy, spuściłbym ci tęgie lanie.

Jack uśmiechnął się kwaśno.

- Mógłbyś spróbować... ale gdybyś był młodszy i do tego nie był moim dziadkiem, to mógłbym być zmuszony cię zabić.

- Niech cię diabli! Skąd u ciebie ten wściekły upór? Twój ojciec był hulaką bez charakteru, który pił i przegrał majątek i życie. Twoja matka jest piękna, ale zimna i pozbawiona serca.

- Czy chciałbyś widzieć mnie w okowach takiego małżeństwa, jakie oni stworzyli? - Zanim earl zdążył odpowiedzieć, Jack dodał: - Ponieważ pytałeś, to powiem ci, że charakter mam po tobie. Jesteśmy bardziej do siebie podobni, niż nam się wydawało.

- Może. - Lord Heggan sztywno skłonił głowę, a w jego wyblakłych oczach pojawił się nikły ślad uśmiechu. Uwaga Jacka chyba nieco go ułagodziła. - Nie powinniśmy się kłócić, Denning. Czy mogę jakoś zmienić twoją decyzję?

- W tej chwili? Nie.

- Wobec tego wracam do Stanhope. Służba nie zajmuje się twoim ojcem jak należy, jeśli nie ma mnie w pobliżu, żebym przypomniiał im o obowiązkach. Tam chyba nie ma ani jednego człowieka, który by go lubił.

- Masz do nich o to pretensje?

- Nie, ale nie pozwolę go zaniedbać. Umrze w spokoju w swoim własnym łóżku, nawet jeśli nie pojedna się ze stwórcą. - Na chwilę oczy earla zapłonęły uczuciem. - Błagam cię, Jack, znajdź sobie żonę... nie tylko ze względu na mnie, nie tylko z obowiązku, lecz również dla swojego dobra. Życ i umrzeć samotnie to los, którego nie życzyłbym najgorszemu wrogowi.

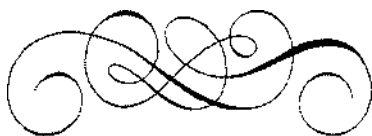
Jack odwrócił się i podszedł do okna popatrzeć na

niebo. Nadciągały chmury. Z trudnego do wyjaśnienia powodu zobaczył nagle przed oczami twarz niewinnej panny.

- Jeśli znajdę pannę szlachetnie urodzoną, kobietę, która mogłaby mnie znieść, wiedząc, co czuję, wiedząc, że mam wielką plamę na honorze, a w dodatku nigdy jej nie pokocham, to może nawet usłucham cię, dziadku.

- Modłę się, żebyś znalazł taką kobietę. Zresztą często modłę się za ciebie, Jack. Szczerze ufam, że wkrótce odnajdziesz spokój ducha.

- Gdybym tylko mógł! - mruknął Jack. Nie odwrócił się, bo wiedział że w tej chwili musi mieć wypisane na twarzy cierpienie. - Gdybym tylko mógł...



ROZDZIAŁ TRZECI

- To doprawdy szczęśliwe zrządzenie losu, że się spotkałyśmy - powiedziała Olivia, ujmując przyjaciółkę pod ramię. - Beatrice nie najlepiej się czuła z rana, ale bardzo mnie prosiła, żebym wzięła służącą i jednak poszła na spacer, zamiast siedzieć w domu w taki piękny dzień.

- Lady Exmouth też była rano niedysponowana - odrzekła ze śmiechem Robina. - Trudno jej się dziwić. Przez kilka ostatnich wieczorów wracałyśmy do domu po północy, ale wy przyjechałyście do Brighton zaledwie przed dwoma dniami. Mam nadzieję, że lady Ravensden nic nie dolega.

- Och, nie - odparła Olivia. - Wygląda kwitnąco. Właściwie nigdy nie widziałam, żeby była tak radosna. Dziś rano po prostu ogarnęła ją senność, ale zapewniła mnie, że na wieczorny bal u lady Clements pójdziemy razem. O ile wiem, ma to być wielkie wydarzenie.

- O, tak. Lady Exmouth dobrze zna lady Clements. - Robina lekko się zarumieniła. - Ona jest dla mnie bardzo miła... mam na myśli lady Exmouth.

Olivia zerknęła na przyjaciółkę. Z ciemnymi włosami

mi i niebieskimi oczami Robina była na swój sposób urodziwa. Dawniej zawsze zachowywała się bardzo skromnie i ubierała tak, by nie zwracać uwagi, ale teraz sprawiała wrażenie panny nadążającej za modą. Było nie było, zawróciła w głowie kilku dżentelmenom.

- Napisałaś mi, że bardzo ci się udał sezon w Londynie. Nie znalazłaś narzeczonego, prawda?

- Nie... - Robina jakby się zawahała, zaraz jednak pokręciła głową. - Narzeczonego nie znalazłam. - Westchnęła. - Kilku dżentelmenów odnosiło się do mnie bardzo miło, ale ja tęsknię za czymś... no, za czymś innym. Żeby było coś podniecającego... szczypta romantycznej miłości.

- To zupełnie tak jak ja! - zawołała Olivia i wybuchnęła śmiechem. - Mogłam wyjść za męż... - Zaczerwieniła się. - Och, nie myślę teraz o tym nieszczęsnym epizodzie z lordem Ravensdenem.

- Czy naprawdę zerwałaś z nim zaręczyny, Olivio? Ludzie mówią, że było w tym tyle samo twojej winy, co i jego.

- W pewnym sensie mają rację. Sądziłam, że zaręczymy się z miłości. Myślałam, że on mnie kocha i że z czasem również ja go pokocham. Kiedy zrozumiałam, że lord Ravensden zdecydował się mnie poślubić na życzenie lorda Burtona, natychmiast zerwałam zaręczyny. Potem lord Burton odesłał mnie na wieś, a lord Ravensden przyjechał do Abbot Giles prosić, żebym jeszcze się zastanowiła. Poznał Beatrice i wtedy się pokochali.

- Podobno zapisał ci pieniądze.

- Tak, był bardzo szczodry. Mam do wyłącznej dyspozycji dziesięć tysięcy funtów, zapisane na moje nazwisko - powiedziała Olivia. - Poza tym Ravensden rozpowiedział, że rozstaliśmy się za obopólną zgodą, co zresztą w końcu okazało się prawdą. Kiedy już poznał moją siostrę, żadne z nas nie chciało tego małżeństwa.

- Szczęśliwie się złożyło. - Robina obdarzyła przyjaciółkę uśmiechem. - Teraz możesz poszukać człowieka, którego pokochasz.

- Tak... - Olivia westchnęła. - Chciałabym, ale podobnie jak ty tęsknię za romantyczną miłością. Jesteśmy niemądre i czytamy zbyt wiele powieści pani Burney. Podejrzewam, że małżeństwo z bohaterskim mężczyzną byłoby wyjątkowo niepraktyczne. On ciągle jeździłby tępić smoki i inne potwory, zostawiając na głowie biednej żony prowadzenie domu i wychowywanie jego dzieci.

Robina skinęła głową, ale minę wciąż miała rozmazaną.

- Pewnie masz rację, ale dla prawdziwej miłości gotowa byłabym poświęcić nawet praktyczny punkt widzenia, przynajmniej do pewnego stopnia. A ty nie?

- Bardzo tęsknię za tym, żeby ktoś naprawdę mnie pokochał - żarliwie wyznała Olivia. - Żebym dla kogoś była absolutnie najważniejsza na świecie. - Zarumieniła się, bo nagle uświadomiła sobie, jak bardzo skryte myśli wyjawiała. - Naturalnie wiem, że większość panien naszego stanu nie musi mieć aż tyle, chyba stawiam trochę

za duże wymagania... - Nagle przystanęła i syknąwszy, ścisnęła swoją towarzyszkę za ramię.

- Czy coś się stało? - Robina skierowała spojrzenie tam, gdzie patrzyła Olivia. Parę kroków przed nimi przystanęli na promenadzie mężczyzna z kobietą. Obserwowali okręt pod pełnymi żaglami, przesuający się po morzu. Najwyraźniej zachwycił ich ten widok. - Czy źle się poczułaś?

Policzki Olivii straciły kolor.

- Nie - odparła - ale może zawrócimy?

- Naturalnie. - Robina zerknęła na nią z ciekawością, gdy ruszyły w stronę, z której przed chwilą przyszły. - Czy znasz lady Simmons?

- Nie. Czy tak się nazywa ta kobieta? Wyglądała... bardzo dystyngowanie.

- Jeszcze kilka lat temu była uznaną pięknoscią. Podobno jako debiutantka mogła poślubić księcia, ale w końcu wybrała zwykłego baroneta. Ostatnio mieszka w Bath, z dala od męża, chociaż chyba niekiedy odwiedza go w Londynie. Przypuszczam, że do Brighton przyjechała w jakimś szczególnym celu, pewnie z kimś umówiła.

- Może z tym mężczyzną, który jej towarzyszył? - podsunęła Olivia, a policzki jej poróżwiały.

- Zastanawiałam się, czy ten dżentelmen może być jej kochankiem. Ludzie mówią, że lady Simmons ma kochankę, ale tego człowieka nie znam. - Robina przyjrzała się badawczo Olivii. - Za to ty go znasz, prawda?

Rumieniec Olivii przybrał na sile.

- Przelotnie spotkał się w drodze do Brighton. Nasz powóz miał przymusowy postój, weszłam więc do lasu. Pies wziął mnie za intruza i nie chciał przepuścić, póki właściciel nie przywołał go do porządku. To był właśnie ten mężczyzna.

- Czyli wiesz, jak on się nazywa? - interesowała się Robina.

- Przedstawił mi się jako kapitan Jack Denning. - Olivia zmarszczyła czoło. - Wtedy wyglądał tak, jakby był świeżo po chorobie, i początkowo wzięłam go za łowczego, ale dzisiaj był ubrany całkiem inaczej.

- Och, Olivio - wykrzyknęła rozbawiona Robina. - Dzisiaj wcale nie wyglądał na chorego.

- To prawda...

Olivia zamyśliła się. Kapitan Denning był ubrany w granatowy idealnie dopasowany surdut, który zdradzał, że właściciel, choć szczupły, jest mocnej budowy ciała. Nieskazitelne żółtobrazowe spodnie do kolan i lśniące buty, a także kunsztownie zawiązany fular dowodziły, że w razie potrzeby kapitan Denning może rywalizować elegancją z każdym znanym Olivii londyńskim dżentelmenem. Zdążył również ostrzyć włosy, choć nadal miał je dłuższe niż większość modnych kawalerów.

- Czy wiedziałaś, że kapitan Denning będzie w Brighton? - spytała Robina.

- Wręcz przeciwnie. Wspomniał, że nie wybiera się tutaj w najbliższej przyszłości.

- To dziwne. Ciekawe, dlaczego skłamał.

- Nie wiem. - Olivia odczuła pewną irytację. Kapitan Denning chyba nie mógł mieć powodu, żeby ją okłamywać? - To pasuje do jego zachowania tamtego dnia. Był szorstki i obcesowy... zresztą niezbyt mi się spodobał.

- Na pewno musisz go zauważyć, gdybyście się spotkali - powiedziała Robina. - Nie sądzę jednak, żebyś była zobowiązana do czegoś więcej.

- Masz rację. Lepiej porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Beatrice wspomniała, że po przyjeździe lorda Ravensdena w przyszłym tygodniu wyda prośzoną kolację. Powiedz mi, proszę, czy masz jakiś wolny wieczór.

- Porozmawiam o tym z lady Exmouth - obiecała Robina. - Może dziś po południu przyjdziecie do nas z lady Ravensden na herbatę?

- Jestem pewna, że Beatrice z przyjemnością przyjmie to zaproszenie. Cieszę się, że przyjechałaś do Brighton, Robino. Przyjemnie jest mieć w pobliżu przynajmniej jedną wypróbowaną przyjaciółkę, z którą można zawsze porozmawiać.

- I której można zwierzyć się z sekretów - dodała Robina.

Uśmiechając się do siebie, panny szły dalej w doskonałej harmonii. Żadna z nich nie zdawała sobie sprawy z tego, że para oczu śledzi je z uwagą i odprowadza aż do rogu ulicy.

- Jack! W ogóle nie słuchałeś tego, co przed chwilą mówiłam - powiedziała z wyrzutem lady Simmons. - Czy coś cię trapi?

- Przepraszam. Nie chciałem, żebyś poczuła się lekceważona.

- Powiedz mi, mój drogi, która z tych dwóch panien tak cię zainteresowała. - W szarych oczach zabłyśły wesołe ogniki. Była atrakcyjną, zwracającą uwagę kobietą z ciemnymi włosami i szerokimi, wydatnymi ustami.

- Czyżbym był aż tak ostentacyjny? - Jack uśmiechnął się przepraszająco. - Przed dwoma dniami spotkałem pannę Olivię Roade Burton wędrującą po moim lesie. Brutus właśnie chciał się na nią rzucić, gdy się pojawiłem. Zaniepokoiło mnie, że weszła głęboko w nieznaną las, bo ciągle mam kłopoty z włóczęgami, gdyby się więc na nich natknęła, mogłoby się to dla niej źle skończyć. A teraz widzę, że nie może się zdobyć na to, by przejść obok mnie, sądzę więc, że musiałem ją urazić.

Anne skinęła głową, a jej bystre oczy przybrały zadumany wyraz. Dalej szli razem nadmorskim bulwarem.

- Wiem, że twoje maniery bywają dość surowe, Jack. Przy najbliższej okazji musisz przeprosić pannę Roade Burton.

Pokręcił głową.

- Ona jest nie dla mnie, Anne. Zresztą w ogóle nie myślę o małżeństwie.

- Zdaję sobie sprawę z tego, że wbiłeś sobie do głowy niemało dość głupich przekonań, mój drogi. - Czule się do niego uśmiechnęła. - Wiem też, że jesteś wart tuzina innych znanych mi dżentelmenów. Nie ponosisz winy za to, co stało się w Badajoz.

- Nie chodzi tylko o to, chociaż Badajoz dręczy mnie w sennych koszmarach - odparł Jack, nagle pośpieszając. - Przede wszystkim nie wierzę, żebym był zdolny do miłości. Nie potrafiłbym pokochać kobiety całym sercem. Nie tak jak miałyby prawo oczekiwać ta, którą chciałbym uczynić swoją żoną. Ty jesteś moją przyjaciółką. Nie prosisz mnie o więcej, niż mogę ci dać.

- Moim zdaniem masz w sobie ogromny potencjał - odparła Anne, przesyłając mu ciepłe spojrzenie. - Wciąż pamiętasz, że w dzieciństwie często cię krzywdzono, ale któregoś dnia odkryjesz, że potrafisz i pragniesz kochać. Nasz układ jest wygodny dla nas obojga, ale gdybyś chciał się ożenić.

- Znam twoje poglądy - przerwał jej Jack. - Bardzo cię lubię, moja droga, naprawdę. Gdybyś była wolna, Anne, może znaleźlibyśmy razem szczęście.

- Może, - Raptownie posmutniała. - Niestety, nie jestem wolna.

Jack ze współczuciem dotknął jej ręki. Wiedział, że czasem Anne popada w głęboką rozpacz, ale rodzina za nic nie pozwoliłaby jej rozwieść się z mężem. Wprawdzie przekonali sir Bernarda Simmonsa, żeby pozwolił

Anne przeprowadzić się do Bath i zamieszkać tam z damą do towarzystwa, ale dla dobra dwóch synów z tego małżeństwa mąż i żona spotykali się niekiedy na gruncie towarzyskim. Obaj synowie Anne mieszkali w internacie ekskluzywnej szkoły, widywała ich więc jedynie dwa, trzy razy do roku. Nie uważała, by była to idealna sytuacja, ale na nic więcej nie mogła liczyć. Alternatywą pozostawał dla niej wyjazd za granicę, ale wtedy nie mogłaby widywać synów w ogóle, dopóki nie osiągną pełnoletności.

- Nie lituj się nade mną - powiedziała cicho. - Pomyliłam się co do mężczyzny, którego poślubiłam, ale nauczyłam się żyć ze swoimi błędami. Mam przyjaciół, którzy mnie lubią, i najczęściej jestem całkiem zadowolona.

- Nigdy się nad tobą nie litowałem - odrzekł szczerze Jack. - Podziwiam cię i szanuję, Anne. Jesteś jedną z najpiękniejszych znanych mi kobiet i na pewno najdzielniejszą.

- Pewnego dnia spotkasz kobietę, którą będziesz mógł podziwiać, szanować i kochać - powiedziała. - Lubię cię, mój drogi, mam więc nadzieję, że stanie się to wkrótce.

Przy Royal Crescent stał niedawno postawiony przez J.B. Otto elegancki, dwupiętrowy budynek o drewnianej konstrukcji i elewacji z płytek udających cegłę. W jego głębi znajdował się salon, gdzie siedziała

Beatrice. Na widok wchodzącej Olivii uśmiechnęła się i podniosła głowę.

- Przechadzka dodała ci rumieńców - powiedziała.
- Przepraszam, że byłam taka senna dziś rano. To zupełnie do mnie niepodobne. Nie rozumiem, co mi się stało.

- Chyba nie jesteś chora? - zaniepokoiła się Olivia. Siostra odzyskana po tylu latach rozłąki była jej podwójnie droga.

- Och, z pewnością nie. Czuję się znakomicie. Mam nadzieję, że brak mojego towarzystwa nie zepsuł ci spaceru.

- Tęskniłam za tobą, ale muszę przyznać, że dopisało mi szczęście. - Również Olivia przesłała siostrze uśmiech. - Spotkałam Robinę Perceval. Była na przechadzce ze służącą. Lady Exmouth również czuła się rano nieco zmęczona. Robina spytała, czy wypłybyśmy z nimi herbatę dziś po południu. Zgodziłam się. Mam nadzieję, że postąpiłam właściwie.

- Naturalnie - potwierdziła Beatrice. - Poznałam lady Exmouth na wiosnę podczas pobytu w Londynie i bardzo ją polubiłam. Cieszę się, że możesz liczyć na towarzystwo Robiny. Przyjemnie jest mieć prawdziwe przyjaciółki.

- Tak. - Przez twarz Olivii przemknął cień. W Londynie miała mnóstwo przyjaciółek, wcale jednak nie była pewna, ile z nich chciałoby przyznać się do tej znajomości teraz. - Prawdziwe na pewno.

- Czytam listy, które dostał nam Harry. Służąca przyniosła je dziś rano z poczty. Jeden jest od Amy Rushmere, która, jak wiesz, mieszka w Abbot Giles, a drugi od mojej przyjaciółki Ghislaine de Champlain. Nawiasem mówiąc, Ghislaine pisze, że poznała sympatycznego dżentelmena. Młodego wikarego, który bardzo się nią interesuje.

- To dobra wiadomość. Lubię Ghislaine, chociaż rzadko ją widywałam. Czy są też inne nowiny?

- O, tak, w obu listach są najświeższe plotki z okolicy.

- Jakie? - Olivia była tak samo zainteresowana życiem okolic Steepwood, jak jej siostra. - Czy ktoś już wie, co się stanie z opactwem?

- Nie sądzę - odpowiedziała Beatrice. - Ghislaine donosi mi tylko, że krąży mnóstwo pogłosek na ten temat. Wszyscy naturalnie dalej się zastanawiają, kto zabił markiza Sywelła.

- Czy jeszcze tego nie odkryto?

- Nie wiadomo niczego pewnego. Ghislaine słyszała, że na dzień przed zbrodnią widziano wędrownego handlarza wchodzącego na teren opactwa. Był obcy.

Olivia skinęła głową.

- Jestem pewna, że to musiał być właśnie ktoś taki albo na przykład zazdrosny kochanek.

- To prawdopodobne. - Beatrice wydawała się zamyślona. - Amy Rushmere pisze jeszcze ciekawsze rzeczy. Pewien mężczyzna był we wsi i wypytywał o Atenę Filmer z Datchet House... Pamiętasz, że Atena

i jej matka mieszkają w Steep Ride, prawda? Amy pisze również, że ten człowiek zapytał ją o Louise Hanslope, chociaż uświadomiła to sobie dopiero po rozmowie.

- Widziałam Atenę na targu w Abbot Quincey, ale zamieniłam z nią nie więcej niż kilka słów. - Olivia zmarszczyła czoło. - Czy przypadkiem lady Sywell nie nazywała się Hanslope, zanim poślubiła markiza?

- Owszem. Znasz jej historię równie dobrze jak ja, Olivia. Wszyscy podejrzewali, że markiza jest nieślubną córką Johna Hanslope'a, ale wygląda na to, że ten człowiek interesował się bardzo tym, kiedy pierwszy raz pojawiła się we wsi jako dziecko. Co z tego rozumiesz? I dlaczego twoim zdaniem on wypytywał o Atenę Filmer?

- Nie wiem. - Olivia zmarszczyła lekko czoło. - To wszystko brzmi dla mnie dość zagadkowo. Dlaczego ktokolwiek miałby zadawać takie pytania... chyba że... - Spojrzała na Beatrice. - Czy sądzisz, że ktoś odkrył, co się stało z lady Sywell?

- Musi być jakiś powód - odrzekła Beatrice. - Amy nie mogła wydobyć żadnej informacji od mężczyzny, który z nią rozmawiał, oprócz tej, że nazywa się Jackson, ale podejrzewa, że mógł to być detektyw z Bow Street. Wydawał się bardzo bystry.

- Och, nie! To znaczy, że być może jest prowadzone oficjalne dochodzenie. - Olivia wydawała się wstrząśnięta. - Po co przedstawiciel prawa miałby wypytywać o lady Sywell? Chyba nikt nie sądzi poważnie, że ona mogłaby zabić męża?

- Ja też nie mogę w to uwierzyć, ale widocznie komuś zależy na tym, żeby więcej się o niej dowiedzieć. To bardzo intrygujące, czyż nie?

- Tak - zgodziła się z nią Olivia. - Żałuję, że nie udało nam się odkryć, co się z nią stało, a ty?

- Może z czasem odkryjemy. - Beatrice uśmiechnęła się do siostry. - A teraz powiedz mi, najdroższa, którą suknię zamierzasz włożyć na bal u lady Clements dziś wieczorem. Tę żółtawą, w której jest ci tak ładnie, czy może białą?

Bal trwał już w najlepsze, gdy siostry przybyły do udekorowanych sal, w których bawiono się tego wieczoru. Było to wielkie wydarzenie, którym lady Clements uświetniła zaręczyny swojej kuzynki z lordem Manningtree. Zaproszono na nie wszystkie znaczące osoby przebywające akurat w Brighton.

- O, droga lady Ravensden. - Pani domu przywitała je promiennym śmiechem i cmoknęła Beatrice w policzek. - Jak miło znowu panią widzieć... i panią naturalnie również, panno Roade Burton. - Olivia nie mogła nie zauważyć dyskretnego wyrazu dezaprobaty w oczach lady Clements. Pozornie jednak wszystko było w porządku, wiedziała więc, że należy robić dobrą minę do złej gry. Nie mogła przecież oczekiwać, że zdobędzie taką popularność i będzie tak powszechnie akceptowana jak w Londynie.

Tego wieczoru wyglądała wyjątkowo ładnie w żółta-

wej sukni z dekoltem w karo, przepasanej szarfą w ciemniejszym odcieniu żółtego. Włosy przytrzymała zieloną aksamitną opaską z brylantem, a na szyi miała ostatni prezent od Beatrice: perłowy wisiorek, zawieszony na aksamitce w tym samym kolorze i ozdobiony brylancikiem. Chociaż kreacja była bardzo prosta, niewiele obecnych dam dorównywało jej właścicielce urodą. Gdy Olivia przechodziła przez salę, odwracały się za nią głowy.

W Londynie dżentelmeni liczący na taniec oblegali Olivię od chwili, gdy przestąpiła próg sali balowej. Tutaj niemal natychmiast spostrzegła kilku młodych ludzi, których dobrze znała, ale żaden do niej nie podszedł, chociaż dwóch czy trzech przesłało jej uśmiechy. Usiadła więc spokojnie obok siostry z wysoko podniesioną głową i starała się nie okazywać, jak bardzo ją to drażni, a co gorsza - wręcz upokarza. Dopiero po dwudziestu minutach pani domu przyprowadziła do niej dżentelmena.

- Panno Roade Burton - lady Clements miała na twarzy głupawy uśmieszek - proszę pozwolić, że przedstawię mojego siostrzeńca. Pan Reginald Smythe, panna Roade Burton.

- P... panno Roade Burton - bąknął krostowaty młodzieniec. - C... czy zaszczyci mnie pani następnym t... tańcem?

Zazwyczaj karnet Olivii był pełny, zanim jakiś nie-dorostek zdążył podejść do niej na pięć kroków. Tego

wieczoru była jednak wdzięczna panu Smythe'owi za tę propozycję i z podziękowaniem ją przyjęła.

Na szczęście następny był kontredans, nie musiała więc znosić towarzystwa pana Smythe'a przez cały czas. I dobrze się stało, pan Smythe nie był bowiem w stanie sklecić więcej niż dwóch sensownych zdań.

Przesuwając się stopniowo w szyku, znalazła się w parze z kilkoma dżentelmenami, których znała z Londynu. Niektórzy zdradzali zakłopotanie, ale trzech uśmiechnęło się i wyraziło nadzieję, że zechce z nimi potem zatańczyć.

Pierwsze lody zostały przełamane. Po zakończonym kontredansie rzeczywiście podeszło do niej trzech młodych ludzi, którzy również w Londynie okazywali jej przyjaźń: pan John Partridge, sir George Vine i pan Henry Peterson. Każdy z nich wpisał się do karnetu, w którym jednakże wciąż było duże wolnych miejsc, między innymi na taniec przed kolacją. Coś takiego jeszcze nigdy się Olivii nie przytrafiło. Z jej doświadczeń wynikało, że o ostatni taniec przed kolacją chętni są gotowi się pobić.

Siedzenie z matronami przez większą część wieczoru było upokarzające dla panny, która jeszcze niedawno podczas sezonu królowała we wszystkich salonach. Przez chwilę rozmawiała z Robina i lady Exmouth, potem lord Exmouth, dyskretnie zachęcony przez Robinę, uprzejmie zaprosił ją do tańca.

Mimo to Olivia widziała, że towarzystwo nie przyj-

muje jej ciepło. Owszem, tolerowano ją jako siostrę lady Ravensden, ale jeszcze jej nie przebaczone. Z rezygnacją czekała więc na pana Reginalda Smythe'a, wyraźnie zmierzającego ku niej, aby zaprosić ją do ostatniego tańca przed kolacją.

- Panna Roade Burton? - Ciepły kobiecy głos dobiegający z boku sprawił, że Olivia się odwróciła. - Jestem lady Simmons. Pani mnie nie zna, ale mój przyjaciel miał zaszczyt zawrzeć z panią znajomość.

Zorientowawszy się, że dama zwraca się do niej, Olivia spłonęła rumieńcem.

- Dobry wieczór pani.... Dobry wieczór, kapitanie.

- Kapitan Denning prosił, żebym się za nim u pani wstawiła - powiedziała lady Simmons. - Chciałby zatańczyć, a ja nie tańczę walca. Czy zlituje się pani nad nim, panno Roade Burton?

Serce Olivii zabiło żywiej.

- Dziękuję pani, chętnie zatańczę. - Spojrzała w oczy kapitanowi Denningowi. - Naturalnie jeśli naprawdę takie jest pańskie życzenie.

- Będę zaszczycony, panno Roade Burton.

- Dziękuję.

Olivia podała mu rękę, wciąż zmieszana i jednocześnie podekscytowana. Czyżby aż tak była wdzięczna kapitanowi za ocalenie jej przed następnym tańcem z panem Smythe'em?

- Chyba jestem pani winien przeprosiny - powiedział Jack, prowadząc ją na parkiet.

Zaskoczona spojrzała mu w oczy. Nie była pewna, czy to wpływ tego niespodziewanego stwierdzenia, czy dotyku jego ręki, w każdym razie przeszedł ją dreszcz.

- Nie wiem, dlaczego pan tak uważa, kapitanie Denning.

- Powiedziano mi, że mam dość surowe maniery nawet wtedy, gdy wcale nie chcę być surowy - wyjaśnił.

- Pomyślałem, że może nie czuła się pani dobrze w moim towarzystwie.

- O, nie! - Olivia spłonęła rumieńcem. Kapitan musiał zauważyć jej poranną rejteradę na promenadzie. - Głupio się zachowałam rano, ale to dlatego, że byłam zaskoczona, widząc pana tutaj.

- Kiedy powiedziałem pani, że nie wybieram się do Brighton, naprawdę nie miałem takiego zamiaru - wytłumaczył Jack, gdy zaczęli wirować na parkiecie. - Przyjechałem tu na prośbę przyjaciółki.

- Lady Simmons? - Olivia bardzo uważała, żeby na niego nie spojrzeć.

- Tak. Poprosiła mnie, żebym towarzyszył jej w drodze, ponieważ nie lubi podróżować z dziećmi brata, które bywają dość hałaśliwe. - Po krótkim wahaniu dodał: - Jestem pewien, że lady Simmons nie miałyby nic przeciwko temu, bym wyjawiał, że lekarz zalecił jej pobyt na świeżym powietrzu. Ostatnio nie czuła się najlepiej...

- Och, bardzo mi przykro - powiedziała natychmiast Olivia. - Ufam, że zdrowie lady Simmons wkrótce się polepszy.

- Sądzę, że już się polepszyło. Ta podróż jest lekiem na jej nastrój.

Olivia skinęła głową. Nie próbowała drażnić tematu, byłoby to bowiem niezgodne z zasadami dobrego wychowania. Zresztą trochę zabrakło jej tchu.

Jeszcze nigdy nie miała tyle przyjemności z wirowania w walcu. Kapitan Denning zaskoczył ją tanecznymi umiejętnościami, ale wiedziała, że nie tylko z tego powodu jest jej tak miło.

Odwążyła się na niego popatrzeć i nieśmiało się do niego uśmiechnęła. Czyżby jego rysy nieco się wypogodziły, czy tylko zwiodła ją wyobraźnia? Zdawało jej się, że kapitan Denning zachowuje się tego wieczoru swobodniej niż w dniu, gdy spotkali się w lesie. Może morski klimat miał błogosławiony wpływ również na jego zdrowie?

Jack odwzajemnił uśmiech. Wywarło to na Olivii piorunujące wrażenie, bo jego twarz stała się nagle bardzo łagodna, zarazem jednak wciąż malował się na niej przejmujący smutek. Zastanawiało ją, skąd u niego taki nastrój. W jaki sposób los mógł mu zadać tak wielkie cierpienie?

Kusiło ją, żeby pogłaskać go po policzku, choć naturalnie wiedziała, że na taki krzepiący gest nie może sobie pozwolić. Zresztą uśmiech znikł równie szybko, jak się pojawił, a kapitan znów przybrał maskę obojętności.

Olivia nie dała się jednak nabrać. Instynktownie wy-

czuwała, że surowość kapitana kryje jego prawdziwą naturę. Nie bardzo rozumiała, w jaki sposób doszła do tego wniosku, ale była pewna, że przez chwilę widziała prawdziwe oblicze tego mężczyzny i bardzo ją to zaintrygowało.

Wrażenie unoszenia się w powietrzu było wręcz niebiańskie. Och, jak bardzo chciała, żeby ten taniec nigdy się nie skończył.

Z trudem powstrzymała westchnienie rozczarowania, gdy muzyka ucichła.

- Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i zje ze mną kolację?

- To bardzo uprzejma propozycja, ale czy nie powinien pan wrócić do lady Simmons?

- Anne jest dziś wieczorem z towarzystwem swojego brata. To z jego rodziną przyjechała do Brighton i mieszka w domu lorda Wilburtona.

- Ach, rozumiem. - Olivia nie umiała powstrzymać rumieńca zalewającego jej policzki. - Wobec tego będę panu bardzo zobowiązana, kapitanie Denning.

Popatrzył na nią zadumanym wzrokiem.

- Wśród mężczyzn jest bardzo wielu głupców, panno Roade Burton. Musi nam pani wybaczyć niejedno z tego, co robimy.

Widocznie doszły go plotki na jej temat i zauważył, że gdy inni tańczą, ona podpira ścianę. Olivia dumnie uniosła głowę.

- Sama sprowadziłam na siebie nieszczęście, sir.

Zrozumiałam, że nie mogłabym pokochać lorda Ravensdena i że on też mnie nie kocha. Oboje popełniliśmy błąd, gdybym zdecydowała się zawrzeć to małżeństwo. Swoją decyzją oburzyłam wielu.

- Postąpiła pani dzielnie i uczciwie - odparł Jack. - Szanuję panią za wykazanie odwagi, panno Roade Burton.

Olivia uśmiechnęła się.

- Sądzę, że tam, w lesie, wziął mnie pan za całkiem nierozumną istotę, kiedy bałam się przejść koło pańskiego psa, ale w dzieciństwie byłam mocno pogryziona i naprawdę boję się psów.

- Wydaje mi się jednak, że oprócz psów nie boi się pani prawie niczego.

Rozmawiali dopiero drugi raz, a mimo to jakaś siła pchała Olivię do Jacka. To śmieszne! Chyba niemożliwe, żeby była bliska zakochania się w tym mężczyźnie... a może jednak? Nie, to przecież absurd. Niczego o nim nie wiedziała. Ale co właściwie potrzebowała wiedzieć, skoro w jego obecności czuła takie ożywienie?

Wciąż próbowała zapanować nad emocjami, gdy głos kapitana przywołał ją do rzeczywistości.

- Co pani przynieść?

- Coś lekkiego... może krem winny.

Usiadła przy stoliku, który zajął dla nich kapitan Denning, i zaczęła się przyglądać, jak jej towarzysz przedziera się przez tłum w stronę stołów uginających

się od smakołyków. Jej zdaniem wyróżniał się spomiędzy wszystkich dżentelmenów, i to nie tylko dłuższymi włosami. Miał w sobie coś niezwykłego, magnetycznego, tajemniczego... Nie umiała dokładnie tego nazwać. Po prostu był inny i już.

- A, tu jesteście - zabrzmiał cichy głos z boku. - Proszę nie wstawać, panno Roade Burton. Przyszłam tylko zaprosić panią na małe nieformalne spotkanie, które urządzam jutro wieczorem w domu mojego brata. Rozmawiałam już o tym z lady Ravensden i obiecała przyjść.

- Pani jest bardzo uprzejma, lady Simmons. - Olivia uśmiechnęła się. - Jeśli moja siostra przyjęła zaproszenie, to z radością przyjdę.

- To będzie nieduże spotkanie. Nawet nie ma porównania z tym bale. Chciałabym zgromadzić przy stole wybranych znajomych, no, i grono przyjaciół, z którymi zetknęłam się w Brighton. Cieszę się, że będę mogła pogłębić znajomość z panią i lady Ravensden.

Skinęła głową i odeszła. Olivia, odprowadzając ją wzrokiem, spostrzegła, że teraz lady Simmons rozmawia z kapitanem Denningiem, którego zatrzymała w drodze powrotnej do stolika.

- Ten krem jest podobno pyszny, z domieszką szampana - oznajmił chwilę później Jack, stawiając przed Olivią delikatną szklaną czarę. Przyniósł też dla nich po kieliszku szampana. - Czy wybaczy mi pani, jeśli poprzestanę na napitku? Zjadłem wcześniej i nie mam apetytu.

- Chyba powinien pan jeść więcej, zresztą dla własnego dobra - powiedziała Olivia i skosztowała kremu. - Och, jakie smaczne!

- Bardzo mi przyjemnie. - Jack wygiął wargi w uśmiechu. - Proszę mnie nie karcić, panno Roade Burton. Anne właśnie to zrobiła. Zapewniam, że nie jestem już taki chudy, jak przed kilkoma tygodniami.

Olivia mimo woli zatrzymała wzrok na szramie przecinającej mu skroń.

- Czy pan odniósł niedawno ranę, kapitanie Denning?

- Pod Badajoz - odrzekł chłodno, a jego ton ostrzegł, że nie należy ciągnąć tego tematu.

Na szczęście Olivię wybawiło z zakłopotania nadejście siostry.

Jack wstał.

- Lady Ravensden? Wskazali mi panią wcześniej nasi wspólni znajomi. Czy mogę przynieść pani coś do jedzenia?

- A pan jest naturalnie kapitanem Denningiem. - Beatrice ciepło się do niego uśmiechnęła. - Lady Simmons wspomniała mi o panu... poza tym, o ile wiem, uratował pan moją siostrę przed złym psem.

- To był niefortunny incydent.

- Ale szybko i sprawnie zażegnany - powiedziała Beatrice. - A co do pytania, kapitanie Denning, zjem krem winny, jeśli można skorzystać z pańskiej uprzejmości.

Gdy kapitan odszedł, Beatrice popatrzyła na Olivię.

- Mnie się on wcale nie wydaje dziwny, najdroższa. Naturalnie widać, że był chory, ale przy tym ma dystyngowany wygląd, a jego manierom nic nie można zarzucić. Nie ulega wątpliwości, że jest dżentelmenem i dzielnym żołnierzem. Od lady Simmons wiem, że wspomniano go w oficjalnym raporcie. Może nawet przedstawiono go do jakiegoś odznaczenia albo do awansu.

- Do awansu? Czy przypuszczasz, że kapitan zamierza po wyzdrowieniu wrócić do pułku?

- Lady Simmons nic o tym nie mówiła. Wydaje mi się, że kapitan zrobił już aż nadto dla ojczyzny.

Ponieważ mężczyzna, którego ta ciekawa rozmowa dotyczyła, właśnie wracał do stolika, siostry szybko zmieniły temat. Wkrótce miał się odbyć bal w Pawilonie Królewskim, jeszcze bardziej prestiżowy niż ten, na którym Beatrice i Olivia właśnie gościły.

- Mam nadzieję, że Harry zjedzie tutaj na bal regenta - powiedziała Beatrice. - Napiszę do niego i podkreślę, że wyraźnie sobie tego życzę. Chyba nie zajmuje się nadal projektem papy?

- Jeśli napiszesz, to na pewno przyjedzie - wyraziła przekonanie Olivia. - Czy po kolacji pójdziemy do domu?

- Jeśli sobie życzysz - odrzekła Beatrice. - Ale oto wraca kapitan Denning...

Nie wyszły jednak z balu zaraz po kolacji, ponieważ kapitan Denning zaprosił Olivię do kontredansa. Potem zainteresowali się nią dwaj owdowiali dżentelmeni, których znała z Londynu. Byli od niej starsi i podobno obaj szukali żony.

Najwyraźniej zauważono zainteresowanie kapitana Denninga jej osobą i to zachęciło również innych mężczyzn. Zapis Olivii nie był wielki, ale na dziesięć tysięcy funtów też nosem kręcić nie należy i wyglądało na to, że niektórzy panowie są gotowi zgodzić się na taką żonę mimo skandalu płamiącego jej imię.

Zatańczyła najpierw z jednym dżentelmenem, potem z drugim, a gdy zeszła z parkietu, zauważyła kapitana Denninga zmierzającego do drzwi. Uśmiechnął się do niej i skinął jej głową, a potem samotnie opuścił salę. Lady Simmons i jej rodziny nie było już od kilku minut. Dlatego w odpowiedzi na pytanie Beatrice, czy mogą już wracać do domu, Olivia bez wahania się zgodziła. O dziwo, po wyjściu kapitana Denninga bal bardzo stracił dla niej na atrakcyjności.

W powozie Beatrice zaczęła rozmowę.

- Nie trap się, najdroższa, nawet jeśli dzisiaj nie wszyscy byli dla ciebie uprzejmi - powiedziała. - Z czasem przebaczą ci i znów pogodzą się z twoją obecnością w towarzystwie. Po przyjeździe Harry'ego na pewno będzie ci łatwiej.

- Jestem tego pewna - odparła Olivia i uśmiechnęła się do siostry. - Nie martw się o mnie, Beatrice. Nie je-

stem nieszczęśliwa. Pierwszy wieczór zaczął się dość niezręcznie, ale mimo wszystko potem bawiłam się dobrze.

- Zdaje mi się, że przede wszystkim podobało ci się walcowanie z kapitanem Denningiem. - Beatrice zerknęła na siostrę z figlarną miną.

- On znakomicie tańczy - przyznała Olivia i wybuchnęła śmiechem. - Och, za dobrze mnie znasz! Kapitan Denning jest niewątpliwie bardziej przyzwyczajony do pokazywania się w towarzystwie, niż sądziłam po naszym pierwszym spotkaniu. I owszem, lubię go. Nawet bardzo.

Beatrice skinęła głową, a w jej oczach pojawił się szelmowski błysk.

- Jest wnukiem earla Heggana. To bardzo stary irlandzki tytuł. Natomiast jego ojcem jest wicehrabia Stanhope. O ile wiem, jakieś sześćdziesiąt lat temu rodzina otrzymała również angielski tytuł w dowód wdzięczności za służbę Koronie. Wprawdzie wicehrabia Stanhope nie należy do zacnych ludzi, ale kapitan Denning nie chce go znać. Dziadek kapitana ze strony matki, sir Joshua Chambers, o wiele przyjemniejszy człowiek, pozostawił Denningowi olbrzymi majątek.

- Nie marnowałaś czasu!

Beatrice wesoło się roześmiała.

- Lady Simmons była kopalnią informacji. Mam wrażenie, że ona bardzo lubi kapitana Denninga, ale tak

po przyjacielsku, rozumiesz. Zresztą z lady Simmons bardzo miło się rozmawia.

Olivia przygryzła wargę.

- Dano mi do zrozumienia, że ci dwoje są w znacznie bardziej poufałych stosunkach...

- Prawdopodobnie byli przed wyjazdem kapitana do Hiszpanii - zgodziła się z nią Beatrice. - To się zdarza, Olivio, i nie należy do nikogo mieć o to pretensji. Zresztą lady Simmons podkreślała, że kapitan podtrzymał ją na duchu, kiedy była nieszczęśliwa, i że rodzinna przyjaźń trwa między nimi od łąt.

Olivia zastanawiała się nad tą wiadomością w milczeniu. Beatrice najwyraźniej była zdania, że związek lady Simmons i kapitana Denninga dobiegł końca.

Może rzeczywiście Robina tylko powtórzyła coś, co usłyszała od kogo innego. Olivia postanowiła, że nie pozwoli, by plotki wpływały na jej sąd o kapitanie albo o lady Simmons. Tymczasem powóz zajechał przed dom.

Rozbierając się do snu, Olivia dumiała nad przy czynami niezwyklej życzliwości przyjaciółki kapitana dla nieznannej panny. Przecież zatańczyła walca z kapitanem Denningiem właśnie dzięki lady Simmons. A potem dama zadała sobie trud zaprzyjaźnienia się z Beatrice i przy okazji udzieliła jej wielu ciekawych informacji.

Po co? Gdyby Olivia nie poczuła instynktownej sympatii do lady Simmons, niewątpliwie podejrzewałaby jakąś intrygę. Ale nie mogła posądzać nowej znajomej

o nieszlachetne motywy. Dlaczego wobec tego lady Simmons starała się ją zbliżyć do kapitana?

Żadne racjonalne rozwiązanie nie przyszło Olivii do głowy, chociaż zdążyła w tym czasie zwolnić służącą, przysłaną jej przez Beatrice do pomocy, wyszczotkować włosy i wspiąć się na wygodne łożo z piernatem. W końcu zdmuchnęła świecę stojącą na nocnej szafce i położyła się z uśmiechem na twarzy. To był mimo wszystko bardzo przyjemny wieczór.

Zasnęła prawie natychmiast. Miała miłe sny, w których ważną rolę odgrywał pewien dżentelmen. Rano jednak nic już z nich nie pamiętała.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Następnego ranka Beatrice znowu nie mogła przezwyciężyć senności, lecz mimo to wstała, by pójść z Olivią do miasta. Odwiedziły znaną modystkę i kupiły sobie nowe czepki, a potem jeszcze rękawiczki i jedwabną chustę na prezent dla Nan.

Wróciwszy do domu na późne śniadanie, znalazły bileciki kilku znajomych Beatrice i dwóch dam, o których młodych kuzynach mówiono, że szukają żony mającej środki utrzymania.

- Te bileciki niewątpliwie zostawiono tu z myślą o tobie, Olivio - zauważyła Beatrice. - O ile wiem, żaden z tych kawalerów nie ma złamanego pensa przy duszy. Zdaje się, że wiadomość o twojej nowej sytuacji powoli się rozchodzi.

- Zupełnie jakbym była gotowa poślubić łowcę posagów - powiedziała Olivia, marszcząc czoło. - Te dziesięć tysięcy funtów chyba rzeczywiście zwiększa moją atrakcyjność.

- Tego możesz być pewna. - Beatrice figlarnie uśmiechnęła się do siostry. - Prawdę mówiąc, znam kil-

ku dżentelmenów, którzy z przyjemnością poślubiliby cię z nadzieją znacznie mniejszego zysku.

Olivia roześmiała się i pokręciła głową.

- Wiesz dobrze, że wyjdę za mąż tylko wtedy, gdy zakocham się tak jak ty.

Beatrice uśmiechnęła się z satysfakcją, ale nie powiedziała już ani słowa na ten temat. Olivia przed siostrą nie umiała niczego ukryć, byłoby jednak głupio, gdyby zaczęła wyolbrzymiać znaczenie uprzejmego zachowania kapitana Denninga poprzedniego wieczoru. Przecież ani nie powiedział, ani nawet nie dał jej do zrozumienia, że mu się spodobała. Natomiast jej uczucia były zupełnie inną sprawą.

No, nie! To śmieszne. Nie można się zakochać z dnia na dzień! Kapitan Denning nie był nawet przystojny... w każdym razie nie według powszechnie przyjętych kryteriów. Poznała jednak wiele współczesnych wcieleń Adonisa i żaden z tych mężczyzn nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia. Poza tym należało sądzić, że kapitan będzie wyglądał coraz bardziej krzepko w miarę powracania do zdrowia.

Ech, jakie to miało znaczenie? Żadnego. Nic przecie nie wskazywało na to, by kapitan Denning widział w niej kogoś więcej niż miłą partnerkę do tańca.

Tego popołudnia Beatrice i Olivia przyjęły jeszcze troje gości: pana Reginalda Smythe'a, pana Johna Partridge'a, dość dystyngowanego człowieka ze znacznym

majątkiem, i lady Rowland, która miała młodego kuzyna, bardzo przez nią lubianego. Wszyscy troje wypili herbatę, a lady Rowland zaprosiła siostry na karty w przyszłym tygodniu.

- Nie oczekuję wielu osób - uprzedziła. - Będzie mi bardzo miło, jeśli przyjdzie pani z siostrą, lady Ravensden.

- Chyba będziemy mogli przyjść - odrzekła Beatrice, zerkając w stronę kominka, gdzie za ramą eleganckiego lustra tkwiła coraz większa liczba zaproszeń. - Prawdopodobnie tymczasem dołączy do nas lord Ravensden. Jego przyjazd opóźniły ważne sprawy.

- Ach, rozumiem - powiedziała lady Rowland. - Tak przypuszczałam. Wprawdzie krążyły pogłoski, że powód jest inny... ale niektórzy czasem plotą niestworzone rzeczy.

- Wreszcie wyjaśniło się, dlaczego wczoraj tak różnie cię przyjmowano - zawołała Beatrice do siostry, gdy goście opuścili dom. - To doprawdy irytujące! Ludzie najwidoczniej sądzą, że Harry'emu nie spodobał się nasz wspólny przyjazd do Brighton. Natychmiast do niego napiszę i...

Nie powiedziała już niczego więcej, bo przerwało jej dzwonienie do drzwi. W sieni rozległy się głosy, a na dźwięk jednego z nich Beatrice zerwała się radośnie z kanapy. Wyczekująco spojrzała na drzwi i chwilę potem na progu pojawił się jej mąż w stroju pod różnym.

- A więc jesteś - zawołała. - Właśnie miałam usiąść i napisać do ciebie, żebyś pędził do nas co koń wyskoczy.

- Co za niecierpliwość, kochanie - powiedział Harry z błyskiem w oczach. - Czy mam rozumieć, że za mną tęsknisz?

- Harry, ty paskudniku! - Żona spojrzała na niego z wyrzutem. - Na pewno wiesz, że zawsze za tobą tęsknię, ale tym razem chodziło o Olivię. - Opowiedziała o niemiłym przyjęciu, jakie spotkało siostrę poprzedniego dnia na balu. - Jak widzisz, gdyby nie kapitan Denning, Olivia miałyby bardzo nieudany wieczór.

Harry zmarszczył czoło.

- Ludzie są głupi! Wybacz mi, proszę, Olivio. Powinienem być o tym pomyśleć. Rzecz jasna, natychmiast wyjaśnię to nieporozumienie.

- Wydaje mi się, że ludzie i tak stopniowo zmieniają front - zauważyła Beatrice - ale z tobą na pewno będzie nam lepiej, najdroższy.

Uśmiechnął się do niej.

- My też wydamy bal, Beatrice.

- Myślałam o kolacji...

- To byłoby zbyt blade - odparł. - Nie zaszkodzi wywołać małe poruszenie, kochanie. Niech plotkarze mają o czym mówić. Co o tym sądzisz?

- Jeśli tak uważasz... - Beatrice wydawała się zadowolona z pomysłu. - Dziś wieczorem jesteśmy zaproszone na kolację z lady Simmons i kapitanem Den-

ningiem. Na pewno i dla ciebie znajdzie się miejsce przy stole.

- Nie będziemy sprawiać kłopotu lady Simmons, Beatrice. Naturalnie ty i Olivia powinnyście tam pójść, to nie ulega wątpliwości. Tymczasem ja pokażę się w kilku innych miejscach i postaram się położyć kres niepożądanym plotkom.

Do domu lorda Wilburtona, w którym mieszkała lady Simmons, było niedaleko. Mimo to Harry obstawał przy tym, by Beatrice i Olivia pojechały jego powozem.

- Wolę, żebyście miały własną służbę, kochanie. Tak będzie lepiej. Zwłaszcza że nie mogę wam towarzyszyć.

Beatrice nie protestowała przeciwko tym przejawom troski, co było do niej zupełnie niepodobne. Była ospała i miała poczucie, że trochę rozpieszczania może jej dobrze zrobić.

- Jeśli nadal niedobrze się czujesz rankami, powinnaś powiedzieć o tym Harry'emu - zwróciła jej uwagę Olivia, gdy jechały do lady Simmons. - To dla ciebie nietypowe, Beatrice. Zwykle tryskasz energią.

- Rozleniwiłam się - odparła Beatrice, ale na wszelki wypadek umknęła wzrokiem w bok. - Proszę, nic jeszcze nie mów Harry'emu.

Olivia zadumała się, widząc lekki rumieniec siostry. I nagle zrozumiała, jaka może być przyczyną porannego złego samopoczucia. Nie wspomniała jednak o tym

ani słowa. Jeśli Beatrice była przy nadziei, z pewnością sama chciała najpierw powiedzieć o tym mężowi.

Olivia poczuła ukłucie zazdrości. Ślubu siostrze nie zazdrościła, po prostu cieszyła się szczęściem oblubieńców. Teraz jednak ogarnęło ją uczucie, jakiego dotąd nie znała. Jak cudownie byłoby poślubić kochanego mężczyznę i oczekiwać narodzin jego dziecka!

Czyżby naprawdę kiedyś wyobrażała sobie, że może wieść szczęśliwe życie jako stara panna? Teraz rozumiała już, że myślała tak, bo nie sądziła, by mogła kogokolwiek pokochać.

Z każdą mijającą godziną coraz jaśniej zdawała sobie jednak sprawę z tego, że jej świat stanął na głowie, a ona jest coraz głębiej i coraz namiętniej zakochana. Cały dzień wyczekiwała na chwilę ponownego zobaczenia kapitana Denninga. Ależ jest niemądra!

W każdym razie nie wolno jej było zdradzić się z tym uczuciem. Na myśl o tym aż paliły ją policzki. Byłoby dla niej upokarzające, gdyby ktoś odgadł, z jaką łatwością pokochała mężczyznę, którego prawie nie znała. Mimo to miała poczucie, że wie o nim naprawdę dużo. Tego jedynego mężczyznę na świecie była w stanie kochać, i to z całego serca.

Niestety, on też nie mógł odgadnąć, jak silne stało się jej uczucie. Powinna zachowywać się wobec niego przyjaźnie i przychylnie odnosić się do wszelkich okazywanych jej względów, ale zainteresowaną stroną musi być on. Duma nie pozwalała jej zalecać się do kapi-

tana Denninga. Nie, zachowa przynajmniej trochę dystansu.

Tymczasem sługa pomógł im wysiąść z powozu. Przy wejściu powitała ich pani domu. Olivia uśmiechnęła się i lekko dygnęła, gdy przedstawiano ją lordowi i lady Wilburton, a potem pannie Rose, damie do towarzystwa lady Simmons.

- Miło zobaczyć panie znowu - powiedziała Anne Simmons. - Proszę do salonu, poznają panie moich przyjaciół.

Olivia odprawiła rytuał powitania z różnymi damami i dżentelmenami, ale wzrokiem natychmiast odszukała kapitana Denninga. Tego wieczoru miał jeszcze bardziej dystyngowany wygląd, włożył bowiem surdut w butelkowym zielonym kolorze, który pasował do jego karnacji. Jak mogła kiedykolwiek wziąć go za łowczego?

Gdy ją zauważył, jego rysy nieco złagodniały. Przedtem wpatrywał się w jakiś oddalony punkt, jakby w gruncie rzeczy nie należał do zgromadzonego tu towarzystwa.

- Dobry wieczór, panno Roade Burton - powitał ją, podchodząc. - Cieszę się, że znowu panią widzę. Rozmawiałem wcześniej z Anne. Podsunęła mi myśl, że ponieważ jest to pani pierwsza wizyta w Brighton, pewnie chciałaby pani zobaczyć różne interesujące miejsca, na przykład jechać na wzgórze Downs. Anne zaproponowała, że urządzimy tam piknik i zwiedzimy przy okazji bardzo piękny kościół, który zawsze darzyła podziwem.

- To bardzo miło ze strony lady Simmons, że wpadła na taki pomysł. - Właśnie taka wycieczka sprawiłaby Olivii najwięcej przyjemności i dała okazję do lepszego poznania nowych przyjaciół.

- Naturalnie powinniśmy pojechać tam całą grupą, no, i musi przystać na to lady Ravensden.

- Jestem przekonana, że tak będzie - powiedziała Olivia. - Dziś po południu przyjechał lord Ravensden. Sądzę, że i on zechce nam towarzyszyć.

- Byłoby wspaniale. Lord Ravensden mógłby jechać razem z żoną, a ja wzięłbym do swojej kariolki panną i Anne.

Olivia uśmiechnęła się. Kapitan okazywał się równie troskliwy jak lady Simmons. Dlaczego? Czyżby oboje postanowili stanąć w jej obronie wbrew powszechnie przyjętej opinii? A może był inny, głębiej ukryty powód?

- Kiedy pojedziemy?

- Na przykład jutro w południe, jeśli będzie ładna pogoda - powiedziała lady Simmons, która właśnie do nich podeszła. - Cieszę się, że spodobał się pani mój pomysł, panno Roade Burton. Ten kościół naprawdę warto obejrzeć, a wzgórza Downs są wspaniałe.

Olivia skinęła głową.

- Miejmy nadzieję, że pogoda się utrzyma i będzie ciepło.

- Na pewno - stwierdziła lady Simmons. - Moja dama do towarzystwa obserwuje wodorosty i twierdzi,

że mamy pogodę zapewnioną na dłużej. Naturalnie Dora też się z nami wybierze. Czy nie będzie pani miała nic przeciwko temu, panno Roade Burton, jeśli Dora pojedzie z panią? Nie mogę jej odmówić takiej radości.

- Naturalnie może jechać - odrzekła Olivia i po chwili wahania dodała: - Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby zwracała się pani do mnie po imieniu, przynajmniej prywatnie. Mam nadzieję, że nie musimy zbytnio trzymać się sztywnych form.

- Och, nie, moja droga.

Olivia zaczerwieniła się, poczuła bowiem na sobie wzrok kapitana Denninga.

- Panno Olivio - odezwał się - czy pani gra w brydża lub wista? Anne jest doskonałą partnerką do brydża, ale osobiście preferuję wista.

- Kapitan Denning jest wymagającym partnerem - ostrzegła ją pani domu. - Bardzo nie lubi nieprzemysłanych posunięć, Olivio. Powinna pani na niego uważać.

- Anne, jesteś nielojalna - zaprotestował, ale z uśmiechem. - Lubię wygrywać - wytłumaczył się przed Olivią - ale rzadko grywam o wysokie stawki. Dla mnie ważna jest nie stawka, lecz sama gra. Czy nie jest pani tego samego zdania?

- O, tak - odpowiedziała, mimo woli patrząc mu w oczy. - Walka umysłów to prawdziwa przyjemność. Nie dla zysku, ale właśnie dla samej walki.

- Widzę, że jesteśmy ulepieni z jednej gliny - pod-

sumował Jack Denning. - Chyba nie powinniśmy być partnerami, panno Olivia. Ciekawiej będzie stanąć do rywalizacji. Dziś wieczorem Anne zagra ze mną, a pani z czwartym.

Olivia odwróciła wzrok. Czy dobrze jej się wydawało, że kapitan trochę z nią flirtuje? A może po prostu stroi sobie z niej żarty? W każdym razie nie było już śladu po jego ponurym nastroju z pierwszego spotkania. Ciekawe dlaczego. Czy z jej powodu, czy była inna przyczyna?

Olivia szybko przywołała do porządku chochlika zazdrości, który się właśnie odezwał. Nie miała prawa do zazdrości, nawet jeśli lady Simmons była kochanką kapitana. Najmniejszego prawa! Oboje zaofiarowali jej przyjaźń w czasie, gdy bardzo jej potrzebowała, i była im za to wdzięczna.

Jeśli jej głupie serce zbyt łatwo się poddało, to sama sobie jest winna. Nie pozwoli jednak, żeby zazdrość zburzyła spokój jej umysłu. Pozostanie wierna swoim najgłębszym uczuciom.

- Z zainteresowaniem oczekuję pojedynku, sir - oznajmiła - ale ostrzegam, że niełatwo ustępuję.

- Właśnie tak przypuszczałem, panno Olivia - powiedział Jack.

Reszta spotkania minęła bardzo przyjemnie. Olivia nie pamiętała, kiedy ostatnio tak dobrze bawiła się w towarzystwie. Szczerze polubiła lady Simmons, która te-

go wieczoru wyglądała niezwykle efektownie w srebrzystej sukni. Jednak najczęściej emocji wywołały tajemnicze spojrzenia, którymi kapitan Denning obrzucał Olivie, i wielkie wyzwanie, jakim było dotrzymanie pola wytrawnemu graczowi.

Olivia miała za partnera lorda Wilburtona, życzliwego, wesołego człowieka, który również nie był w tej grze nowicjuszem. W końcu osiągnęli całkiem honorowy wynik, bo wprawdzie w sumie przegrali, ale w pierwszych trzech rozdaniach okazywali się za każdym razem lepsi. Ponieważ zaś stawki były minimalne, nikt nie poniósł uszczerbku.

- Słowo daję, nie zasłużyliśmy na porażkę, panno Olivio - oświadczył lord Wilburton, gdy zakończyli grę w karty i zajęli się jedzeniem lekkiej kolacji. - Dobrze się pani spisała, moja droga. Mam wrażenie, że ostatnie rozdanie położyliśmy przeze mnie.

Olivia zapewniła go, że to nieprawda.

- Podejrzewam, że kapitan Denning jest po prostu dla nas zbyt doświadczonym mistrzem - odparła ze śmiechem.

Wciąż się uśmiechała, gdy nieco później opuszczały z Beatrice ten gościny dom.

- Do zobaczenia jutro - rzekł Jack Denning. - Mam nadzieję, że nie jest pani na mnie zła z powodu mojej wygranej, panno Olivio.

- Jakoś się pocieszę - zapewniła. - Nie zamierzam ustąpić, sir. Któregoś dnia wygram.

- To możliwe. - Wydawał się rozbawiony. - Z przyjemnością oczekuję wielu starć w przyszłości, panno Olivio.

Spojrzała na niego uważnie, ale nie dała się sprowokować i nic nie odpowiedziała.

Gdy już jechały do domu, Beatrice powiedziała:

- Zdaje mi się, że jesteś zadowolona z wieczoru, Olivio.

- O, bardzo. Nieczęsto towarzystwo sprawia tyle przyjemności.

Ponieważ i pani domu, i jej rodzina oraz przyjaciele byli nieco starsi od Olivii, dla Beatrice było jasne, że zadowolenie siostry może mieć tylko jedno źródło.

- Kapitan Denning wydaje się interesującym mężczyzną - kontynuowała. - Czasem stwarza pozory człowieka dość surowego, ale jest bardzo opiekuńczy. Byłoby cudownie, gdyby... Och, przepraszam, zagalopowałam się. Przecież dopiero co się poznaliście. Nie można zbyt szybko żywić zbyt wielkich nadziei, najdroższa.

Olivia spłonęła rumieńcem. Beatrice dyskretnie ostrzegała ją przed zbyt dużym zaangażowaniem się w tę znajomość. Wiedziała, że siostra robi to z czystej troskliwości, lecz nie była w stanie ukryć przed nią swoich uczuć.

- Wiem, że zachowuję się głupio - wyznała - ale chyba już się zaangażowałam. Mam nadzieję, że dziś wieczorem nie okazywałam tego zbyt jawnie.

- Z pewnością nie - odrzekła Beatrice i krzepiąco

się do niej uśmiechnęła. - Ja jedna mogłam zauważyć, że jakoś się zmieniłaś. Chociaż przyjęłaś wyzwanie kapitana Denninga, widać było po tobie jedynie dobry nastrój. Wobec lorda Wilburtona zachowywałaś się równie swobodnie.

- Był dla mnie bardzo życzliwy i w ogóle się nie złościł, że przegraliśmy. Wydał mi się bardzo miłym człowiekiem, podobnie jak jego żona.

- Jestem przekonana, że nikt nie może niczego zarzucić twojemu zachowaniu.

Słowa Beatrice podniosły Olivię na duchu. Położyła się do łóżka szczęśliwa i z podnieceniem myślała o wycieczce następnego dnia.

Na szczęście pogoda rzeczywiście się utrzymała i gdy wyjeżdżali, słońce przyjemnie grzało. Harry wiozł Beatrice i lady Simmons, a kapitan Denning Olivię i pannę Rose.

- Ta wycieczka była wspaniałym pomysłem - zwróciła się panna Rose do Olivii. - Droga lady Simmons jest dla mnie zawsze taka uprzejma i szczodra.

- Owszem, dla mnie też - przyznała Olivia.

Panna Rose zmarszczyła czoło.

- Szkoda, że tak jej się życie ułożyło... pani wie, z mężem. Źle ją traktuje. Nawet bardzo źle.

Ponieważ dama lady Simmons była delikatną i podatną istotą, która zwykle zachowywała swoje poglądy dla siebie, to stwierdzenie i zdecydowanie, z jakim zo-

stało wygłoszone, nie mogło nie zrobić wrażenia na Olivii. Naturalnie nie próbowała dowiedzieć się od panny Rose więcej, bo małżeńskie problemy lady Simmons nie były jej sprawą.

Porozmawiać z kapitanem Denningiem właściwie nie miała kiedy, ponieważ wyjechawszy z miasta, skupił się na powożeniu, dzięki czemu szybko posuwali się naprzód. Dopiero gdy dojechali w malownicze miejsce w południowej części wzgórz Downs, znalazła się okazja.

- Czy nie gniewa się pani na mnie?- spytał, podając wodze stajennemu, i zeskoczył z kozła, żeby pomóc damom. - Obawiam się, że wczoraj wieczorem nie byłem zbyt uprzejmy.

- Ależ nie - sprzeciwiła się Oli via. - Nie jestem taką znowu biedną myszką, żeby rozpamiętywać drobną nauczkę.

- Sądzę, że nikt nie próbowałby opisać pani w ten sposób - odparł Jack i popatrzył na Oliwię tak, że spłonęła rumieńcem i odwróciła głowę. Zdawało jej się, że przenikają wzrokiem i dowiaduje się wszystkiego o jej charakterze. Ciekawa była, co może się kryć za takim spojrzeniem. Czy to możliwe, żeby zainteresowała go w tym samym stopniu co on ją?

Olivia, Beatrice i lady Simmons poszły razem na przechadzkę w słońcu. Ze wzgórz rozciągał się malowniczy widok, a w oddali lśniło falujące morze.

Panna Rose na własne, bardzo stanowczo wyrażone życzenie została pomóc służbie w przygotowywaniu

pikniku. Na suchej trawie rozłożono poduszki dla dam, a panowie mieli do dyspozycji kocyki. Tace z jedzeniem umieszczono na stojakach i otwarto wiklinowe kosze, które złożyły się na całkiem wystawny bufet.

Konwersacja dotyczyła tematów ogólnych. Harry i kapitan Denning prawie natychmiast znaleźli wspólny język, podobnie jak Beatrice z Anne Simmons. Raz po raz wszyscy wybuchali śmiechem, a Olivię, rozleniwioną słonecznym ciepłem, ogarnęło beztróskie zadowolenie.

Starła się nie skupiać na sobie uwagi, ale odpowiadała kapitanowi Denningowi przyjaźnie i ze swobodą. Bardzo przy tym uważała, by nie zdradzić się ze swoimi uczuciami, wzięła sobie bowiem do serca dyskretne ostrzeżenie Beatrice. Nie miało sensu oczekiwać zbyt wiele, a jednak w głębi duszy była przekonana, że zakochała się z wzajemnością. Czyż mogłaby go darzyć tak głębokim uczuciem, gdyby pozostawał na nie całkiem obojętny?

- Ciekaw jestem, panno Olivio - zwrócił się do niej kapitan, gdy konwersacja na chwilę ustała - jaka jest pani opinia o pawilonie.

- Jest wprost niezwykły - zaryzykowała.

Dom regenta był kiedyś przyjemną, choć całkiem przeciętną rezydencją, ale właściciel stopniowo przekształcał ją w egzotyczny pałac z kopułami, wieżami i iglicami, które, prawdę mówiąc, wyglądały dość ekscentrycznie.

- Niezwykły? O, tak, z pewnością - przyznał Jack.

- Powściągliwość w ocenie wystawia pani dobre świadectwo.

Olivia uśmiechnęła się, ale nie podjęła zaproszenia do słownej szermierki. Znow rozpoczęła się ogólna konwersacja, a po skończonym pikniku wszyscy pojechali do wsi Piddinghoe.

Domy z łupku i kręta droga przez wieś były malownicze, ale lady Simmons sprowadziła tu gości specjalnie po to, żeby pokazać im kościół.

- Ma okrągłą normańską wieżę, w całym hrabstwie Sussex są zaledwie trzy takie - powiedziała Olivii, gdy szły razem przez dziedziniec. Lato miało zapach świeżo skoszonej trawy i dzikich róż z żywopłotu. - Czy nie wydaje się pani urocza?

- Jest piękna - zgodziła się Olivia. - Dziękuję za przywiezienie mnie tutaj. Bardzo się cieszę z dzisiejszej wycieczki.

Szły teraz brzegiem rzeki Ouse, nad którą leżała wieś. Lady Simmons zerknęła na Olivię z dość zagadkowym wyrazem oczu.

- Czy naprawdę, moja droga? Przedtem wydawała mi się pani trochę marketna.

- Och, rozleniwiło mnie słońce.

Lady Simmons skinęła głową.

- Rzeczywiście, dzisiaj jest bardzo ciepło. Chociaż na wzgórzach Downs zawsze wieje wietrzyk.

Olivia uśmiechnęła się, ale nie widziała potrzeby rozwijania tematu. Harry i kapitan Denning czekali na

nie przy powozach. Wydawali się pochłonięci poważną rozmową, na widok dam natychmiast ją jednak przerywali.

- O, jesteście - powiedział Harry. - Denning już miał zamiar wyruszyć na poszukiwanie. Podejrzewaliśmy, że ktoś mógł was zamknąć w krypcie.

- Nie zwiedzałyśmy krypty, nawet jeśli jakaś tam jest - odrzekła Beatrice, kręcąc głową. - Cieszę się jednak, że kapitan Denning był gotów przyjść nam z pomocą.

Harry przesłał jej szelmowskie spojrzenie, udała jednak, że tego nie zauważyła.

Jack Denning pomógł wsiąść obu swym pasażerkom do kariolki. Olivia wydało się, że znów widzi u niego ten sam posępny wyraz twarzy, a sądziła, że już należy on do przeszłości. Co mogło go wywołać? Może poważna rozmowa z Harrym?

- Czy podobał się pani kościół?

- Bardzo. Sądzę, że jest znacznie bardziej stylowy niż pawilon.

- Widzę, że nie tylko jest pani piękna, lecz również umie pani rozpoznać piękno. - Uśmiechnął się do niej i twarz natychmiast mu złagodniała. - Chyba musimy już wracać. Mam dziś wieczorem zobowiązania towarzyskie.

Olivia skinęła głową.

- Bardzo był pan wspaniałomyślny, że zechciał nam poświęcić tyle czasu.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Może któregoś

ranka pozwoli pani zaprosić się na przejażdżkę brzegiem morza?

- Bardzo chętnie się z panem wybiorę, kapitanie Denning.

Skinął głową i nad czymś się zadumał.

- Za tydzień i jeden dzień mamy bal u regenta. Ufam, że pani się tam wybiera.

- Owszem - przyznała, nieznacznie unosząc głowę.

- Myślę o nim z wielką niecierpliwością.

Przez następne kilka dni Olivia widywała kapitana Denninga niemal wszędzie. Prawie każdego ranka brał ją na przejażdżkę, spotkali się też pięć razy wieczorem, między innymi na wieczorku u lady Rossiter, chociaż tam kapitan Denning szybko znikł z innymi dżentelmenami w pokoju do gry w karty. W wigilię balu u regenta zobaczyli się znowu na kolacji u lady Carne.

- Musi mi pani obiecać przynajmniej jednego walca, panno Olivio - powiedział Jack. - Odmowę traktowałbym jak zniewagę.

Olivia uśmiechnęła się. Chociaż i tego wieczoru przygotowano stoliki dla graczy w karty, nie mieli okazji zagrać przeciwko sobie, porzestali więc na szermierce słownej.

- Może zyskam aż tyle pani względów, bym mógł dostać nawet dwa tańce?

- Może - odrzekła Olivia. - Na przykład pierwszego walca i taniec przed kolacją.

- Trzymam panią za słowo.

Nie można winić Olivii za to, że prowokujące, zagadkowe spojrzenia kapitana Denninga brała za dowód zainteresowania jej osobą. Wprawdzie starała się zachowywać rozsądnie, ale było jej trudno, musiała bowiem stawić czoło burzy uczuć, jakiej nigdy przedtem nie doznała. Dlatego gdy w dniu balu u regenta spotkała rano podczas spaceru Robinę Perceval, była bardzo zaskoczona dziwną reakcją przyjaciółki na nazwisko kapitana Denninga, które padło w rozmowie.

- Widzę, że coś wiesz, i to cię trapi. Co takiego? - zainteresowała się Olivia.

Robina spłonęła rumieńcem, bardzo zakłopotana.

- Wiem, że go lubisz, Olivio... ale powinnaś chyba zachować wobec niego ostrożność. Ludzie... ludzie dziwnie o nim mówią.

- Nie rozumiem. Co mówią?

- Słyszałam, że jest skłócony i z dziadkiem, i z ojcem. - Robina zawahała się, po czym dodała: - Odmówił odwiedzenia ojca na łożu śmierci. Przysiągł, że nigdy się nie ożeni. On nie lubi kobiet i im nie ufa.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła Olivia, której znajomość z kapitanem wcale o tym nie świadczyła. - Zawsze jest czarujący i dla mnie, i dla wszystkich dam, które spotyka.

- Wiem, że z pozoru tak to wygląda - przyznała Robina. - Lady Exmouth słyszała, że odmówił wywiązania się z obowiązku wobec rodziny Hegganów. Lord

Heggan zażądał od niego, żeby się ożenił i dał rodzinie dziedzica... a on odmówił.

- I to wszystko? - Olivia roześmiała się, widząc śmiertelnie poważną minę przyjaciółki. - Może on po prostu nie chce ożenić się z takiego powodu.

Jej buntownicza natura wzięła niesubordynację kapitana wobec rodziny za znak tego, że Denning, podobnie jak ona, mógłby kogoś poślubić jedynie z miłości. Potwierdziło to jej romantyczne ideały i jeszcze bardziej utwierdziło ją w przeświadczeniu, że jest to jedyny człowiek, którego mogłaby pokochać.

Bardzo niecierpliwie czekała na spotkanie z kapitanem tego wieczora i zupełnie nie wzięła sobie do serca ostrzeżenia przyjaciółki. Wiedziała, że na ostrożność jest już za późno. Pierwszy raz w życiu zakochała się jak szalona i była pewna, że jej mężem może być tylko Jack Denning, nikt inny.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Może chcesz zamienić słowo z Olivia, najdroższa - zwrócił się do żony Harry Ravensden, odprawivszy służącą, która właśnie skończyła ubierać Beatrice na wieczór.

- Pozwól, że sam zapnę ci kolbę. - Czułe pogłaskał ją czubkami palców po karku. - Och, piękna... wspaniała.

- Naturalnie miał na myśli żonę, a nie naszyjnik ze szmaragdów i brylantów, który właśnie jej podarował.

- Rozpieszczasz mnie, Harry. - Beatrice popatrzyła na niego, a jemu wydało się, że oczy ma piękniejsze niż zwykle. - Naturalnie wiem, co masz na myśli. Olivia jest zakochana, chociaż próbuje to ukryć, udając flirt.

- Mimo wszystko jej słabość do Denninga została zauważona - powiedział Harry, marszcząc czoło. - Uważam, że powinna być ostrożna. Ludzie uwielbiają plotkować. Po tym niefortunnym epizodzie w zeszłym roku Olivia musi być poza wszelkimi podejrzeniami i dotyczy jej to w większym stopniu niż innych młodych dam. Inaczej jej reputacja ucierpi jeszcze bardziej.

- Och, co ty mówisz? - Beatrice natychmiast zaniepokoiła się o siostrę. - Przecież nie zrobiła niczego złego, Harry.

- Wcale nie chciałem zasugerować, że jest inaczej. Rzecz jasna nie! Wina zawsze leżała bardziej po mojej stronie, a nie Olivii. Chciałem tylko zwrócić ci uwagę, że to się może odbić na Olivii, jeśli Denning nie jest postacią bez skazy.

- A myślisz, że nie jest? - Beatrice spojrzała na niego, teraz nie na żarty zaniepokojona.

- Słyszałem, że odmówił ożenku, kiedy zażądał tego od niego lord Heggan. Z moich obserwacji wynika, że Olivia go pociąga, ale tymczasem Denning nie myśli o małżeństwie.

- Och, Harry! - wykrzyknęła Beatrice. - Obyś się mylił. Nie chciałabym, żeby Olivia cierpiała.

- Ja też nie - potwierdził Harry. Podobnie jak żona dobrze wiedział, że wiele Olivii zawdzięczają. - Czy chcesz, żebym porozmawiał z Denningiem na osobności i namówił go do wycofania się, jeśli nie ma poważnych zamiarów?

- Czy to go nie urazi?

- Jestem gotów zaryzykować niechęć Denninga, jeśli tylko miałyby to pomóc twojej siostrze, najdroższa. O wiele lepiej, żeby poczuł się urażony, niż gdyby Olivia miała się w nim nieszczęśliwie zakochać.

Beatrice skinęła głową, ale nic na to nie powiedziała. Bardzo się obawiała, że jeśli chodzi o Olivię, jest już za późno. Harry na pewno będzie wiedział, jak delikatnie rozwiązać tę kwestię, a być może wcale nie ma powodu do zmartwień.

- Tak, chyba powinieneś z nim porozmawiać, Harry - zgodziła się. - Wyłumacz mu, że ona już miała jedno przykre doświadczenie i dlatego rodzina chce ją uchronić przed następną falą plotek.

Olivia, szczęśliwie nieświadoma tego, że siostra ze szwagrem dyskutują o jej losie, kończyła przygotowania do balu. Włożyła wieczorową suknię w jasnożółtym kolorze, z głębokim dekoltem w kształcie litery V, zdobionym z przodu jedwabnymi kwiatami, a z tyłu falbankami aż po niewielki tren, który wyglądał bardzo modnie i elegancko. Długie rękawiczki były białe, podobnie jak pantofelki, a włosy poskręcane w pierścionki przytrzymywała biała aksamitka.

Z innych ozdób włożyła tylko złoty krzyżyk, bo biżuterii miała bardzo mało. Jedyne parę świecidełek od Beatrice i parę sznurów koralu. Wszystkie klejnoty zostawiła w domu przybranych rodziców.

Ze zdziwieniem stwierdziła, że od początku dnia nacierają ją myśli o lady Burton, W ostatnich miesiącach starała się wyrzucić z pamięci kobietę, która przez wiele lat była dla niej jak matka, ale czasem przykre wspomnienia wracały.

Lord Burton zawsze był surowy, chociaż pod względem materialnym bez wątpienia Olivię rozpieszczał. Mimo to miała wątpliwości co do szczerości jego uczuć. Wydawało jej się, że jest raczej widziana jako cenna ozdóbka, zabawka, na którą lord Burton mógł sobie pozwolić dzięki

swemu bogactwu. Gdy podrosła, stwierdziła któregoś dnia, że nie bardzo podobają jej się jego spojrzenia. Były takie, jakby widział w niej kogoś zupełnie innego niż przysposobioną córkę, której wszystko wolno.

Podobnych wątpliwości co do uczuć lady Burton Olivia nie żywiła. Była przekonana, że przybrana matka darzy ją miłością. Wprawdzie po opuszczeniu domu lorda Burtona miała jej za złe, że na to pozwoliła, ale z miesiąca na miesiąc nabierała przekonania, że lady Burton w zasadzie nie pozostawiono wyboru.

Może Beatrice miała rację. Może należało jednak uczynić krok ku pojednaniu z lady Burton?

- Czy jesteś gotowa, najdroższa? - Olivię wyrwał z zamyślenia głos siostry, która weszła do sypialni. - Och, jak ślicznie wyglądasz.

- Dziękuję - powiedziała Olivia z uśmiechem. - A ty wyglądasz wspaniale, Beatrice. Wprost promieniesz.

- I czuję się wspaniale. - Beatrice dotknęła szmaragdowej koliai, lekko zaczerwieniona. - Harry dał mi dziś prezent. Kupił mi to na urodziny, ale tak bardzo ucieszył się z mojej nowiny...

Olivia skinęła głową i radośnie ucałowała siostrę w policzek.

- Należą ci się gratulacje, Beatrice.

- A więc domyśliłaś się. - Roześmiała się. - Nie chciałam niczego mówić, póki nie nabiorę pewności. Przedtem tylko napomknęłam Harry'emu, że mogę być

przy nadziei, a on powiedział, że też ma swoje podejrzenia w tej kwestii. Wkrótce wezwie doktora, ale i tak jestem prawie pewna.

- Bardzo się cieszę. Na pewno jesteś szczęśliwa.

- Tak. Oboje jesteśmy. - Beatrice zawahała się. Nie mogła się zdobyć na to, by porozmawiać z Olivią o kapitanie Denningu. Bądź co bądź, Harry mógł być w błędzie, gdy twierdził, że kapitan nie myśli o małżeństwie. - Chciałabym i ciebie zobaczyć taką szczęśliwą.

- Jestem o wiele szczęśliwsza, niż byłam - odparła Olivia z uśmiechem. - Och, wiem, że nie powinnam pozwalać sobie na nadzieję, ale to jest silniejsze ode mnie. Dobrze wiem, że nigdy nie wyjdę za mąż, jeżeli nie... - Spłonęła rumieńcem. - Nie muszę ci tego tłumaczyć. Zakochałaś się przecież w Harrym od pierwszego wejrzenia.

Beatrice uśmiechnęła się i postanowiła jednak ukryć niepokój. Dobrze rozumiała, co teraz czuje Olivia. Sama musiała przebrnąć przez okres niepewności i wielkich wahań, póki Harry wreszcie nie wyznał jej miłości.

- Pójdziemy już? - zaproponowała, wyciągając rękę do Olivii. - Nie powinnyśmy stracić ani minuty. Jestem pewna, że na parkiecie będzie okropny tłok, ale zamierzam potańczyć dziś wieczorem, jeśli uda mi się utrzymać Harry'ego z dala od stolików do gry w karty dostatecznie długo, bym miała partnera.

Bal był imponujący. Pawilon naturalnie zwracał uwagę już samą fasadą, ale wewnątrz umeblowane w sty-

lu chińskim wyglądało zdaniem Olivii bardzo dziwnie, chociaż wiele osób wyrażało głośne zachwyty. W gorących i dusznych salach damy niemal bez wyjątku robiły użytek z wachlarzy.

Wszyscy ubrali się w najlepsze kreacje i włożyli najcenniejsze klejnoty, które pobłyskiwały w świetle kandelabrow. Beatrice słusznie przewidziała wielki tłok. W każdej sali pełno było śmiejących się i gawędzących ludzi, a każdy z gości zdawał się znać resztę. Oliwię prawie natychmiast po wejściu na salę balową obiegli chętni do tańca, tak więc nie miała okazji zwrócić uwagi na przepełnienie.

Harry dobrze wywiązał się ze swojego zadania. W Olivii dostrzeżono dziewczynkę, toteż kilku młodzieńców z dziurawymi kieszeniami uznało, że warto podjąć ryzyko odrzucenia zalotów. Trudno było wszak przewidzieć, czy panna Roade Burton nie zmieni zdania po raz wtóry, a z pewnością stanowiła całkiem dobrą partię. Kiedy zaś sam regent uśmiechnął się do niej i zaszczycił ją kilkoma minutami uprzejmej rozmowy, ugruntowało to jej sukces.

Karnet Olivii zapełnił się szybko, ale sama wpisała ołówkiem w dwóch miejscach nazwisko kapitana Denninga, a gdy ogłoszono pierwszego walca, kapitan do niej podszedł.

- To mój taniec, jeśli się nie mylę, panno Olivio?

- Zobaczmy. - Udała, że sprawdza w karnecie. - Rzeczywiście. Wygląda na to, że ma pan rację.

Jack mocno ujął ją za ramię i zaprowadził na parkiet.

- Pani jest trzpiotką, panno Olivio.

- Jak pan może tak mówić, kapitanie Denning? -
Przesłała mu figlarne spojrzenie.

- Trzymam się prawdy - odparł i położywszy jej rękę na talii, porwał ją w tłum wirujących tancerzy.

Przy ich pierwszym spotkaniu Olivio przestraszyła się psa, więc wydawała się lękliwa. Przy drugim sprawiała dość smutne wrażenie, ciągle bowiem podpierała ścianę. Tego wieczoru znów była panną Roade Burton, która zrobiła furorę w towarzystwie.

Instynktownie wyczuwała, że kapitan Denning jest trochę zdziwiony jej przeobrażeniem. W jego zachowaniu tego wieczoru zauważyła dziwną rezerwę, niemal chłód. Może posądził ją o flirtowanie? Zerknąwszy na niego z niepokojem, stwierdziła, że wydaje się patrzeć gdzieś za jej plecy.

Czyżby czymś go zagniewała? Nie mogła jednak odgadnąć żadnego powodu. Chyba że kapitan Denning był po prostu zazdrosny.

Od tej myśli serce zabiło jej szybciej. Och, gdyby naprawdę tylko o to chodziło! Gdyby wreszcie się odezwał...

- Czy będzie pan na balu u lady Ravensden w przyszłym tygodniu?

- Obawiam się, że nie - odparł Jack. - Wezwano mnie w ważnej sprawie do domu. W niedzielę wyjeżdżam.

A więc już za dwa dni! Olivie ogarnął smutek. Tak niewiele czasu jej zostało, a potem może nawet już nigdy go nie zobaczyć.

- Będzie nam pana brakować - powiedziała całkiem szczerze. - Sądzę, że moja siostra chce zostać w Brighton jeszcze przynajmniej tydzień dłużej.

- Och, ma pani tutaj tylu znajomych, że jeden mniej nie będzie czynił różnicy - zauważył Jack, ignorując smutne spojrzenie jej pięknych oczu. - Jestem pewien, że przez tydzień pani o mnie zapomni.

- Na pewno nie, sir.

Taniec dobiegł końca. Olivia zauważyła, jak kapitan Denning marszczy czoło. Wyczuwała, że coś go trapi. Niewątpliwie zaczął się inaczej zachowywać wobec niej, dużo mniej swobodnie. Dlaczego? Co spowodowało, że nagle przestał okazywać jej przyjaźń?

Chciała go o to spytać, ale się nie odważyła. Tylko przesłała mu piękny uśmiech, a oczy prowokująco jej zabłyśły.

- Nie zapomni pan, że mamy jeszcze zatańczyć przed kolacją?

- Nie. - Uśmiechnął się do niej, skłonił i wmieszał się w tłum.

Olivia przez chwilę śledziła go wzrokiem, a jej zadumany wyraz twarzy zdradzał znacznie więcej, niżby chciała po sobie pokazać. W końcu odwróciła się i powitała następnego partnera.

Stojąca w drugim końcu sali lady Clements zauwa-

żyła wymowne spojrzenie Olivii i zwróciła się do swojego kuzyna:

- Powinieneś lepiej się starać, żeby obudzić zainteresowanie panny Roade Burton - powiedziała ostro.

- W przeciwnym razie stracisz szansę na jej majątek. Dziesięć tysięcy to nie jest wiele, ale zawsze może się przydać.

- A co mam zrobić? - spytał pan Reginald Smythe.

- Ona prawie nie zwraca na mnie uwagi, i to nie tylko z powodu Denninga. Odkąd wyszło na jaw, że nie jest bez pensa przy duszy, ma znowu mnóstwo adoratorów.

- Nie bądź taki rozlazły - rzekła bez ogródek lady Clements, mierząc go niechętnym spojrzeniem. - Masz prawie pięć tysięcy długów, przy czym ani twoja mama, ani ja nie zamierzamy tego spłacić. Jeśli nie wykażesz trochę pomysłowości, to skończysz w więzieniu dla dłużników.

Reginald Smythe ponuro skinął głową. Postąpił bardzo głupio, że grał o stawki, na które nie było go stać, bo przecież wiedział, że nie ma co liczyć na pomoc kogokolwiek z rodziny. Jeśli nie uda mu się znaleźć sposobu na zainteresowanie swoją osobą jakiejś dziedziczki, najprawdopodobniej będzie oznaczać to dla niego ruinę. Co właściwie mógł zrobić?

- Panna Roade Burton jest w krępującej sytuacji. Po ostatnich niefortunnych wydarzeniach z jej udziałem ma mocno nadszarpniętą reputację - stwierdziła jadowicie lady Clements. - Nie powinno przerastać twoich

możliwości skompromitowanie tej panny. Zaproś ją do ogrodu albo do jednego z prywatnych pokojów. Ja tymczasem wdam się w rozmowę z jej siostrą, a jeszcze lepiej z lordem Ravensdenem. Jeśli przyłapiemy cię na niestosownym zachowaniu, każę ci postąpić tak, jak nakazuje honor, czyli ożenić się z tą panną.

Reginald popatrzył na nią oszołomiony. Plan był zuchwały i zaskakujący, zwłaszcza w ustach szacownej ciotki.

- Wezmę ją do jednego z pokojów przy sali balowej - zdecydował. - To znacznie bardziej intymne miejsce niż ogród, nie sądzisz?

Nieświadoma spisku lady Clements i jej siostrzeńca, Olivia dalej tańczyła do utraty tchu. Chociaż często wypatrywała kapitana Denninga, ani razu nie udało jej się go wyłowić z tłumu. Zapewne ukrył się w pokoju do gry w karty, gdyż podobnie jak wielu innych dżentelmenów wolał spędzać wieczór właśnie w ten sposób.

Domysł ten był jednak ze wszech miar błędny, Jack poszedł bowiem do ogrodu wypalić cygaro i podumać. Wcześniejsza rozmowa z Harrym Ravensdenem, zresztą niezbyt miłej natury, dała mu dużo do myślenia.

Widząc upokorzenie panny Raade Burton na balu u lady Clements, bez namysłu przyszedł jej z odsieczą, ponieważ nie znosił hipokryzji towarzystwa, a poza tym panna zaimponowała mu dzielnością, gdyż z godnością znosiła to, co wokół niej się działo. Potem zaczęli rozmawiać, trochę się poznali i wtedy nagle zro-

zumiał, że uległ czarowi jej filuternych spojrzeń i uśmiechów.

Podjezwiał, że Olivia jest dużo ciekawszą osobą, niż gdyby sądzić na podstawie jej manier. Może właśnie to skłoniło go do niezobowiązującego flirtu, jak pojmował tę znajomość. Tak było przez kilka następnych dni... aż do tego wieczoru. Jeśli w eleganckim towarzystwie oczekiwano od niego oświadczyn, a panna Roade Burton podzielała te oczekiwania, to wszystkich czekało przykre rozczarowanie.

Owszem, była urocza. Owszem, bawiła go prowokującymi spojrzeniami... i owszem, pociągała go fizycznie. Nawet obudziła w nim opiekuńczość, której nigdy przedtem u siebie nie zauważył. To jednak nie znaczyło, że rozważał uczynienie panny Roade Burton swoją żoną. Jack miał powody, by zrezygnować z małżeństwa, zresztą w całości nigdy ich nikomu nie wyjawiał. Ze swego największego koszmaru nie zwierzył się nawet Anne, która kiedyś była jego kochanką, a ostatnio przyjaciółką.

Nie, byłby doprawdy głupcem, gdyby myślał o Olivii! Zabrnęli w ślepią uliczkę. Jeśli nawet kiedyś zastanawiał się nad czymś więcej niż flirt, to po otrzymanym ostrzeżeniu musiał przemyśleć to ponownie. Ravensden dał mu jasno do zrozumienia, że dobre imię Olivii będzie chronił za wszelką cenę.

To rozzłościło Jacka. Wielki Boże! Czyżby Ravensden wyobrażał sobie, że on, Jack Denning, pragnie

kompromitacji tej panny? On!? Skrzywdzenie kobiety w jakikolwiek sposób było tak sprzeczne z naturą Jacka, że gdyby nie rozumiał dobrze, z jakiej pozycji rozmawia z nim Ravensden, mógłby nawet wyzwąć go na pojedynek za obrazę.

Jeśli nie zamierzał uwieść Olivii ani się z nią ożenić, to jakie miał zamiary?

Zirytowany tymi rozmyślaniami spochmurniał. Nie znosił, kiedy wtrącano się do jego spraw. Przeklęty Ravensden! Co go to obchodzi? W gruncie rzeczy jednak nie mógł mieć do Ravensdena pretensji. Było prawdą, że poświęcał tej pannie szczególną uwagę. Gdyby nadal tak robił, bez wątpienia zaczęto by snuć domysły, które mogłyby Olivii zaszkodzić. Jeśli nie jej samej, to na pewno opinii o niej. Uczuć samej Olivii też nie był pewien. Czasem jej uśmiech wydawał się świadczyć o czymś więcej niż przyjaźń, innym razem Jack uznawał tylko, że jest serdeczny.

Nie pozostawiono mu wyboru, musiał się wycofać. Przecież nie powinien poślubić takiej panny. Miała za wiele uroku, była za dobra dla niego i za bardzo niewinna, by poznać dręczące go demony.

Podjąwszy decyzję, cisnął cygaro w krzaki. Honor nakazywał mu przystąpić do działania natychmiast. Postanowił znaleźć Olivie, przeprosić ją i wyjść z balu jeszcze przed kolacją.

W tym samym czasie, gdy Jack bił się z myślami, Olivia spoglądała zafrasowana na rąbek sukni. Był roz-

darty, właśnie przed chwilą nastąpił na jej suknię niezdarny pan Reginald Smythe, który podszedł, by zaprosić ją do tańca.

- Zniszczyła się taka piękna suknia - powiedział cały czerwony i chyba już czwarty raz zaczął ją przeproszać. - Jak mogę wynagrodzić pani moją niezręczność? Tak mi przykro.

- Proszę się nie przejmować - powiedziała Olivia, z trudem powstrzymując zniecierpliwione westchnienie. Jednak pan Smythe wyglądał tak żałośnie, że aż zaczęła mu współczuć. - Zaraz znajdę jakieś odosobnione miejsce i sfastryguję rozdarcie.

- Czy ma pani stosowne przybory w torebce? - spytał, nagle pogodniejąc. - Może pani pomożę. Pokażę pani odpowiedni pokój tu obok.

Olivia zapewne zachowałaby więcej rozsądku, gdyby pan Smythe należał do grona znanych uwodzicieli, którzy w Londynie z zapamiętaniem ją prześladowali. Ale pan Reginald Smythe był tak wstydliwym i niepewnym siebie młodzieńcem, że czuła się w jego obecności całkowicie bezpieczna, uśmiechem wyraziła więc zgodę na tę propozycję.

- Chodźmy niezwłocznie - powiedziała. - Nie mogę tańczyć, póki nie naprawię sukni.

Wyszła z sali balowej i skręciła do zacisznego saloniku, podążając za skruszonym panem Reginaldem Smythe'em. Zamknąwszy drzwi, podszedł do stolika przy sofie i postawił na nim świecznik, żeby Olivia miała jaśniej.

— Niech pani usiądzie, a ja podtrzymam rąbek sukni, żeby mogła go pani odpowiednio zszyć.

Olivia zmarszczyła czoło. Nagłe uświadomiła sobie, że to sam na sam mogłoby wydać się dziwne komuś, kto przypadkiem wszedłby do tego pokoju. Powinna była naturalnie iść na piętro do garderoby dla pań, gdzie służąca naprawiłaby uszkodzenie. Chyba jednak nie miało to większego znaczenia. Przecież reperacja zajmie tylko chwilę i zaraz będzie można wrócić na salę balową.

Usiadła, a pan Smythe przykląkł u jej stóp i ostrożnie podsunął jej rozerwany kawałek sukni. Olivia wykonała kilka ruchów igłą i schowała przybory do szycia do torebki.

- Po kłopotcie - powiedziała z ulgą. - Dziękuję panu, powinniśmy wrócić na salę.

- Nie, jeszcze nie! - krzyknął pan Smythe. Olivię zaskoczył zdesperowany wyraz jego twarzy. Młody człowiek zerknął na drzwi, a potem chwycił ją za rękę. - Przeprowadziłem panią tutaj, żebyśmy zostali tylko we dwoje. Proszę mi wybaczyć, panno Olivio, ale musi pani wiedzieć, że ją kocham. Jestem gotowy na wszystko. Jeśli mnie pani nie poślubi, nie wiem, co zrobię.

- Niech pan się uspokoi. - Olivią wstrząsnął widok rozbieganych oczu wciąż klęczącego przed nią pana Smythe'a. Zrozumiała, że jednak nie powinna była tu z nim przyjść. - Bardzo mi schlebiają pańskie oświadczenia, ale nie mogę ich przyjąć. Nie odwzajemniam pańskich uczuć. Muszę prosić, żeby puścił pan moją rękę i...

Znowu skierował spłoszone spojrzenie ku drzwiom, a potem niespodziewanie rzucił się naprzód i całym ciałem przygniótł ją do sofy. Olivia poczuła na sobie wielki ciężar. W ogóle nie mogła się ruszyć. Przejęta obrzydzeniem, czuła, jak Smythe ugniata jej piersi i wyciska jej na ustach oślizgły pocałunek. Zebrała siły, by spróbować go odepchnąć, a jednocześnie zdołała odchylić głowę.

- Nie!... Niech mnie pan puści! Natychmiast!

- Radzę panu zastosować się do prośby panny Rode Burton!

Zimny, złowieszczo brzmiący głos zaskoczył uwodziciela. Pan Smythe odskoczył raptownie i ze zgrozą przekonał się, że do pokoju wszedł kapitan Denning.

- Ccco pan tu robi? - wybąkał głupio. - Miała przyjść moja ciotka z... - Urwał. - To znaczy... chciałem...

- Dobrze wiem, czego pan chciał - powiedział Jack groźnym tonem. - Jest pan szubrawcem i głupcem. Jak pan śmiał zachować się w tak niegodny sposób? Proszę natychmiast się stąd wynosić. Bo jeśli nie, to zapomnę, że jest pan tylko tępawym gołowąsem, i dam panu lekcję dobrego wychowania.

- Naturalnie... Proszę o wybaczenie.

Reginald Smythe dopadł drzwi jak spłoszony zając.

Olivia usiadła sztywno wyprostowana. Policzki jej płonęły. Co za upokorzenie!

- Byłam nieostrożna - bąknęła. - Nie spodziewałam się, że on...

- Padła pani ofiarą knowań bardzo głupiego młodzieńca i jego ciotki intrygantki - wytłumaczył Jack i podszedł bliżej. Olivia niepewnie wstała. - Nic nie może usprawiedliwić takiego ich postępowania, ale powinna pani wziąć sobie tę lekcję do serca. Mężczyznom nie należy ufać, Olivia. Nawet najlepsi spośród nich zachowują się czasem jak bestie.

Wstrząsnęła nią jego ponura mina. Co znowu tak go przygnębiło? Przecież nie nieudolna uwodzicielska próba, której w porę zapobiegł.

- On naprawdę wydawał się nieszkodliwy, ale naturalnie powinnam być bardziej przezorna. - Rumieniec policzkach stał się jeszcze bardziej intensywny.
- Nie sądziłam.

Jack zmarszczył czoło, zobaczył bowiem, że jedwabne róże zdobiące stanik sukni odpruły się podczas szarpaniny.

- Niech diabli wezmą tego głupca! - rzekł, ogarnięty nagłym przypływem wściekłości. - Powinienem był sprać go na kwaśne jabłko. Nie zasługuje na nic innego!

- To bez znaczenia. Wszedł pan w porę, żeby... żeby... - Nie była w stanie dokończyć tego zdania,

- Pani suknia jest rozdarta. Czy ma pani szpilkę?

- Sądzę, że tak. - Olivia spojrzała na siebie. - Och, źle wygląda to rozdarcie. Nie wiem, czy uda mi się je naprawić.

- Proszę pozwolić, pomogę. - Jack wziął od niej szpilkę, a widząc, jak bardzo wstrząśnięta jest Olivia,

ostrożnie dotknął jej policzka. - Proszę mi wybaczyć, że nie pojawiłem się wcześniej. Wracając z ogrodu, wiedziałem, jak pani tu wchodzi z panem Smythe'em, ale zaważałem się, bo sądziłem...

- Chyba nie sądził pan, że chcę zostać sam na sam z panem Smythe'em? - Olivia spojrzała na jego zakłopotaną minę. - On mi przydepnął suknię i rozdarł rąbek, a potem zaproponował, że pomoże to naprawić. Widzę teraz, że to była zwyczajna intryga, bo chciał zostać ze mną sam na sam, ale wtedy myślałam, że jest na coś takiego zbyt nieśmiały. Myliłam się, ale chyba nie uważa pan, że to ja sprowokowałam tę scenę, która miała miejsce przed chwilą? Że chciałam go zachęcić do takiego zachowania?

- Nie, naturalnie nie. - Jack wydawał się nie do końca przekonany. - Rzecz jasna, mężczyznom zdarza się przecenić znaczenie powłóczyściego spojrzenia. Zwłaszcza takim młodzikom, którzy nie mają pojęcia o manierach.

- Wcale z nim nie flirtowałam. Musi mi pan uwierzyć - powiedziała żarliwie. - Nie zależy mi na nikim z wyjątkiem... - Urwała, zrozumiała bowiem, czego omal nie powiedziała.

Jack zmarszczył czoło. Spojrzał jej w oczy i zdawało się, że czegoś w nich szuka, a potem całkiem nieświadomie pochylił głowę i pocałował Olivię w usta. Początkowo pocałunek był czuły, ale natychmiastowa gorąca odpowiedź Olivii bardzo Jacka ośmieliła. Objął ją i przytulił tak zaborczo, że Olivia zapomniała o całym świecie. Zaczęli całować się namiętnie, choć zarazem

było w tym tyle czułości, że Olivia nie odczuwała najmniejszego skrępowania.

Żadne z nich nie zauważyło otwierających się drzwi. Dopiero gdy rozległ się krzyk kobiety, odskoczyli od siebie jak dwoje winowajców. Odwrócili się i ujrzeni na progu lady Clements, zaskoczona nie mniej niż oni. Za jej plecami stał lord Ravensden, który z marsmem na czole wydawał się wyjątkowo surowy. Olivia nagle przypomniała sobie o odprutych różach przy staniku i w ogóle o żałosnym stanie swojej sukni. Wszystko wskazywało na to, że do jej zniszczenia doszło podczas tej schadzki z kapitanem Denningiem. Co też pomyśla o niej lady Clements i lord Ravensden?

Na twarzy Harry'ego malował się gniew, zaraz jednak jego miejsce zajął uśmiech, aczkolwiek wcale nie był on przyjazny tak jak zwykle.

- Wnoszę, że mogę życzyć ci szczęścia, Denning - powiedział przez zęby. Nie ulegało wątpliwości, że odpowiedź nie po myśli Ravensdena mogła skończyć się rozlewem krwi.

Jack wahał się tylko chwilę, zanim skłonił głowę. Nie obawiał się pojedynku z Ravensdenem, nie chciał jednak jego bezsensownej śmierci. Zresztą odpowiedź wydała mu się nagle banalnie prosta.

- Jestem właśnie w tej fortunnej sytuacji, lordzie Ravensden. Jak pan pamięta, rozmawialiśmy na ten temat wcześniej. Z radością spieszę więc zawiadomić, że Olivia przyjęła moje oświadczenia.

Harry skinął głową i zwrócił głowę ku Olivii, która sprawiała wrażenie wstrząśniętej.

- Gratuluję panu, Denning. Dokonał pan mądrego wyboru. Olivio, moja droga, chciałbym, żebyś była szczęśliwa.

- Może zechce pan ogłosić nasze zaręczyny jeszcze w ciągu tego wieczoru? - zaproponował Jack. - Olivia ma pewne kłopoty z suknią. Wrócimy na salę, gdy tylko ją naprawi.

- Coś takiego! - zawołała lady Clements. Zupełnie nie umiała ukryć swojej głębokiej irytacji, że to kapitan Denning uwiódł Olivię, a nie jej siostrzeniec. Wiadomość o zaręczynach sprawiła, że na jej wychudzonej twarzy pojawił się nieprzyjemny grymas. - Myślałam... ale wygląda na to, że byłam w błędzie. Bardzo przepraszam. - Wyszła z pokoju sztywno wyprostowana.

Harry zmarszczył czoło i głośno zamknął za nią drzwi.

- Lady Clements nalegała, żebym z nią tutaj przyszedł - powiedział. - Dała mi do zrozumienia, że Olivia znalazła się w kłopotliwym położeniu, więc czułem się w obowiązku ulec jej życzeniu. Zapewne miałem zmusić cię do małżeństwa z jej siostrzeńcem, Olivio. Przepraszam, że pozwoliłem tak sobą pokierować, ale liczyłem na to, że uda mi się powstrzymać niepożądany rozwój wypadków. Skoro jednak lady Clements zastała was w takiej sytuacji, obawiam się, że teraz nie ma rady. Co za galimatias!

- Niewłaściwie ocenia pan sytuację - oświadczył zdecydowanie Jack. - Pańskie nadejście nie miało żadnego znaczenia, Ravensden. Olivia właśnie przyjęła moje oświadczenia i niewątpliwie wkrótce sami zawiadomilibyśmy o tym pana i lady Ravensden.

- Czy tak, Olivia? - spytał Harry. - Czy naprawdę z własnej, nieprzymuszonej woli chcesz tego małżeństwa?

Dumnie uniosła głowę.

- Kapitan Denning uratował mnie przed uwodzicielskimi zakusami siostrzeńca lady Clements. Broniłam się przed panem Smythe'em i wtedy podarła mi się suknia. Kapitan Denning pomógł mi dojść do siebie po tym przykrym wypadku. A potem okazało się, że nasze uczucia są od nas silniejsze.

Harry rozpogodził się.

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak życzyć wam obojgu wszystkiego najlepszego i wiele szczęścia w przyszłości. Cieszę się i przepraszam, że pana niewłaściwie oceniłem, Denning. Jeśli można, pójdę teraz poszukać Beatrice i przekazać jej dobrą nowinę. Wiem, że będzie bardzo zadowolona z waszych zaręczyn.

Gdy wyszedł, w pokoju zapanowała cisza. W końcu Olivia spojrzała Jackowi prosto w twarz. Oczy miała podejrzenie wilgotne.

- Nie musi pan się ze mną żenić - powiedziała dzielnie. - Możemy odczekać pewien czas, a potem zerwać zaręczyny.

- Czy tego pani chce, Olivio?

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w Jacka, a potem pokręciła głową.

- Nie, ale pan został postawiony w sytuacji bez wyjścia. Daję panu szansę wycofania się, jeśli nawet nie od razu, to po pewnym czasie.

Jack ujął jej rękę, odwrócił i ucałował otwartą dłoń.

- Nie chcę się wycofać - powiedział cicho. - Nie jestem tego wart, ale będę zaszczycony, jeśli zgodzi się pani zostać moją żoną, panno Olivio.

- Jestem panu bardzo wdzięczna. Te oświadczyzny schlebiają mi w najwyższym stopniu. - Olivia dygnęła.

- To dla mnie prawdziwe szczęście, że mogę zostać pańską żoną.

- A więc wszystko ustaliliśmy - podsumował Jack.

- Czy chce pani wziąć ślub w Londynie, czy w swoim rodzinnym majątku?

- Jeszcze... jeszcze o tym nie myślałam. - Olivia nagle się zawstydziała. To wszystko stało się tak nagle, że na dobrą sprawę nawet nie miała czasu zaczerpnąć tchu. - Może o szczegółach porozmawiamy potem z moją siostrą?

- Naturalnie. Przyjdę z wizytą jutro w południe. Lady Ravensden na pewno wie, jak najlepiej postąpić - przyznał Jack. - A teraz, jeśli można, zepnę pani suknię.

Olivia skinęła głową. Stała nieruchomo i bała się nawet odetchnąć, gdy przypinał róże na miejsce. Poczowała muśnięcie jego palców w zagłębieniu między piersiami

i serce zabiło jej mocniej. Ciekawa była, czy Jack wie, jak bardzo poruszyło ją to intymne dotknięcie, ale gdy spojrzała mu w oczy, po plecach przebiegł jej dreszcz. On był taki poważny!

- Kapitanie Denning...

- Jack - poprawił ją i uśmiechnął się do niej. - Niech się pani nie obawia, Olivio. Nigdy pani nie skrzywdzę. Daję na to słowo. Zrobię wszystko, żeby pani była szczęśliwa, moja droga.

Olivia skinęła głową. Jej suknia odzyskała przyzwoity wygląd. Przyjęła więc ramię kapitana i razem wyszli z pokoju, by wrócić do sali balowej.

- Jeśli mi pozwolisz, chciałabym dać ci w prezencie absolutnie wyjątkowe wesele - powiedziała Beatrice do siostry. Siedziały w sypialni Olivii, niedawno zegar wybił drugą. - Mogłybyśmy urządzić je w Camberwell, a papa i Nan naturalnie by się u nas zatrzymali. Dom jest tak wielki, że możesz zaprosić tylu swoich przyjaciół, ilu tylko sobie życzysz.

- Jesteś dla mnie taka dobra! - Olivia uściskała siostrę. - Dziękuję ci za tę propozycję, ale nie chcę wystawnej uroczystości. Wystarczy mi, że będzie rodzina i kilkoro najbliższych przyjaciół.

- Kapitan Denning powinien porozmawiać z papą - ciągnęła Beatrice, odwzajemniwszy serdeczny uścisk siostry. - W każdym razie napiszę do niego i ty też powinnaś, Olivio. Kiedy papa wyrazi zgodę na piśmie,

możemy zaplanować ślub na... na kiedy? Za miesiąc? Czy może to za szybko? Musisz mi powiedzieć, jakie jest twoje życzenie. Czy potrzebujesz więcej czasu na poznanie kapitana Denninga?

- Jeśli o mnie chodzi, mogłabym go poślubić nawet zaraz! - oświadczyła Olivia. - Jack natomiast obiecał przyjść porozmawiać o szczegółach jutro w południe. - Olivia spojrzała na zegar i dodała: - Ach, nie. Już dzisiaj. Jeśli zaraz nie położymy się do łóżek, prześpiemy jego wizytę.

Siostry wymieniły uśmiechy.

- Tak się cieszę z twojego szczęścia, najdroższa - powiedziała Beatrice. - Dobranoc. Życzę ci miłych snów.

Po odejściu siostry Olivia położyła się do łóżka i zdmuchnęła świecę. Zamknęła oczy i wtuliła się w poduszkę, ale nie zasnęła od razu.

Czy Jack by jej się oświadczył, gdyby nie zastano ich w namyślnym uścisku? Na pewno nie od razu, ale może któregoś dnia...?

Olivia byłaby niebiańsko szczęśliwa, gdyby nie ta właśnie drobna wątpliwość. Wiedziała przecież, że jej reputacja ucierpiałaby bardzo poważnie, gdyby Jack wyraźnie nie oświadczył, że są zaręczeni. Lady Clements już by się o to postarała!

Chyba jednak Jack nie całowałby jej z takim zapamiętaniem, gdyby nie podzielał jej uczuć? Olivia rozumiała, że dżentelmeni nie zawsze są zakochani w damach, z którymi oddają się pieścizotom. Wiedziała, że

lord Burton ma kochankę, a lady Burton traktuje to jak coś normalnego. Ale co ma jedno do drugiego? Małżeństwo Burtonów nie zostało zawarte z miłości, a jednak małżonkowie byli razem przez wiele lat, chociaż każde z nich miało swoje życie.

Bardzo chciała, żeby Jack ożenił się z nią z miłości. Prosiła Boga, żeby właśnie tak było.

Wiedziała, że Beatrice i Harry kochają się jak szaleńcy. Była pewna, że Harry już nie ma kochanki. Beatrice nie zgodziłaby się na taką sytuację.

Pragnęłaby, żeby jej małżeństwo było takie jak siostry. Żeby miłość między nią a Jackiem wprost rzucała się w oczy.

W końcu uciszyła wątpliwości i wygodniej ułożyła się w pościeli. To prawda, że na Jacku wymuszono oświadczenia, ale po tym pocałunku i tak najprawdopodobniej zrobiłby to z własnej woli.

Olivia zasnęła, uśmiechając się do tej myśli.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Przecież wiesz, że życzę ci szczęścia - powiedziała Anne do Jacka następnego ranka. Szli nadmorską promenadą i przystanęli, by nacieszyć się malowniczym widokiem. - Naturalnie smutno mi, że nasz związek się kończy, ale i tak by do tego doszło. Jestem przecież lat od ciebie starsza, mój drogi, i wiedziałam, że to nie jest na stałe. - Uśmiechnęła się do niego. - Mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi.

- Naturalnie. Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, gdybyś potrzebowała pomocy - powiedział Jack. - W ogóle gdybyś kiedykolwiek znalazła się w trudnej sytuacji, zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, żeby ci pomóc. Przykro mi, że nie mogłem powiedzieć ci o mojej decyzji przed ogłoszeniem zaręczyn wczoraj wieczorem, ale to się zdarzyło dość nagle.

- Z tym często tak bywa - stwierdziła z uśmiechem. - Proszę, nie przejmuj się mną, Jack. Naprawdę się tego spodziewałam. Olivia to urocza panna i z wyglądu, i z natury. Jakby dla ciebie stworzona.

- Ma w towarzystwie o wiele wyższą pozycję - powiedział Jack i zmarszczył czoło. - Nie wiem, czy je-

stem dla niej odpowiednim mężczyzną. Zasłużyła sobie na kogoś lepszego, ale skoro los nas połączył, to zrobię wszystko, żeby była szczęśliwa.

Anne spojrzała na niego.

- Ta panna ma doprawdy wielkie szczęście. Dlaczego w siebie wątpisz? Chyba nie z powodu tego, co stało się w Badajoz? Nie mogłeś zapobiec tej tragedii, Jack. Co więcej, nie ponosisz za nią winy. Nie odpowiadasz za zamieszki wywołane przez twoich ludzi ani za to, co zrobili.

- Byli pod moim dowództwem - powiedział z posępną miną. - Nigdy nie zapomnę tej strasznej chwili, gdy spojrzałem jej w oczy. Krzyczała, błagała mnie, żebym ją ratował... a ja zawiodłem.

- Zawiodłeś, bo ktoś cię postrzelił - przypomniała Anne z nutą złości. - Gdyby kula poszła w bok, zabiłaby cię, a nie tylko rozorała ci skroń. Nie ponosisz najmniejszej winy za to, co się stało, mój drogi.

- Chyba rzeczywiście nie - przyznał. - Chociaż gdybym wkroczył szybciej, może zdążyłbym ją uratować. No cóż, chodzi nie tylko o to, Anne.

W odpowiedzi na jej spojrzenie pokręcił głową. Nawet przed Anne nie chciał się zwierzyć z ciężaru, który nosił od wielu lat. Incydent w Badajoz ożywił tamto wspomnienie jeszcze z dzieciństwa. Wtedy też słyszał kobiece krzyki przerażenia. Historia się powtórzyła, tyle tylko, że za pierwszym razem gwałconą i bitą kobietą była jego matka, a gwałcił ją ojciec, nie horda krwio-

żerczych żołnierzy. Badajoz było tylko impulsem, który sprawił, że tamte obrazy wydostały się z najciemniejszych zakamarków jego pamięci. Znowu musiał bez końca przeżywać tamten dzień, gdy oczy, które błagały bezradne dziecko o ratunek, należały do jego uwielbianej matki.

Pobiegł do jednego z lokajów i poprosił go o pomoc, ale ten go zbył, śmiejąc się, że zimna suka ma, na co zasłużyła. Jack nigdy nie zapomniał, jaką rozpacz wywołało w nim poczucie absolutnej bezradności. Choć po tamtym dniu matka odwróciła się od niego, on zawsze ją kochał.

Anne odezwała się znowu. Jack z trudem oddalił wspomnienia i skupił uwagę na jej słowach.

- Nie powinieneś wątpić w to, że twoja żona będzie szczęśliwa. - Anne wsparła się na jego ramieniu i przesłała mu uśmiech. - Jesteś ciepłym, dobrym człowiekiem, Jack. Wiele razy byłam dzięki tobie szczęśliwa. - Pocałowała go w policzek, rozumiała bowiem z jego uczuć więcej, niż Jack jej kiedykolwiek wyjawiał. - Nie jesteś swoim ojcem, Jack. Nie obciążaj siebie jego grzechami.

- Widzę, że dobrze mnie rozumiesz.

W przyjaznym milczeniu Jack odprowadził Anne do domu jej brata. Żadne z nich nie było świadome tego, że obserwuje ich ktoś, kto ma w oczach zazdrość, a w sercu jad.

- Czyli ustalone. - Beatrice uśmiechnęła się do siostry i Jacka Denninga. - Wydamy bal w przyszłym tygodniu, zgodnie z planem, tylko że teraz będzie to specjalny bal zaręczynowy. Natomiast ślub odbędzie się w drugim tygodniu sierpnia, trzeba więc rozesłać zaproszenia.

- Czy wystarczy czasu na przygotowanie sukni dla panny młodej? - spytał Jack, przesyłając Olivii pytające spojrzenie.

- Na pewno - odrzekła z oczami lśnącymi radością. - Modniarka ma moje wymiary. Niezwłocznie do niej napiszę.

- Wobec tego niech tak będzie.

- Czy naprawdę już jutro musi pan wrócić do swojej posiadłości? - spytała, nieświadoma błagalnego wyrazu swoich oczu.

- Niestety, rzeczywiście mam do załatwienia sprawę, która wymaga mojego wyjazdu z Brighton - odparł Jack. - Wrócę na bal i mam nadzieję, że wtedy będę mógł przyjąć gościny u pani siostry i spędzimy trochę czasu razem.

Olivia skinęła głową. Wolałaby, żeby Jack w ogóle nie wyjeżdżał z Brighton, ale do balu pozostawało zaledwie pięć dni, więc liczyła na to, że okres rozłąki szybko minie.

- Postaram się być cierpliwa - obiecała. - Naturalnie nie wolno panu zaniedbywać swoich spraw z mojego powodu.

- Gdy już się pobierzemy, będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby dobrze się poznać - powiedział Jack. Pocałował ją w otwartą dłoń. - Moglibyśmy odbyć podróż na kontynent, na przykład do Włoch. Chciałaby pani?

- Do Włoch? - Olivia spojrzała na niego zaskoczona. - Czy naprawdę moglibyśmy?

- Nie widzę przeszkód - roześmiał się Jack. - A teraz, niestety, muszę panie opuścić. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia przed opuszczeniem Brighton.

- Czy zje pan z nami kolację?

- Proszę mi wybaczyć, ale nie mogę. Muszę wywiązać się z wcześniejszej obietnicy.

Olivię bardzo rozczarowała odmowa. Miała nadzieję na przynajmniej krótkie sam na sam z narzeczonym przed jego wyjazdem, widocznie jednak nie było jej to dane. Musiała więc znieść zawód i robić dobrą minę do złej gry. Odprowadziwszy Jacka do drzwi, podsunęła mu rękę. W głębi serca łudziła się nadzieją, że obejmie ją i pocałuje tak samo jak podczas balu, ale i tym razem spotkało ją rozczarowanie. Jack cmoknął ją w rękę, czarująco się do niej uśmiechnął i znikł.

Westchnęła. Miała szczęście, ponieważ zaręczyła się z człowiekiem, którego pokochała, ale instynktownie oczekiwała jeszcze czegoś więcej. Może żarliwej deklaracji nieśmiertelnej miłości? Na szczęście w tej chwili obudziło się w niej poczucie humoru, uśmiechnęła się więc do siebie. Przecież Jack zachowywał się jak wzór dżentelmena. Jeśli zaś oczekiwała od niego czego inne-



go, to znaczy, że jest rozwiązłą kobietą. Cóż jednak mogła poradzić na to, że jej ciało reaguje na najlżejsze dotknięcie Jacka?

Po powrocie zastała w salonie czekającą na nią siostrę. Beatrice miała już mnóstwo planów w związku ze ślubem, toteż Olivia szybko zapomniała o swoim rozczarowaniu, pochłonięta rozmową o nowych kreacjach i liście gości.

Tego wieczora nigdzie nie poszły, a ponieważ po wspaniałym balu u regenta większość towarzystwa była w dość ospałym nastroju, niewiele osób wpadło z wizytą. Właściwie dopiero następnego wieczoru Olivia zaczęła zbierać gratulacje i życzenia od znajomych.

Były z Beatrice na wieczorku u lady Rowlands. Przez pierwszą jego część Olivia świetnie się bawiła: słuchała koncertu pięknych pieśni i rozmawiała z przyjaciółmi. O dziewiątej szła właśnie, by odszukać siostrę, żeby mogły wspólnie zjeść kolację, gdy usłyszała, jak ktoś obok wymawia jej imię i nazwisko.

- Naturalnie nie miał wyboru i musiał jej się oświadczyć - zabrzmiał zawistny głos. - Zresztą ona od początku miała na niego chrapkę, podejrzewam więc, że po prostu wpadł w jej sidła. Jednak zaraz następnego ranka Reginald widział go z kochanką. Obejmowali się. W dodatku na promenadzie! Pytam, czy to jest przyzwoite zachowanie?!

- A czego byś się spodziewała? O ile wiem, ten romans trwa już od dawna. Denning ożeniłby się z nią

wiele lat temu, gdyby była wolna. Nie należy się po nim spodziewać, że...

Olivia zwalczyła pokusę odwrócenia głowy. Dobrze wiedziała, że jeden z głosów należy do lady Clements, nie chciała więc sprawić matronie satysfakcji. Z wysoko podniesioną głową weszła do jadalni, rezygnując z podsłuchiwania. Te słowa z pewnością celowo zostały wypowiedziane głośno po to, żeby je usłyszała. Lady Clements chciała wzbudzić w niej niepokój, może nawet doprowadzić do zerwania następných zaręczyn.

I tu lady Clements się rozczaruje! W pierwszej chwili Oliwię ogarnął gniew. Miała ochotę powiedzieć tej starej intrygantce wprost, co myśli o jej knowaniach. Naturalnie jednak nie mogła tego zrobić, bo to doprowadziłoby do niewyobrażalnego skandalu. O wiele lepiej było zachować obojętność, udając, że niczego się nie słyszało.

Ujawszy się dumą, Olivia przetrwała resztę wieczoru z uśmiechem na ustach, ale w drodze powrotnej do domu popadła w ponurą zadumę.

- Czy coś się stało, najdroższa? - spytała Beatrice, gdy zostały same w salonie. - Sprawiasz takie wrażenie, jakbyś błądziła myślami gdzieś daleko.

- Nic się nie stało. - Uśmiechnęła się. - Chyba po prostu tęsknię za Jackiem.

- Już? - zaśmiała się Beatrice. - Moja biedna siostra! Nie wiem, co się z tobą stanie, jeśli nie możesz znieść jednego dnia rozstania.

Olivia pokręciła głową. Nie miała ochoty na takie

żarty. Idąc do sypialni, starała się usunąć z myśli przykry incydent. Nie będzie się dręczyć złośliwymi słowami innych. Lady Clements chciała się zemścić za to, że jej plany spełzły na niczym. Nie należy się przejmować jej plotkami.

Chociaż przez pewien czas przewracała się z boku na bok, wreszcie zasnęła, a sny miała takie przyjemne, że zbudziła się świeża i jeszcze bardziej zdecydowana przeciwstawić się plotkom i obmowom. Zaręczyny z lordem Ravensdenem zerwała przez zazdrosną pannę, którą wcześniej uważała za swoją przyjaciółkę, a chociaż wcale nie żałowała tamtej decyzji, stanowczo nie zamierzała pozwolić sobie na taką nierozwagę drugi raz. Gdyby miała powody przypuszczać, że plotka o kochance jest prawdziwa, poprosiłaby Jacka o wyjaśnienie, ale na razie nie mogła źle myśleć ani o nim, ani o lady Simmons.

Jeszcze raz powiedziała sobie stanowczo, że nie wolno, jej pochopnie ulegać emocjom z powodu plotek, które może usłyszeć w najbliższych dniach. Gdy spotkała Anne Simmons na kolacji wydanej przez ich wspólną znajomą, powitała ją ciepło i przyjaźnie tak jak zawsze. Niech intryganci łamią sobie głowy!

W końcu przyszedł dzień zaręczynowego balu. Od samego rana prawie nieustannie dostarczano prezenty. Poślaniec przyniósł również wielki bukiet białych róż i prezent od Jacka. Otworzywszy puzderko obite aksa-

mitem, Olivia wydała okrzyk zachwytu. W środku leżał piękny naszyjnik z brylantami i perłami.

- Jest doprawdy śliczny - oceniła Beatrice, gdy Olivia jej go pokazała. - Właśnie takiego potrzebowałam do nowej sukni. Musisz w nim wystąpić dziś wieczorem, najdroższa.

- Tak zrobię. - Twarz Olivii promieniała. - Jack prosił przecież, żebym włożyła ten naszyjnik specjalnie dla niego.

Bilecik był krótki, ale zawierał ucałowania. Olivię ogarnęło nagle wielkie podniecenie. Nie mogła się doczekać, kiedy Jack się pojawi.

Przybył na pół godziny przed ich wyjściem do sal reutowych, wynajętych przez lorda Ravensdena na ten wieczór. Beatrice zatrzymała Harry'ego, żeby umożliwić narzeczonym krótkie sam na sam, a Olivia w tym czasie witała Jacka w salonie.

- Cieszę się, że pan wrócił cały i zdrowy - powiedziała z nieznacznym rumieńcem na policzkach. - Mam nadzieję, że swoje sprawy załatwił pan pomyślnie.

- Mówiła mi pani po imieniu, Olivio - przypomniał jej z błyskiem w oku. Potem ujął ją za rękę i przyjrzał jej się z uznaniem. Miała na sobie cytrynową jedwabną suknię z podwyższoną talią i krótkimi rękawami zdobionymi przymarszczeniami z włoskiej gazy i wiankiem białych róż wokół ramienia. Włosy przytrzymała aksamitką z naszytymi różami. Naturalnie włożyła też

naszyjnik od Jacka i kolczyki z brylantowymi kroplami, prezent od Beatrice. - Moje zajęcia były bardzo nużące. Rozmowy z prawnikami, kontrakty i podobne kwestie, niestety konieczne, choć wolałbym o nich zapomnieć. Miałem jednak okazję zobaczyć się z matką i zawiadomić ją o małżeńskich planach. Matka przesyła pani list i podarunek, jedno i drugie przekażę jutro. W każdym razie ma nadzieję, że uda jej się przyjechać na ślub, chociaż w tej chwili ze względu na stan zdrowia w podróż wybrać się nie może.

Olivia skinęła głową ze zrozumieniem.

- Może lepiej, żebym to ja pojechała z wizytą do lady Stanhope i oszczędziła jej kłopotu?

Jack zmarszczył czoło.

- Mama obecnie nikogo nie przyjmuje. Jeśli poczuje się lepiej, pozna ją pani na ślubie. Natomiast mój dziadek wspomniał, że chciałby złożyć wizytę w Camberwell i poznać panią jeszcze przed ślubem. Rzecz jasna pod warunkiem, że lady Ravensden będzie gotowa go przyjąć.

- Och, naturalnie - powiedziała Olivia. - Jestem pewna, że Beatrice bardzo się ucieszy z wizyty hrabiego.

- Wobec tego niezwłocznie -do niego napiszę. - Mars na czole Jacka jeszcze się pogłębił. - Mój ojciec nie będzie obecny. Jak pani wie, jest umierający, chociaż choroba postępuje powoli.

Olivia powstrzymała się od uwag, a chwilę potem surowy grymas znikł z twarzy Jacka i jego miejsce zajął

jeden z tajemniczych uśmiechów, które wydawały jej się tak intrygujące.

- Ojej, zaniedbuję moje obowiązki! A pani tak pięknie wygląda, Olivio. - Ujął ją za rękę. - Proszę mi pozwolić...

Z mocno bijącym sercem przyglądała się, jak wsuwa jej na palec zaręczynowy pierścionek w kształcie kwiatu z brylancików, mieniących się ogniście w blasku świec.

- Jaki śliczny - powiedziała, zerkając nieśmiało na Jacka. Dotknęła naszyjnika. - Bardzo dziękuję również za prezent, który przyniósł wcześniej posłaniec. Pan mnie rozpieszcza.

- Zasługuje pani na to - odrzekł i twarz mu jeszcze bardziej pojaśniała. - Olivio, chcę...

Nie zdążył jednak wyrazić żadnego życzenia, ponieważ drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Beatrice, a za nią Harry.

- Przepraszam, że tak szybko - powiedziała - ale obawiam się, że musimy już jechać, jeśli chcemy być na miejscu przed gośćmi.

- Jesteśmy gotowi - odparł Jack, skłaniając głowę przed lordem Ravensdenem. - Mamy sprawy do omówienia, milordzie, ale myślę, że mogą poczekać do jutra. Sądzę, że moi adwokaci przygotowali kontrakt, który pana usatysfakcjonuje.

- Jestem tego pewien - odrzekł przyjaźnie Harry. - Nie nudźmy dam. Słusznie pan powiedział, że takie

sprawy możemy załatwić jutro. A teraz naprawdę musimy ruszać, jeśli nie chcemy się spóźnić.

Miał to być najszczęśliwszy wieczór w życiu Olivii. Ponieważ wszyscy już wiedzieli, że jest to bal zaręczynowy, przyjaciele i znajomi zeszli się bardzo podnieceni i nieustannie składali jej gratulacje. Wielu przyniosło drobne upominki, co jeszcze dodawało atrakcyjności wydarzeniu. Jednak to zachowanie Jacka sprawiło, że promienny uśmiech nie schodził z twarzy Olivii.

Był wyjątkowo troskliwy i czuły, traktował ją nie tylko jak dżentelmen, lecz również jak zakochany mężczyzna. Przetkańczyli razem większą część wieczoru, chociaż niektórzy przyjaciele Olivii chcieli skraść dla siebie przynajmniej jeden taniec, a dwóch z nich oświadczyło, że mają złamane serca. Sprawiało jej to wszystko wiele przyjemności, ale najbardziej cieszyła się, widząc, z jaką dumą Jack przyjmuje życzenia od gości.

- Masz szczęście - powiedziała jej jedna ze znajomych panien. - Widać, że kapitan Denning myśli tylko o tobie.

Olivia skinęła głową, ale radość dosłownie ją rozpie-rała. Zachwycona nie mogła nie spojrzeć triumfalnie w stronę lady Clements. Teraz z pewnością ta matrona już sobie nie wyobraża, że Jack ma kochankę!

Lady Simmons nie była obecna. Wraz z rodziną bra-

ta wyjechała z Brighton poprzedniego dnia, przysłała jednak uprzejmy list i piękną srebrną czarę w podarunku. „Mam nadzieję przyjechać na ślub - napisała - ale wiele zależy od mojego samopoczucia, ponieważ nie wiem, czy sprostim trudom podróży”.

Kwaśna mina lady Clements powiedziała Olivii, że dama wciąż czuje się zirytowana porażką siostrzeńca. Mniejsza o to. Są ludzie zawsze gotowi rozsiewać złośliwe plotki, Olivia postanowiła jednak na to nie zważać. Nie mogła pozwolić, by cokolwiek zakłóciło jej szczęście.

- Zdaje się, że moja kolej w tańcu. - Jack porwał ją na parkiet do walca poprzedzającego kolację. Wyczuł u narzeczonej zatroskanie, ale nie wiedział, że spowodował je widok lady Clements, i spytał: - Czy coś się stało?

- Och, nie, zupełnie nic. - Jej uśmiech rozwiązał wszelkie wątpliwości. - Jestem szczęśliwa.

- Wobec tego nie będę więcej wypytywał - obiecał Jack. - Chciałbym, moja kochana, żebyś zawsze była taka szczęśliwa jak dziś wieczorem. Nigdy nie zrobię niczego takiego, co by cię zasmuciło.

- Jestem tego całkowicie pewna - odrzekła Olivia. - Dlaczego miałby pan coś takiego zrobić?

- Celowo bym tego nie zrobił - odparł z dość dziwną miną. - Gdyby jednak mi się zdarzyło, to czy mogę liczyć na wybaczenie? Bardzo o to proszę.

- Naturalnie - odpowiedziała dość zdziwiona tymi

słowami. - Skoro się kochamy, to chyba nie grożą nam poważne niesnaski. Jak pan sądzi?

- Ma pani rację - przyznał i znów na jego twarzy zagościł uśmiech. - Tylko głupiec nie mógłby pani pokochać, Olivio. Ma pani piękne i ciało, i duszę, a to bardzo rzadkie.

Ten komplement ostatecznie rozwiązał jej wątpliwości. Jack musiał naprawdę bardzo ją kochać, żeby coś takiego powiedzieć, a skoro tak, to nic innego nie miało znaczenia. Zaczynała jednak podejrzewać, że jest coś, co Jacka gnębi i sprawia, że czasami zmienia uroczego, romantycznego mężczyznę w posępnego, obcego człowieka. Na razie nie wiedziała, co to takiego; miała jednak nadzieję, że po ślubie Jack zdecyduje się na zwierzenia.

- Niedawno nazwał mnie pan trzpiotką - przypomniała mu. - Czy to możliwe, że zmienił pan zdanie?

- Nie zmieniłem. Jesteś naprawdę szelmą pierwszej wody, moja kochana. Jednak poskromię cię, gdy tylko weźmiemy ślub.

Jego oczy zdawały się obiecywać tak wiele, że Olivii zabrakło tchu. Pomyślała, że trudno jej będzie doczekać się poślubnej nocy, gdy będzie naprawdę należeć do Jacka.

Wyraz jego twarzy jednak szybko się zmienił. Znów wirowała na parkiecie z pogodnym, lecz tajemniczym człowiekiem, ale wspomnienie tamtej chwili wyraźnie zapisała w pamięci. Jeśli Jack potrafił mierzyć ją takim

spojrzeniem, to nie musiała obawiać się, że kiedyś weźmie sobie kochankę.

Spędzili w Brighton jeszcze dwa dni, a potem wyjechali do Camberwell, ale Jack spędzał z Olivią tyle czasu, że ledwie zdołała pożegnać się z przyjaciółmi. W powrotnej drodze zatrzymali się u lorda i lady Dawlishów, którzy przyjęli Olivię i jej narzeczonego z wielką życzliwością.

- Naturalnie przyjedziemy na ślub - zapewniła gorąco Merry Dawlish. - Nie opuściłabym go za nic. Zresztą każdy pretekst jest dobry, by pobyć z Harrym i Beatrice.

W Camberwell Olivia zastała ojca pochłoniętego ideą nowego systemu ogrzewania dla domu. Jacka powitał bardzo przyjaźnie, natychmiast wyraził zgodę na małżeństwo i obiecał wrócić do Abbot Giles dostatecznie wcześniej, żeby przywieźć ciotkę Nan na ślub.

- Ona na pewno zgodzi się ze mną, że to jest dla ciebie najlepsza droga - powiedział pan Roade. - Wystarczy spojrzeć na Beatrice. Gdyby twoja siostra była mężczyzną, może zostałaby naukowcem, wyróżniłaby się w tej czy innej dziedzinie wiedzy, ale jako żona Ravensdena jest bardzo szczęśliwa i sądzę, że ty też będziesz podobnie myślała o małżeństwie.

Olivia uśmiechnęła się i cmoknęła ojca w policzek. Z każdym dniem nabierała coraz większej pewności, że miała wielkie szczęście w wyborze męża. Gdy trochę

lepiej się poznają i oswoją ze sobą, na pewno znajdują wiele wspólnych zainteresowań, Już teraz wiedziała, że Jack, na przykład, lubi poezję.

- Wiersze nieraz podnosiły mnie na duchu w Hiszpanii - wyznał jej kiedyś, gdy czytała mu na głos strofy z jednego ze swych ulubionych tomików. - Piękno słów poety czasem może pomóc zranionej duszy.

Mówiąc to, miał tyle smutku w oczach! Olivia chciała pogłaskać go po policzku, spróbować go pocieszyć, ale coś ją powstrzymało. Bez względu na to, czym gnębił się Jack, musiała cierpliwie poczekać, aż sam postanowi jej się zwierzyć. Nie mogła niczego przyspieszać.

Jeszcze nie znali się dobrze, przecież ich znajomość trwała zaledwie kilka tygodni, chociaż Olivii czasem wydawało się, że to już całe życie. Zresztą pod pewnymi względami Jack istotnie był dla niej otwartą księgą. Wiedziała, kiedy coś go bawi, i często wymieniali wtedy porozumiewawcze spojrzenia. Lubił się z nią przekomarzać, choć nie tak jak Harry z Beatrice. Jack miał więcej delikatności, bardziej liczył się z jej uczuciami. W ogóle był bardzo wrażliwym i troskliwym mężczyzną. Olivia utwierdzała się w przekonaniu, że w przeszłości musiała go spotkać duża krzywda. Czuła, że jest jej bardzo bliski, a jednak bywało, że zamykał się w sobie i nie sposób było odgadnąć jego myśli. Wtedy nie umiała do niego dotrzeć.

Dwa dni po ich powrocie z hrabstwa Cambridge przyjechał z wizytą lord Heggan. Olivii wydał się po-

czątkowo dość przerażający, ale odnosił się do niej uprzejmie, a nawet życzliwie i powiedział, że bardzo się cieszy z takiej żony dla wnuka.

- Już zaczynałem się obawiać, że nigdy nikogo nie poślubi - rzekł, zerkając na Jacka. - Jestem wdzięczny, młoda damo, że pokazała mu pani, co jest dla niego najlepsze.

Olivia wyczuwała, że earl chciałby jej powiedzieć coś więcej, ale przeszkadza mu obecność wnuka. Chętnie porozmawiałaby z nim sam na sam, ponieważ jednak przyjechał na krótko, ani razu nie nadarzyła się okazja.

- Nie jestem pewien, czy będę mógł uczestniczyć w uroczystości ślubnej - zastrzegł przed wyjazdem. - Musi pani wiedzieć, moja droga, że życzę jej wszystkiego najlepszego. Denningowi się udało, że wybrał sobie taką pannę. Chciałbym, żebyście razem znaleźli prawdziwe szczęście.

I znów Olivia miała odczucie, że Heggan nie powiedział wszystkiego. Ale może tylko jej się zdawało? W każdym razie nie umiała oprzeć się wrażeniu, że przez cały czas pobytu dziadka Jack pilnuje, by nie została z earlem sam na sam.

Po wyjeździe lorda znowu zajęło ją życie towarzyskie organizowane specjalnie dla niej przez Beatrice. Przez cały czas docierały do niej prezenty i życzenia, chociaż jak dotąd nie dostała odpowiedzi na zaproszenie wysłane do lady Burton ani, co było dziwne, do Ro-

biny. Wprawdzie podejrzewała, że jej przybrana matka nie wybiera się na ślub, lecz nie mogła zrozumieć, dlaczego tak dawno nie otrzymała wiadomości od przyjaciółki. Naturalnie była zbyt zajęta, by się tym naprawdę martwić, choć od czasu do czasu opadały ją wątpliwości. Jednak nie zamierzała przejmować się drobiazgami, bo przecież wkrótce miało się urzeczywistnić jej najgorętsze pragnienie.

W miarę zbliżania się terminu ślubu Jack okazywał jej coraz więcej zainteresowania. Ich pocałunki stawały się bardziej namiętne, podobne do tego z balu u regenta. Mimo to nigdy nie domagał się bardziej intymnych pieścizot. Olivia wiedziała, że nie odmówiłaby, ale zawsze gdy ogarniała ją niewysłowiona słabość i pragnienie przekroczenia granicy, Jack wycofywał się i kwitował to uśmiechem.

- Mamy mnóstwo czasu - szepnął jej kiedyś do ucha, gdy wydała jęk rozczarowania. - Tylko ja mogę cię pieścić, Olivio, i nie zawiodę twojego zaufania.

Czas płynął. Gdy do ślubu pozostawały już tylko cztery dni, Jacka wezwano do Stanhope.

- Zobaczmy się rankiem w dniu ślubu - obiecał, całując ją czule. - Wybacz mi, mojja kochana, ale muszę jechać. Wolałbym cię nie opuszczać, obawiam się jednak, że nie mam wyboru. Zdaje się, że ojciec bardzo poważnie niedomaga, i życzy sobie, bym go odwiedził. Obawia się, że już mnie więcej nie zobaczy.

Olivia spojrzała na niego zaskoczona. Wcześniej

twierdził przecież, że nic nie zmusi go do przestąpienia progu ojcowskiego domu. Oczywiście miał prawo, a nawet obowiązek stawić się przy łożu chorego ojca.

- Naturalnie powinieneś go odwiedzić - powiedziała bez namysłu. - Czy to znaczy, że musimy odłożyć ślub?

- Nie. Obiecuję ci, że do tego nie dojdzie. - Czule dotknął jej policzka. - Wrócę na czas. Śmierć ojca nie zmieni naszych planów. Zresztą nie pojechałbym tam, gdyby sam po mnie nie posłał. Wygląda jednak na to, że bardzo cierpi i chce się ze mną pojednać. Dlatego muszę jechać, Olivio, bez względu na to co ślubowałem wcześniej. Nie mogę odmówić spotkania z umierającym ojcem.

- To prawda. Nie wolno odmówić ostatniej prośbie umierającego.

- On na to nie zasługuje - powiedział Jack i znów w jego oczach pojawił się nienawistny, budzący lęk wyraz. - Jednak sumienie nie dałoby mi spokoju, gdybym zlekceważył jego prośbę.

- Będę za tobą tęsknić. - Spojrzała mu w oczy. - Kocham cię, Jack. Wiem, że do tego małżeństwa dochodzi w pewnym sensie z przymusu, ale ja mogę powiedzieć, że pragnę tego z całego serca.

- Wiem. - Pochylił się i pocałował ją w usta. - Nigdy nie myślałem, że się zakocham, Olivio, ale stałaś się dla mnie kimś bardzo drogim. Wybacz mi, że cię opuszczam w takiej sytuacji, lecz nie mam wyboru.

Olivia uśmiechnęła się i skinęła głową. Na pożegnanie jeszcze przytuliła się do Jacka i nagłe odniosła wrażenie, jakby na jej świat padł cień. Wewnętrzny głos ostrzegał, by nie rozstawała się z narzeczonym. Instynktownie czuła, że Jack nie powinien jechać, ale przecież nie wolno sprzeciwić się własnemu sumieniu.

Długo stała na dziedzińcu i patrzyła w miejsce, gdzie znikł Jack. Odwróciła się dopiero wtedy, gdy zawołała ją z progu Beatrice. Na miękkich nogach powlokła się do domu.

- Co się stało, najdroższa? - spytała siostra i wyciągnęła ramię, żeby ją podtrzymać. - Jesteś bardzo blada. Coś ci dolega?

- Nie. To tylko gorąco - skłamała. - Okropny dzisiaj upał, nie sądzisz?

- No, owszem, jest ciepło - przyznała Beatrice. - Nie powinnaś stać na dworze w pełnym słońcu. Wejźmy lepiej do środka. Nie byłoby dobrze, gdybyś zachorowała tuż przed ślubem, prawda?

- Nie. - Olivia blado się uśmiechnęła. - Nic nie powinno psuć tego dnia.

Dni oczekiwania na Jacka były dla Olivii pełne niepokoju. Podczas jednej z nocy bezsennie przewracała się z boku na bok. Wciąż nachodziło ją przeczucie, że Jack ma kłopoty i pragnie od niej pokrzepienia, ale za każdym razem tłumaczyła sobie rozsądnie, że ponosi ją wyobraźnia.

Rankiem ledwie skończyła się ubierać, do sypialni weszła Beatrice. Wydawała się nieco skonfundowana, co zaskoczyło Olivię, ostatnio bowiem siostra była w znakomitym nastroju.

- Źłe się poczułaś? - spytała - Chyba nic się nie stało dziecku?

- Nie, nie, czuję się znakomicie - odparła Beatrice. - Nawet poranne nudności prawie ustąpiły. Właśnie dostałam wiadomość od lady Stanhope. Pisze, że nie będzie mogła przyjechać na ślub, bo właśnie otrzymała zawiadomienie o śmierci męża.

- Och, rozumiem. - Olivia skinęła głową. - Wiedziałam, że tak może się stać, Beatrice. Jack zapewnił mnie, że bez względu na sytuację w Stanhope stawi się tutaj tak, jak obiecał, i ślub odbędzie się zgodnie z planem.

- Czy jesteś o tym przekonana?

- Tak. Powiedział mi bardzo wyraźnie, że nawet śmierć jego ojca niczego nie zmieni.

Beatrice odetchnęła z ulgą.

- Skoro tak mówisz, najdroższa, to nie ma powodu do niepokoju. Tak czy owak, lady Stanhope nie przyjedzie.

- Myślę, że w ogóle nie zamierzała - zauważyła Olivia i zmarszczyła czoło. - Jak wiesz, przysłała mi prezent i miły list, ale nic nie wskazywało na to, że się tutaj wybiera.

- Niemożliwe. - Beatrice popatrzyła na nią zdziwiona. - Co miałyby jej stać na przeszkodzie?

- Nie wiem, ale mam takie wrażenie, jakby Jack nie życzył sobie jej przyjazdu. - Olivia zaczerwieniła się pod wpływem badawczego spojrzenia siostry. - Może postąpiłam głupio, ale zaproponowałam, że odwiedzę lady Stanhope, jeśli jest zbyt chora, by podróżować, a on natychmiast zapewnił, że nie ma takiej potrzeby.

- Z pewnością sądził, że poznacie się przy okazji ślubu - powiedziała Beatrice. - Chyba nie mogło być innego powodu. Bądź co bądź, odwiedził nas lord Heggan, który obiecał być na ślubie, jeśli tylko będzie mógł. Przypuszczam, że w tej sytuacji prawdopodobnie nie przyjedzie.

Olivia pokręciła głową, ale nie próbowała dłużej dyskutować. Chyba i tak powiedziała za dużo. Przecież niechętna reakcja Jacka mogła być wytworem jej wyobraźni. W każdym razie wolała zakończyć rozmowę na ten temat. Tajemnica ponurych nastrojów Jacka najprawdopodobniej sięgała zamierzchłej przeszłości. Liczyła na to, że któregoś dnia mąż wszystko jej opowie, tymczasem jednak lepiej o nic nie pytać.

- Chyba masz rację, Beatrice. - Cmoknęła siostrę w policzek. - Nie przejmuj się. Jestem pewna, że prędzej czy później poznam matkę Jacka.

Siedziały przy kolacji, gdy weszła do pokoju gospodyni i podała Olivii list. Ta otworzyła go i uśmiechnęła się do Beatrice.

- To od Jacka - powiedziała. - Píše, że mimo śmierci ojca będzie z rana w kościele w Camberwell,

tak jak się umówiliśmy. Wczoraj w Stanhope odbył się cichy pogrzeb wicehrabiego, a lord Heggan naciska, żeby nie przekładać terminu ślubu, mimo że nie będzie mógł w nim uczestniczyć.

- A więc istotnie możemy się nie martwić - orzekła Beatrice. - Poważnie się zastanawiałam, czy nie będziemy musiały odwołać uroczystości, ale wygląda na to, że nic jej nie zakłóci, najdroższa. Jesteśmy winne lordowi wdzięczność za jego decyzję. Słyszałam, że jest bardzo zasadniczy, ale tym razem zachował się wyjątkowo zacnie.

- Tak - przyznała Olivia. Zastanawiała się, co earl chciał jej powiedzieć podczas swojej krótkiej wizyty w Camberwell. - Mnie też na początku wydawał się bardzo groźny, ale widać z tego, że jest porządnym człowiekiem.

- To prawda. Możesz dzisiaj spać spokojnie. Jutro połączysz się ze swoim wybranym.

Olivia w milczeniu skinęła głową. Do łóżka położyła się zadumana i nie od razu usnęła.

Wciąż dręczył ją trudny do wytłumaczenia niepokój. List Jacka był zwięzły, wysłany tylko po to, by uspokoić ją i Beatrice, a o uczuciach nie było w nim ani słowa. Nie było wzmianki o tym, że Jack za nią tęskni, nie było miłostnego wyznania ani niczego, co wskazywałoby, że spieszo mu do oblubienicy. Olivia zdawała sobie sprawę ze swojego niepokoju, nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego dopuszcza, by mącił jej szczęście.

Przecież chyba nic się nie zmieniło. Jack nie lubił swojego ojca. Zdawało jej się nawet, że uczucia Jacka do wicehrabiego Stanhope są bliskie nienawiści. Dlaczego więc to, co stało się w Stanhope, miałyby wywrzeć wpływ na jej życie? To było w zasadzie niemożliwe. Zachowywała się nierozsądnie, ulegając takim nieuzasadnionym lękom. Mimo to nie mogła uwolnić się od przeczucia, że wszystko się zmieniło.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jack przerwał wiązanie fularu. Próbował wykonać niezwykle skomplikowany węzeł, zwany Tróne d'Amour, ale sceptyczna mina jego dawnego sierżanta wskazywała, że osiąga żałosny skutek. Brett był jego ordynansem w Hiszpanii, a teraz pełnił pośrednią funkcję między stajennym a osobistym służącym.

- W ten sposób nigdy się panu nie uda, kapitanie - stwierdził. - Zmarnował pan już pół tuzina fularów. Niech pan lepiej wybierze coś prostszego albo trochę mniej się przejmuj. Po co tak panikować? Choć z drugiej strony wcale się nie dziwię. Nie codziennie człowiek bierze ślub.

Jack przybrał gniewną minę, ale nie skarcił Bretta za zuchwałość. Byli przyjaciółmi. Jack prawdopodobnie nie uszedłby z życiem w Badajoz, gdyby nie Brett. To właśnie on przepędził tę bandę pijanych żołnierzy i przeniósł swego nieprzytomnego dowódcę w bezpieczne miejsce. A teraz też nie Brett, lecz on sam, Jack Denning, był winien swojemu podłemu nastrojowi. Za nic nie powinien był oświadczyć się Olivii!

Przez lata dostał niejedno ostrzeżenie. Lady Stan-

hope powtarzała mu tysiące razy, że jego ojciec jest nie tylko zły, lecz również szalony. Zły, owszem, to Jack nieraz widział na własne oczy. Ogrom szaleństwa Stanhope'a objawił mu się dopiero wówczas, gdy wicehrabia leżał na łożu śmierci.

Tymczasem w jego żyłach płynęła krew tego człowieka! Ogarnęło go obrzydzenie, żołądek podszedł mu do gardła. Szaleństwo musiało pnieć się w rodzinie od dawna. Część najgorszych uczynków wicehrabiego na pewno była dziełem rozchwianego umysłu. Widocznie Stanhope sprytnie ukrywał się ze swoim szaleństwem albo w ostatnim okresie życia wybuchło ono ze zdwojoną siłą.

Jeszcze zanim Jack w pełni zdał sobie sprawę z rozmiarów szaleństwa ojca, wiedział, że i on jest nim skazony. Wiedział też, że jego ojciec zabił przynajmniej jednego służącego, a kilku innych okaleczył. Gdyby nie chroniły go tytuł, bogactwo i przywileje, z pewnością by skończył na szubienicy, na co zresztą zasługiwał.

Jack wyjechał z domu Stanhope'a ponad sześć lat temu i przysiągł, że tam nie wróci. Teraz gorzko żałował, że nie wytrwał w tym postanowieniu. Wolałby nigdy nie widzieć tych naznaczonych obłędem, przekrwionych oczu ani piany na obślinionych ustach wicehrabiego. Nawet jednak w tym stanie Stanhope zachował dość jasności umysłu, by przekląć syna na wieki.

I co teraz robić? Przez ostatnie godziny Jack zadawał sobie to pytanie setki razy. Byłoby z pewnością uczciwiej w stosunku do Olivii, gdyby się wycofał, bo mał-

żeństwo mogło narazić ją na ten sam koszmar, który stał się jego udziałem. Jednak rozgoryczenie i uraza Olivii, wywołane taką decyzją, byłyby zbyt wielkie, by mógł poważnie rozważać taką możliwość.

Nie mógł tego zrobić kobiecie, która znaczyła dla niego więcej, niż jeszcze niedawno mógł sobie wyobrazić. Zniszczyłby jej reputację i raz na zawsze pozbawił ją szansy na zawarcie dobrego małżeństwa. Wiedział, że jako jego żona Olivia przynajmniej będzie miała odpowiednią pozycję, bogactwo i szacunek.

- Tym razem nieźle, sir - wyrwał go z zamyślenia Brett. - Nie jest to Trone d'Amour, ale ujdzie. Zresztą i tak na nic innego nie ma już czasu, jeśli nie chce pan, żeby oblubienica czekała przed ołtarzem.

Sprawdziwszy na złotym zegarku z dewizką, która jest godzina, Jack zaklął pod nosem. Było już za późno na wycofanie się. Nie mógł publicznie skompromitować Olivii. To byłoby zbyt okrutne. Nie pozostawało mu nic innego, jak wziąć ślub.

- Pięknie wyglądasz - orzekła Beatrice, przyglądając się siostrze stojącej w sukni z białego jedwabiu i koronki, która była zdobiona perełkami i brylancikami, a rąbek i końce długich, obcisłych rękawów miała obszyte srebrną lamówką. We włosy, wysoko upięte brylantowymi szpilkami, panna młoda miała wplecione białe róże, a fryzurę przykrywał koronkowy welon. - Życzę ci tyle szczęścia, ile tylko można znaleźć na świecie.

- Jeśli będę taka szczęśliwa jak ty, to z pewnością uznam, że los mnie rozpieszcza - powiedziała Olivia i pocałowała siostrę w policzek. - Dziękuję ci za wszystkie piękne prezenty, ale najbardziej za miłość, jaką mi okazujesz.

- Zawsze cię kochałam - wyznała Beatrice ze łzami w oczach. - Serce mi się krajało, kiedy Burtonowie zabierali cię z domu. Dobrze, że tak dzielnie zniosłaś ich okrucieństwo, gdy cię wyrzucili i koło się zamknęło. Modłę się o to, żebyś zapomniała o wszystkich przykrych doświadczeniach i żyła z mężem w pokoju i harmonii. - Czule pogłaskała Olivię po policzku. - Wiem, że on cię kocha, najdroższa. Widziałam, jak na ciebie czasem spogląda, jestem więc przekonana, że zaznasz szczęścia.

- Ja też - powiedziała Olivia. Uśmiechnęła się do siostry, odpędzając lęki, które dręczyły ją w ostatnich dniach. I ona wierzyła w miłość Jacka, wiedziała też, że Jack jest dla niej absolutnie najważniejszy na świecie, nawet ważniejszy niż Beatrice. - To cudowne, że mogę go poślubić. Właśnie za tym tak długo tęskniłam. Jestem pewna, że będę szczęśliwa. Dlaczego miałabym nie być?

Beatrice pokręciła głową. Siostry jeszcze raz się uści-skały i zeszły na dół, gdzie niektórzy czekali, by obej-rzeć Olivię w ślubnej sukni jeszcze przed wyjściem do kościoła.

Goście pojechali tam wcześniej, a ostatnie trzy po-wozy były przeznaczone dla panny młodej i jej najbliż-

szej rodziny. Tłum weselników powitał oblubienicę w nasłonecznionym miejscu przed kościołem. Gdy wchodziła do środka, wsparta na ramieniu ojca, podniosły się wiwaty.

Stary kościół był przybrany kwiatami, wśród których najwięcej było białych róż i wonnych lilii. Przed sobą Olivia ujrzała barwną plamę światła, wpadającego do wnętrza przez witraż i układającego się w fantazyjny wzór na starzej kamiennej posadzce. Potem przeniosła wzrok na wysoką, męską sylwetkę Jacka, który czekał na nią przed ołtarzem. Przy nim, nieco cofnięty, stał świadek.

Gdy znalazła się przy Jacku, zwrócił ku niej głowę, ale wyraz twarzy miał surowy, nie uśmiechał się. Olivię ogarnęło złe przeczucie. Dlaczego wydaje się zły? Czym mogła go urazić?

Uśmiechnęła się do niego niepewnie i wtedy trochę złagodniał. Skinął głową, jakby chciał dodać jej otuchy, ale wciąż ani się nie uśmiechnął, ani nie uczynił żadnego gestu, który wskazywałby, że z radością wyczekiwał jej nadejścia.

Olivia skierowała wzrok na ołtarz. Nie wolno jej było poddawać się nieuzasadnionym niepokojom. Powodów chłodnego zachowania Jacka mogło być wiele. Mógł źle się czuć... albo cierpieć po stracie ojca. Czasem ludzie dopiero po czyjejś śmierci zdają sobie sprawę z tego, ile ktoś dla nich znaczył. Próbowwała się przekonać, że chodzi właśnie o to. To nie na nią Jack był zły.

Śluby małżeńskie wypowiedziała mocnym, dźwięcz-

nym głosem, tak samo jak pan młody. Po ceremonii poszli do kancelarii wpisać się do rejestru. Tymczasem Jack odprężył się i gdy ścisnął dłoń księdzu, już bardziej wydawał się sobą. Potem przy ogłuszającym biciu dzwonów opuścili kościół i znaleźli się w słońcu, wśród przyjaciół i znajomych, którzy powitali ich śmiechem i żartami. Dzieci podbiegały i wręczały Olivii bukietki kwiatów, a ona każdemu dziękowała całusem. Potem państwo młodzi wsiedli do powozu, który miał ich zawieźć do domu Ravensdenów.

Olivia zerknęła na męża z nadzieją, że obejmie ją i namiętnie pocałuje, gdy tylko zostaną sami, on jednak niczego takiego nie zrobił i to ją bardzo rozczarowało. Chyba chce ją pocałować? Bo ona bardzo tęskniła za uściskiem jego ramion i dotykiem ust. Jednak Jack tylko zmarszczył czoło, widząc jej zachęcający uśmiech, i ujął ją za rękę.

- Czy cieszysz się, Olivio, że zostałam lady Stanhope?

Zaskoczył ją, nagle przypomniała sobie jednak, że odziedziczył tytuł wicehrabiego. Z powagą spojrzała mu w twarz i przekonała się, że znów przybrał dziwnie posępną minę.

- Równie dobrze mogłabym być panią Denning - odpowiedziała. - Przykro mi z powodu śmierci twojego ojca, Jack.

- Nie musi być ci przykro - odparł oschle. - Tak jest dla wszystkich najlepiej.

Olivia poczuła się lekko urażonej tonem, ale udało jej się to ukryć. Najwyraźniej coś go dręczyło, lecz wyglądało na to, że nie chodzi o śmierć ojca. Co wprawilo go w takie przygnębienie? Nie umiała znaleźć przyczyny, która mogłaby go nagle od niej oddalić... chyba że pożałował swojej decyzji o ślubie?

- Nie rób takiej spłoszonej miny - odezwał się Jack, jakby czytał w jej myślach. - Jesteśmy małżonkami na dobre i złe. Będę się starał, żebyś miała szczęśliwe życie bez względu na wszystko.

Olivia nie była w stanie mu odpowiedzieć. Była coraz bardziej rozczarowana i zaniepokojona. Czyżby tylko jej się zdawało, że Jack ją kocha? Przed wyjazdem do domu ojca niewątpliwie jej pragnął. Teraz stał się nagle daleki. Uprzejmy, troskliwy, ale z dystansem. Skąd u niego ta zmiana? Czym zawiniła, że patrzy na nią w taki sposób? Zupełnie jakby przerażała go myśl, że jest na zawsze związany. A może znowu ponosiła ją wyobraźnia?

Powóz zajechał przed drzwi Camberwell House i Jack zeskoczył na ziemię, po czym pomógł wysiąść Olivii. Uśmiechnęła się do niego, udając, że wszystko jest w najlepszym porządku. Duma nie pozwalała jej okazać urazy.

Przez całe weselne przyjęcie miała uśmiech przyklejony do twarzy, gawędziła z gośćmi tak, jakby była najszczęśliwszą kobietą na świecie. Zresztą byłaby nią, gdyby nie dręczył jej lęk, że Jack żałuje swojej decyzji.

Chyba powiedziała by jej, gdyby doszedł do wniosku, że jednak nie może jej pokochać? Przecież mówił o miłości nie dalej jak kilka dni temu, a teraz zachowywał się prawie jak obcy człowiek. Czyżby stało się coś, co kazało mu pożałować obietnicy małżeństwa? Myśli te nie dawały jej spokoju.

Właśnie szła na górę przebrać się w suknię podróżną, gdy podeszła do niej lady Clements. Wydawała się dziwnie zadowolona, a na wargach igrał jej fałszywy uśmiezek.

- Co za wstrząsająca wiadomość - powiedziała, klepiąc Olivię po ramieniu dłonią odzianą w rękawiczkę. A zdawało się, że on dożyje późnej starości... takie jest życie. Wypadki chodzą po ludziach i wszystko zmieniają.

- Mówi pani o lordzie Stanhope? - spytała Olivia, całkiem zbita z tropu. - O ile wiem, jego śmierci spodziewano się od dawna.

- Nie, moja droga, naturalnie nie o nim mówię. - Lady Clements oblizała wargi jak kot, który skończył porcję smakowitej śmietanki. - Słyszałam, że mąż lady Simmons zginął w wypadku. Spadł z konia i skreślił sobie kark.

- To straszne - przyznała Olivia. - Anne obiecała przyjechać na nasz ślub, ale w tej sytuacji rozumiem, dlaczego jej nie ma. To musi być dla niej cios.

- Powiedziała bym, że niewiele ją to obchodzi - odparła kwaśno lady Clements. - Rozwiodłaby się z nim już dawno, gdyby rodzina jej na to pozwoliła. Na pewno

więc woła być wdową, ale chyba żałuje, że do tego wypadku nie doszło kilka tygodni wcześniej.

Olivia poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Ton głosu lady Clements pozostawiał niewiele wątpliwości co do znaczenia tych słów. Jak śmiała coś takiego imputować? Doprawdy „niecelegancko” to za słabe określenie.

- Znam lady Simmons dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć z całą pewnością, że niczyja śmierć nie sprawi jej przyjemności - odparła. - A zwłaszcza śmierć ojca jej dzieci.

- Jest pani bardzo lojalna wobec przyjaciół - powiedziała matrona. - Miejmy nadzieję, że ta lojalność nie jest źle skierowana, lady Stanhope.

Olivia nie odpowiedziała, po prostu odwróciła się do nadchodzącej siostry. Nie chciała zaprosić lady Clements na wesele, ale Beatrice wytłumaczyła jej, że nie ma innego wyjścia, bo jest to daleka kuzynka Harry'ego.

- Czy jesteś gotowa pójść na górę, najdroższa? - spytała Beatrice.

- Tak.

Za nic nie pokaże po sobie, że jadowite aluzje tej kobiety robią na niej wrażenie! Olivia wyszła za siostrą z salonu, zatrzymywana po drodze przez przyjaciół życzących jej wszystkiego dobrego. Ich serdeczność ukoila nerwy Olivii, gdy więc zbliżała się do sypialni, prawie już zapomniała o incydencie z lady Clements.

Beatrice i służąca pomogły jej zdjąć piękną ślubną

kreację. Olivia wybrała na podróż bladozieloną suknię z jedwabiu i ciemniejszy płaszcz. Włożyła też twarżowy kapelusz z podwiniętym z przodu i tyłu rondem oraz kopulastą główką przyozdobioną wstążkami i jedwabnymi różami.

- Pięknie wyglądasz - zapewniła ją Beatrice. - Jack musi być dumny z takiej żony.

- Na pewno jest - potwierdziła Olivia i przesłała siostrze zuchowate spojrzenie. Nie chciała, żeby Beatrice domyśliła się jej wątpliwości. - Tak samo jak ja z niego.

- Masz powód do dumy. Idź teraz do niego. On na pewno niecierpliwie czeka, kiedy wreszcie odjedziecie.

- Tak sądzę. - Olivia cmoknęła siostrę w policzek i pożegnała ją uśmiechem. - Nie wiem, dokąd planuje mnie zawieźć, ale wspominał o podróży do Włoch.

- Przypuszczam, że najpierw spędzicie trochę czasu w jego posiadłości - powiedziała Beatrice. - Przecież musisz się przyzwyczaić do nowego domu, no i musicie trochę pobyć ze sobą. Napisz do mnie jak najszybciej. Będę wypatrywać wiadomości od ciebie.

- Naturalnie. - Olivia odparła pokusę zwierzenia się siostrze. Beatrice była przy nadziei i nie można było zadreć jej kłopotami. Zresztą te problemy mogły być od początku do końca wydumane. - Dbaj o siebie. Bardzo chcę niedługo zobaczyć mojego siostrzeńca albo siostrzenicę.

Razem zeszły na dół. Nastąpiły wylewne pożegna-

nia, ojciec i Nan wy ściskali i wycałowali Olivię, Harry też cmoknął ją w policzek.

- Opiekuj się nią, Stanhope - powiedział. - Zapraszamy do nas na Boże Narodzenie. Beatrice już nie będzie mogła wtedy podróżować, a na pewno zechce zobaczyć siostrę.

Jack przytaknął, lecz jego uśmiech i pożegnanie były bardzo oficjalne. Pomógł Olivii wsiąść do powozu, ale upewniwszy się, że jest jej wygodnie, oparł się o aksamitne poduszki na siedzeniu naprzeciwko i wbił wzrok w punkt nad jej głową.

- Wszystko poszło dobrze, prawda? - odezwała się Olivia po chwili. - Czy podobało ci się przyjęcie weselne?

- Naturalnie. Lady Ravensden jest znakomitą panią domu — odrzekł Jack. - Trudno byłoby o lepszą uroczystość.

- Twój przyjaciel, wicehrabia Gransden, był bardzo zadowolony - zauważyła Olivia, zdecydowana poprowadzić rozmowę. - Bardzo przyjemnie ze mną konwersował i przysłał nam w prezencie piękne orientalne wazony. - Urwała, ale gdy Jack nie odpowiedział, podjęła wątek. - Od twojego dziadka dostaliśmy srebrny serwis do kawy i herbaty, filiżanki do herbaty z sewrskiej porcelany i jeszcze serwis obiadowy i deserowy. Beatrice ustawiła wszystkie podarunki w galerii, a potem nam je prześle. Czy wicehrabia jest twoim dobrym przyjacielem?

- Dziadek dał mi dla ciebie klejnoty Hegganów. Przekażę ci je później. - Zmarszczył czoło, widząc, że

Olivia czeka na jego następne słowa. - A Leander Gransden to całkiem porządnym człowiekiem. Przyjaźnimy się od dawna, chociaż nie widziałem go, odkąd wstąpiłem do wojska. Dziedziczy majątek markiza, więc ojciec nie puściłby go ze mną do Hiszpanii z obawy o jego życie.

- Ale ty dziedziczysz tytuł earla Heggan, prawda?

- Moja sytuacja była inna - odparł Jack. - Nie dbam o tytuły i pewnie dobrze się stało, bo wszystkie pójdą do grobu razem ze mną.

- Niemożliwe... - zaprotestowała Olivia i splonęła rumieńcem, bo pochwyciła spojrzenie Jacka. Jego najstarszy syn będzie dziedzicem tytułów wicehrabiego Stanhope i earla Heggan, chyba że Jack zamierzał z nich zrezygnować. Czy to możliwe? - zastanawiała się. Jej w zasadzie nie robiło to różnicy. Było jej wszystko jedno, czy ktoś mówi do niej „milady”, czy „proszę pani”.

- Proszę się nie niepokoić - powiedział Jack. - Po-dyskutujemy o tym wszystkim później, Olivio. Mamy przed sobą mnóstwo czasu.

Ona jednak chciała porozmawiać teraz! Chciała wiedzieć, skąd wziął się wyraz zubożenia w jego oczach.

- Dokąd jedziemy? - spytała, bo Jack wyraźnie nie zamierzał podtrzymywać konwersacji.

- Tymczasem do mojej posiadłości Briarwood - wyjaśnił. - Zmieniła się sytuacja, Olivio. Miałem plany na przyszłość, ale teraz muszę je przemyśleć. Bardzo

proszę cię o cierpliwość. Wybacz mi, jeśli wydaję się nieobecny duchem. Dowiesz się wszystkiego, ale potrzebuję trochę czasu, żeby zdecydować, jak będzie najlepiej.

Olivia ugryzła się w język, żeby nie wymknęło jej się gotowe pytanie. Niewątpliwie Jack miał kłopoty, ale nie był jeszcze gotów podzielić się nimi z żoną.

- Naturalnie - powiedziała. Nie odważyła się jednak spojrzeć na niego, gdy mówiła: - Słyszałam od lady Clements, że Anne Simmons została wdową.

- Lady Clements jest zawistną jędzą. Najlepiej ją ignorować, Olivio. Nie masz się czego obawiać. Nasze małżeństwo zostało zawarte w pośpiechu, ale mam nadzieję, że nic z tego, co robię, nie przysporzy ci w przyszłości trosk. Proszę ze spokojem oczekiwać z mojej strony wszelkiego szacunku i uwagi należnych lady Stanhope.

To zobowiązanie powinno było ją uspokoić, ale wydało jej się niesłychanie oficjalne. Jack prawie jej nie dotykał, jeśli nie liczyć tego, że czasem ujął ją za rękę lub za ramię. Tymczasem ona zupełnie czego innego oczekiwała od mężczyzny, który na balu u regenta tak namiętnie ją całował.

Dziwne zachowanie Jacka przyprawiło ją o lęk. Chyba nie mówiłby niczego podobnego, gdyby naprawdę jej pragnął tak, jak jej się zdawało? Dlaczego nagle się zmienił? Czyżby błędnie odczytała jego uczucia? A może chodziło właśnie o to, że lady Simmons jest

wolna i Jack pożałował swojej decyzji o zawarciu małżeństwa?

Do zajazdu, w którym mieli przenocować, dotarli bardzo późno. Olivia była zbyt znużona, by odczuwać głód, zjadła więc zaledwie kilka kęsów z kolacji zamówionej przez Jacka do oddzielnej izby.

- Jesteś bardzo zmęczona - zauważył z troską, upodobniając się do dawnego Jacka. Zobaczyła w jego oczach coś, od czego serce zabiło jej szybciej. - Odprowadzę cię do twojego pokoju, Olivio.

- Do mojego pokoju? - zdziwiła się. Bardzo ją tym uraził. Z chmurną miną wpatrywała się w jego twarz, szukając znaku, który powiedziałyby jej, czy Jack w ogóle o niej myśli. - Nie przyjdiesz do mnie?

- Nie dzisiaj - odparł, nie patrząc jej w oczy. - Pobraliśmy się w dużym pośpiechu, Olivio. Przed ogłoszeniem zaręczyn powinienem zdobywać twoje względy przez kilka miesięcy. Nie muszę natychmiast domagać się swoich męzowskich praw. Lepiej będzie, jeśli najpierw dobrze się poznamy.

Olivia spłonęła rumieńcem. Jej zachowanie musiało podsunąć Jackowi myśl, że jest różniwątkiem. Ale przecież jego wcześniejsze pocałunki świadczyły o tym, że chce jak najszybciej uczynić ją swoją. Nie mogła zrozumieć, dlaczego to się zmieniło. Chyba że Jack kochał Anne Simmons.

Takie tłumaczenie wydawało się najbardziej prawdo-

podobne. Olivia zamruwała powiekami, usiłując powstrzymać łzy, których bardzo się wstydziła. Nie będzie płakać. Nie pokaże po sobie, jak bardzo ją to rani.

Na ratunek wezwała dumę i dzięki temu udało jej się wzbudzić w sobie gniew. Jack powinien powiedzieć jej prawdę, powinien być uczciwy, jeśli chciał poślubić Anne. Olivia była przekonana, że zwolniłaby go z danego słowa i nie stawiałaby przeszkód. Najwyraźniej Jack początkowo sądził, że nigdy nie będzie mógł ożenić się z Anne, a zerwanie zaręczyn w przededniu ślubu mogło wydać mu się czynem zbyt okrutnym.

Postąpił jednak jeszcze bardziej okrutnie. Małżeństwo z mężczyzną, który nie odwzajemnia miłości, było dla niej trudne do zniesienia.

Przy drzwiach najlepszego pokoju w zajeździe zwróciła się ku Jackowi. Dumnie wyprostowana spojrzała mu w twarz i ujrzała ten sam beznamiętny wyraz, który odgradzał ją od niego jak mur.

- Wobec tego życzę ci dobrej nocy - powiedziała.
- Mam nadzieję, że będziesz miał miłe sny.

- Nie liczę na to - odpowiedział Jack, smutno się uśmiechając. Skłonił się i pocałował ją w rękę. - Proszę mi wybaczyć, Olivia. Błagam, nie mniej do mnie pretensji. Możesz mnie znienawidzić, kiedy powiem ci to, co muszę, ale mimo wszystko ufam, że któregoś dnia mi wybaczysz.

- Jack, o co chodzi? - spytała, nagle uświadomi-

wszy sobie, jak wielki lęk towarzyszy mu przez cały dzień. - Proszę... nie powiesz mi?

- W swoim czasie - odparł. - Prawdę mówiąc, jeszcze nie podjąłem decyzji. Jestem zagubiony, błędę w labiryncie, z którego chyba nie ma wyjścia. Wyostałbym się z niego i przyszedł prosto do ciebie, moja piękna Olivia, ale mogłoby to wyrządzić ci wielką krzywdę. A do tego za nic nie dopuszczę.

Olivia patrzyła za nim wstrząśnięta, gdy oddalał się korytarzem. Jej domysły musiały być bardzo dalekie od prawdy. Może zmiana w jego zachowaniu jednak nie miała nic wspólnego z lady Simmons. Może powód był całkiem inny.

Przez cały czas, gdy służąca przebierała ją do snu, musiała powstrzymywać łzy. Wreszcie oddaliła dziewczynę, nie zważając na jej głupie uśmieški. Rosie niewątpliwie uważała, że pani za chwilę znajdzie się w ramionach spragnionego męża, a nie w pustym łóżku.

Olivia leżała jeszcze dość długo, rozmyślając nad dziwnym zachowaniem Jacka, ale nie była w stanie odgadnąć, co kryje się za jego tajemniczymi słowami.

Jeśli naprawdę ją kocha, na co przecież wskazywało ostatnie zdanie, to dlaczego zachowuję powściągliwość? Dlaczego nie przyszedł do niej i nie uczynił jej swoją?

- Jesteśmy na miejscu. Oto Briarwood House - powiedział Jack, pomagając Olivii wysiąść z powozu. - Przykro mi, że widzisz pierwszy raz swój nowy dom

w dżdżysty dzień. Nie jest to najpiękniejsza rezydencja, ale za to solidnie zbudowana i wygodna. Sir Joshua był właścicielem ziemskim i nie miewał fantazyjnych pomysłów. Ponieważ jednak teraz ty tu rządzisz, możesz wprowadzić różne zmiany. Zostawiam to w twoich rękach. Możesz wydawać pieniądze do woli i zatrudniać tyle służby i rzemieślników, ile twoim zdaniem potrzeba.

Mimo niezbyt pochlebnej oceny dom wydał się Olivii ładny i przestronny. Ściany wzniesione z szarego kamienia porastał bluszcz, który odbierał im nieco surowości.

- Mam nadzieję, że będziesz tutaj szczęśliwa.

Olivia skinęła głową i przesłała mu uśmiech, ale nie powiedziała ani słowa. Ostatni etap ich podróży był najłatwiejszy. W odróżnieniu od pierwszego wspólnego wieczoru, gdy Jack złożył zagadkową deklarację pod drzwiami sypialni, teraz starał się prowadzić normalną rozmowę. Nawet pochwalił jej wygląd i trochę żartował z jej ślicznego kapelusza. Był uprzejmy, troskliwy, opiekuńczy, ale niestety wciąż daleki. Zachowywali się wobec siebie jak znajomi, a nie małżeństwo.

- O, witają cię Jenkins i pani Jenkins, Olivio. - Zwrócił się do pary starszych ludzi, którzy wyprowadzili do sieni całą służbę. - Czy mogę przedstawić lady Stanhope? Pani Jenkins, moja żona jest zmęczona po podróży. Proszę pokazać jej pokoje, które zostały dla niej przygotowane.

- Dobrze, milordzie. - Gospodyni dygnęła przed nim, a potem przed Olivią. - Czy mogę powiedzieć, że

milady jest tu miłe widziana? Bardzo się cieszymy z jej przyjazdu do Briarwood.

Olivia podziękowała i poprosiła o przedstawienie jej służby, która ustawiła się w rzędzie do powitania. Przy każdej osobie uśmiechała się i powtarzała imię, żeby je zapamiętać. Potem poszła za panią Jenkins schodami na górę i dalej korytarzem.

Wbrew zapowiedzi Jacka doszła do wniosku, że dom jest całkiem duży i elegancko umeblowany. Przy apartamentach pani domu, do których ją wprowadzono, znajdowało się jeszcze przynajmniej dziesięć sypialni. Natomiast apartamenty pana domu składały się z salonu i dużej sypialni z garderobą, przez którą wchodziło się do drugiej sypialni.

- To był kiedyś pokój sir Joshui - poinformowała ją pani Jenkins, pokazująca jej wszystkie pomieszczenia po kolei. - Kapitan Denning... a właściwie jego lordowska mość, bo tak teraz powinnam go tytułować, korzystał dawniej z innego pokoju. Polecił mi przygotować dla milady apartamenty pani domu.

W jej pokojach najwięcej było jasnej zieleni i bieli, natomiast kolory czerwony i złoty, dominujące u pana domu, nadawały pomieszczeniom -dość posepny wygląd, Olivia natychmiast pomyślała, że gdyby sprawy między nimi układały się inaczej, chętnie zmieniłaby kapę na łóżku i zasłony, a także tonację całego wystroju na jaśniejszą.

- Rozumiem -. powiedziała. - Bardzo mi się tutaj podoba, pani Jenkins. Na pewno będzie mi wygodnie,

dziękuję. - Wróciwszy do swojej sypialni, zobaczyła na toaletce białe róże w wazonie. - Och, jakie śliczne. A jak pachną!

- To prawda - przyznała gospodyni z uśmiechem. - Mamy tutaj specjalnie ogrodzone rozarium. Róże kwitną prawie do Bożego Narodzenia. Jego lordowska mość prosił, żebym zawsze gdy tylko kwitną, codziennie ścinała dla milady kilka kwiatów.

- Bardzo miło, że o tym pomyślał. - Pod powiekami poczuła piekące łzy. - Uwielbiam róże, a te mają niezwykle zapach.

- Pójdę teraz, proszę odświeżyć się po podróży - powiedziała gospodyni. - Gdyby coś było potrzebne, wystarczy zadzwonić.

- Dziękuję. Jestem pewna, że na razie niczego nie będę potrzebować. Za pół godziny zejdę na herbatę do salonu.

- Dobrze, milady.

Pani Jenkins odeszła, a Olivia zaczęła dokładnie oglądać pokoje. Może nie były szczególnie wystawne, ale było w nich wszystko, czego potrzeba, żeby damie mieszkało się wygodnie. Przy oknie stał uroczy intarsjowany sekretarzyk. Otworzyła szufladki i przekonała się, że jest w nich papeteria, pióra ze srebrnymi oprawkami, kałamarze i oprawny w skórę notatnik ze srebrnymi inicjałami O.D. na oprawie. Jack musiał go zamówić specjalnie dla niej, zanim jeszcze został wicehrabią Stanhope.

Obchodząc salonik, zauważyła również inne przedmioty wyglądające na nowe, jakby Jack starał się odgadnąć, czego będzie potrzebować jego żona. Kiedyś pokoje te z pewnością należały do żony sir Joshui, o czym świadczyła część umeblowania. Miało ono swój urok. Jej uwagę zwrócił podnózek obszyty płótnem, które zdobił piękny haft, zapewne dzieło dawnej pani domu. Następne minuty Olivia spędziła na podziwianiu tkanin ściennych, po czym podeszła do kunsztownego kredensu, w którym stały porcelanowe figurki z fabryki w Derby. Był też w pokoju tamborek, pudełko z przyborami do szycia i bogatym wyborem jedwabnych nici, szpinet, kilka stolików i oszklonych szafek, wreszcie kanapa obita zielonym, jedwabnym brokatem.

Szafa na książki była nowa i Olivia z zachwytem odkryła na półkach wybór tomików swoich ulubionych poetów. Wielu innych autorów nie znała. Na różnych srebrnych przedmiotach było wygrawerowane jej imię, a na tkaninach wyszyto jej inicjały.

Bez wątpienia wydając polecenia związane z przygotowywaniem dla niej pokojów, Jack niecierpliwie oczekiwał przybycia żony do Briarwood. Dlaczego więc teraz zachowywał taki dystans?..

Nie umiała odgadnąć, czym mogłaby zniechęcić do siebie Jacka. Zresztą jego postępowanie przeczyło takiemu domniemaniu. Wciąż był uprzejmy i troskliwy, czasem odnosiła wrażenie, jakby Jack celowo narzucał sobie powściągliwość. Stopniowo dochodziła do wniosku, że

jego posepny nastrój nie ma z nią nic wspólnego. Coś musiało zajść w Stanhope.

Od początku podejrzewała, że w przeszłości Jacka kryje się tajemnica, i to właśnie ona tak go dręczy. Kiedy go poznała, też wadził się ze swoimi wspomnieniami, ale z kolei gdy spotkali się w Brighton, wydawał się z nimi pogodzony. Był wtedy całkiem innym człowiekiem. Teraz demony przeszłości znowu miały go w swej mocy.

Postanowiła, że nie pozwoli Jackowi zamknąć się w świecie mroku i bólu. Musiała znaleźć sposób, żeby go odzyskać. Chciała znowu usłyszeć jego śmiech i poczuć na sobie jego spragnione spojrzenia, chciała cieszyć się jego pieszczotami.

- Za bardzo cię kocham - szepnęła. - Nie pozwolę ci uciec, Jack. Jesteśmy małżeństwem i któregoś dnia zostanę wreszcie twoją żoną naprawdę. Już ja postaram się o to, żebyś znowu chciał mnie pieścić. Przysięgam...

ROZDZIAŁ ÓSMY

- I cóż, Olivio? - zwrócił się do niej Jack, gdy przyszła przed kolacją do salonu. - Czy jesteś zadowolona z takiego domu? Czy będzie ci tutaj wygodnie?

- Tak, na pewno. - Obdarzyła go wyjątkowo czarującym uśmiechem. - Bardzo jest tu ładnie, to prawdziwy rodzinny dom. Podoba mi się, chociaż naturalnie nie widziałam jeszcze wszystkich pomieszczeń. Pani Jenkins ma mnie jutro rano oprowadzić, żebym nabrała właściwego wyobrażenia... chyba że masz dla nas inne plany.

- Nie, nie, rób to, co uważasz za stosowne - powiedział nieco rozbawiony. - Czy dużo chcesz zmienić, moja droga?

Zauważyła nutę przekory w jego głosie i wybuchnęła śmiechem. Trochę jej ulżyło. Może jego nastrój jednak się polepsza.

- Proszę się nie obawiać. Nie chcę, żebyś poczuł się nieswojo we własnym domu, Jack. Nie zmienię zbyt wiele, chociaż do twojej sypialni są potrzebne nowe zasłony. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza?

- Nie. - Pierwszy raz od dnia ślubu przypominał jej

tego człowieka, którego znała z Brighton i Camberwell.
- Prawdę mówiąc, uważam, że całemu domowi przydałoby się małe odnawianie i przemeblowanie. Sir Joshua nie dbał o dom, odkąd umarła jego żona. To była cudowna kobieta i wiem, że dziadek już do końca życia nosił po niej żałobę. W ostatnich dniach chyba tylko praca utrzymywała go przy życiu.

- Pani Jenkins pokazała mi portret lady Chambers - powiedziała Olivia. - Miała miłą twarz i bardzo dobre oczy.

- Może każemy namalować twój portret, Olivio?

- Pod warunkiem, że zamówimy również twój i oba zawisną obok siebie.

- Nie wydaje mi się, żebym był atrakcyjnym modelem dla artysty, a ty jesteś piękna.

- Dziękuję. - Olivia uśmiechnęła się tak, że przy kącikach ust powstały jej wdzięczne dołeczki. - Jeśli mam być absolutnie szczerą, to podczas pierwszego spotkania istotnie wydałeś mi się mało atrakcyjny, ale przez ostatnie tygodnie bardzo wiele zyskałeś w moich oczach. - Po chwili dodała z przekorną miną: - Zaryzykuję jednak twierdzenie, że najprzystojniejszym z mężczyzn nie będziesz nigdy.

- Dziękuję, pani żono. - Jack parsknął śmiechem, bardzo rozbawiony jej szczerością. - Prawi mi pani komplementy.

- Wcale nie miałam takiego zamiaru - odrzekła Olivia z udaną niewinnością. - W takich sprawach zawsze

najlepsza jest szczeróść, nie sądzisz? Zresztą nie poślubiłam cię dla wyglądu, milordzie.

- Czyżby? - Jack uniósł brwi. - Czy mogę więc spytać o powód?

- Och, żaden mężczyzna nie obudził we mnie takiego uczucia jak ty swoim pocałunkiem - odrzekła. - Gdybyś poprosił, byłabym tamtej nocy twoja. Chcę być twoja pod każdym względem. To moje prawo, Jack.

- Olivio... - Zdumiała go taką bezpośredniością. - Proszę... nie wiesz, czego się domagasz.

Podeszła do niego, wpatrując się w pełne smutku oczy.

- Proszę tylko o to, żebyś okazał mi trochę zainteresowania. Skoro jesteśmy małżeństwem, powinniśmy razem szukać rozkoszy.

Jack głośno nabrał tchu. Wyczuwała, że się waha, ale gdy spróbowała pogłaskać go po policzku, odskoczył jak oparzony. Odwrócił się do niej plecami i podszedł do okna w drugim końcu pokoju. Odniosła takie wrażenie, jakby bronił się stwarzaniem między nimi dystansu, bo gdy byli blisko, nie mógł sobie ufać.

- Będziemy przyjaciółmi - powiedział w końcu. - To, co mam, należy do ciebie, Olivio, mój majątek, dom. Masz także moją przyjaźń, ale to jest wszystko, co mogę ci dać.

- Dlaczego?! - wykrzyknęła. - Kocham cię, Jack. Dobrze o tym wiesz. Dlaczego nie chcesz wziąć wszyst-

kiego, co ci ofiaruję? Jesteśmy małżeństwem, nie ma więc nic złego w tym, że razem szukamy rozkoszy.

Odwrócił się do niej i wtedy spostrzegła, że na twarzy maluje mu się niewysłowione cierpienie, którego istnienie podejrzewała od dwóch dni.

- Nie prosz mnie o to. W przeciwnym razie jeszcze dziś wieczorem będę musiał opuścić ten dom.

- Nie! - zawołała przerażona czymś, czego nie rozumiała. Widziała jednak, że Jack jest zdesperowany, trzyma się w ryzach ostatkiem sił. - Błagam, nie zostawiaj mnie tu samej. Nie wytrzymałabym tego. Złamałbyś mi serce. Proszę, zostań ze mną, Jack!

- Obawiam się, że oboje będziemy mieć złamane serca bez względu na to, jak postąpię. - Jack podszedł do Olivii z zaszępioną twarzą. - Tymczasem muszę uporać się z tym sam. Daj mi trzy miesiące na podjęcie decyzji, Olivio. Dołożę wszelkich starań, żeby uwolnić nas od tego koszmaru. Obiecuję, że po upływie tego czasu wszystko ci wyjaśnię.

Olivia pochwyciła jego zbolące spojrzenie. Bardzo chciała mu ulżyć w cierpieniu.

- A czy na razie będziemy przyjaciółmi? Nie będziesz odgradzał się ode mnie murem?

- Tylko na tyle, na ile muszę - odparł głęboko poraszony. - Czy możesz to znieść, Olivio? Czy możesz poprzestać na przyjaźni? Proszę mi wierzyć, że wolałbym zginać tam, w Badajoz, niż narazić cię na cierpienie.

A więc ją kochał! Olivia była w tej chwili święcie przekonana, że Jack kochają bardziej, niż umiałyby sobie wyobrazić. Nie wiedziała, co wywołało w nim taką zmianę, co kazało mu postawić tamę uczuciom, ale rozumiała, jak wielki ból mu to sprawia. Nie wątpiła, że pragnie jej tak samo jak ona jego. Nie mogła pozwolić, żeby wyjechał. Jakoś musiała zburzyć ten mur, który między nimi wyrósł.

- Odniosłeś ciężką ranę w Badajoz. Czy nie możesz mi powiedzieć, co tam się stało?

Jack zawahał się, a potem nieznacznie skłonił głowę.

- Tak, przynajmniej do tego masz prawo.

Zapatrzył się przed siebie i po raz nie wiadomo który znalazł się w upalnym, pełnym pyłu hiszpańskim miasteczku. W powietrzu unosił się tego dnia zapach krwi i śmierci. Ciemne, wąskie uliczki były po walkach zasypane gruzem. Jack robił obchód terenu, gdy natknął się na przerażającą scenę.

Teraz znowu zobaczył ją tak wyraźnie, jakby działa się w tej chwili. Kobieta znalazła się w pułapce na schodach kościoła. Najwidoczniej chciała znaleźć azyl w jego zabytkowych murach, ale otoczyli ją żołnierze. Żądni krwi po bitwie zachowywali się jak sfora psów, która dopadła sarnę.

Wieśniaczka popatrzyła na Jacka błagalnie wielkimi, brązowymi oczami. Miała nie więcej niż dwadzieścia lat i długie, kręcone włosy. Dostrzegł krew na jej ramionach i twarzy, a rozdarty stanik sukni odsłonił pełne piersi.

- Idźcie do diabła! - krzyknął Jack. - Rozkazuję wam przestać! Zostawcie tę kobietę!

Nie miał pojęcia, skąd wystrzelono kulę, która trafiła go w skroń i obaliła na ziemię, twarzą w dół. Wciąż jednak był przytomny. Usiłował wstać, klnąc rozszalałych żołnierzy i grożąc im szubienicą, ale wtedy poczuł silne uderzenie w tył głowy i ogarnęła go ciemność. Pozostał w niej kilka dni.

Olivia w milczeniu słuchała tej historii. Wyczuwała, jak trudno ją opowiedzieć, i miała wrażenie, że już rozumie, dlaczego czasem Jack wydaje się udręczony wspomnieniami, które nie chcą odejść.

- Zgwałcili ją - zakończył gorzko. - Ona była w twoim wieku, Olivio. Powiedziano mi potem, że do końca się broniła, a żołnierze, już po wszystkim, odebrali jej życie. Me była zresztą jedyną ofiarą tego dnia. Nasi mężczyźni zachowywali się haniebnie, gwałcili, rabowali domy niewinnych ludzi... Ich chciwość i żądza krwi zabiły wiele kobiet i dzieci. - Twarz mu pobladła, opowiadanie tej tragedii musiało go wiele kosztować.

- Próbowalesz ją uratować - powiedziała cicho Olivia.

- Próbowalem, ale bez skutku.

- Nie ponosisz winy za to, co zrobili żołnierze. Czytałam w historycznych książkach, że takie sytuacje się zdarzają, chociaż wiem, że to straszne i hańbiące dla tych, którzy w ogniu walki stają się drapieżnymi bestiami. Ale nie byłeś jednym z nich, Jack. Szanuję cię za to, że próbowałeś ją uratować. Postąpiłeś odważnie i godnie.

Stała tak blisko niego! W nozdrza uderzyła go woń pachnidła. Pragnął jej. Chciał, żeby była jego.

- Olivio... - pogłaskał ją po policzku - .. .gdybym tylko...

Zdawało jej się, że chce ją pocałować. Rozchyliła wargi i uśmiechnęła się do niego, przekonana, że szala przechyła się na jej stronę.

- Podano kolację, milordzie - dobiegł ich głos Jenkinsa.

Czar prysł. Jack raptownie zamrugał powiekami, jakby obudził się z transu. Odsunął się od żony i natychmiast odzyskał panowanie nad sobą.

- Dziękuję, Jenkins. Zaraz przyjdziemy. - Zwrócił się do Olivii, przyoblekając twarz w maskę chłodnej uprzejmości. Podał jej ramię. - Służę, moja droga. O ile wiem, kucharka przygotowała jakieś specjały na twój pierwszy wieczór w Briarwood. Byłoby niegrzecznie, gdybyśmy kazali jej czekać.

Olivia cierpliwie stała, czekając, aż Rosie pomoże jej przebrać się w cieniutką koszulę nocną, ale odprawiła ją natychmiast, gdy służąca wzięła suknię.

- Dziękuję, możesz już iść - powiedziała. - Nie będę cię więcej potrzebować dziś i wieczorem.

Po wyjściu służącej przejrzała się w lustrze, potem zaczęła szcztokować lśniące włosy opadające jej na ramiona. Jako dziecko uwielbiała, kiedy wieczorem lady Burton szcztokowała jej włosy, teraz jednak wolała robić to sama.

Odłożywszy szczotkę, westchnęła. Czyżby miała nigdy nie zaznać spokoju? Tak wiele obiecywała sobie po tym małżeństwie, a teraz... co? Nastroje Jacka wprawiły ją w głębokie zmieszanie. Zmieniały się nieustannie. Czasem Jack wydawał się pogodnieć, ale wystarczyło jedno spojrzenie na żonę, by przygnębienie wracało doń z całą mocą.

Co go tak prześladowało? Dlaczego koniecznie chciał zachować dystans? Nie miała pojęcia, lecz mimo to była zdecydowana tak czy inaczej przewyciężyć jego opór.

Wstała ze stołka i zaczęła chodzić po sypialni. Po chwili przystanęła i pociągnęła nosem, rozkoszując się zapachem różanego pachnidła, przysłanego jej przez męża. Taka troskliwość była ujmująca, podobnie jak propozycja przyjaźni. Choć naturalnie Olivia ceniła sobie przyjaźń Jacka, to zamierzała któregoś dnia stać się dla niego kimś znacznie ważniejszym.

Uśmiechnęła się, do głowy przyszedł jej bowiem pewien pomysł. Podeszła do sekretarzyka, wyjęła kartkę papieru, skreśliła na niej kilka słów, przesłała całusy i podpisała O.D. Po chwili upuściła jeszcze na papier dwie krople pachnidła, wybrała z różanego bukietu piękny pąk i tak uzbrojona wślizgnęła się do sypialni Jacka, który jeszcze nie przyszedł na górę. Było to zgodne z jej przewidywaniami, gdy bowiem zostawiała go w salonie ze szklaneczką brandy, wyglądał tak, jakby miał zamiar tam jeszcze posiedzieć.

Czyżby i jego drażył niepokój? Czy myślał o niej? No, już ona mu pokaże. Przypomni, że leży w łóżu w sąsiednim pokoju, czy Jack tego chce, czy nie. Zostawiła mu liścik z różą na poduszce i wróciwszy do swojej sypialni, cicho zamknęła za sobą drzwi.

Liczyła się z tym, że opór Jacka będzie długotrwały, wierzyła jednak, że któregoś dnia zdoła go pokonać. Niechby nawet Jack wiele razy ją odpychał, ona i tak nie pozwoli mu się wymknąć. Instynktownie wiedziała, że nadzieja na wspólne przyszłe szczęście opiera się na jej sile i wytrwałości. Musiała wbrew wszystkiemu za-trzymać Jacka przy sobie.

Jack siedział samotnie w salonie, tępo wpatrując się w szklaneczkę. Wypił już więcej niż zwykle, ale alkohol nie uśmierzył jego bólu. Oczami wyobraźni widział Olivię, raz w tym, kiedy indziej w innym stroju, to uśmiechniętą, to zamyśloną, przypominał sobie zapach jej skóry i dźwięk głosu.

Do diabła! Musi uwolnić się od tych wyobrażeń, bo inaczej naprawdę oszaleje! Do tej pory tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy z tego, jak trudno będzie im obojgu w małżeństwie, które musiało na zawsze pozostać nieskonsumowane.

Nie mógł dzielić łóża ze swoją piękną oblubienicą. Skaziłby ją swoim dotykiem, a ona była taka piękna, czysta... o tyle lepsza od niego.

Poza tym musiał liczyć się z możliwością poczęcia

dziecka. Jak dotąd nie zauważył u siebie żadnych oznak szaleństwa, ale Stanhope'owi udawało się ukryć przed światem swój stan całymi latami. Mogło też być tak, że u niego choroba wcale się nie objawi. Nie miał jednak pewności, że mimo to nie wystąpi u jego syna. Chcąc ochronić nie narodzone dziecko i Olivię przed taką tragedią, bezwzględnie musiał pohamować cielesne żądze.

Wolał cierpieć katusze, niż swym dotykiem zbrukać ciało Olivii. Nie pozwoliłaby mu na to głęboka miłość, jaką ją darzył. Początkowo po prostu oczarowały go jej figlarne uśmiechy, stopniowo jednak swą dzielnością i uczciwością zyskała jego szacunek. Teraz już wiedział bez cienia wątpliwości, że w kobiecie, którą wybrał sobie na żonę, znalazł rzadki klejnot.

Jack doświadczał wewnętrznego rozdarcia. Wiedział, że sprawia Olivii ból, i miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Zasługiwała przecież na znacznie więcej, niż mógł jej dać.

Przez małżeństwo chciał ją uchronić przed zniewagami w towarzystwie, tymczasem jednak zrozumiał, że powinien był wykazać dość siły, by znieść skandal, jaki wybuchłby po zostawieniu przez niego panny młodej przed ołtarzem. Dokonał znacznie gorszego wyboru.

Pozbawił ją szansy na kochanie i bycie kochaną, pozbawił ją możliwości urodzenia dziecka.

Jak miał wydostać się z pułapki? Nic z tego, co mógł ofiarować Olivii, nie rekompensowało strat poniesio-

nych przez nią skutek fałszu, którym skaził ich małżeństwo.

Dlaczego to zrobił? Czy naprawdę tylko po to, by uchronić ją przed kompromitacją i opinią porzuconej panny? A może miał również bardziej egoistyczny powód? Czyżby uległ swoim żądzom? Uczciwość nakazała mu przyznać, że pragnie Olivii. Nawet teraz jego ciało domagało się spełnienia. Żądało, by poszedł do niej i uczynił ją swoją.

Nie, nie mógł tego zrobić. Nie wolno mu było podać się egoistycznemu pragnieniu!

Powinien odjechać jeszcze tej nocy, dać Olivii podstawy do wystąpienia o unieważnienie małżeństwa. Gdy jednak tylko naszła go ta myśl, natychmiast ją odrzucił. Obecność Olivii sprawiała mu niewysłowione cierpienie, ale nie miał dość siły, by zerwać ten związek.

Tego wieczoru muzykowała specjalnie dla niego, czystym, wysokim głosem śpiewała popularne piosenki. Niektóre były dość frywolne. Gdyby teraz opuścił Olivię, oboje mieliby już niewielkie szanse zaznania szczęścia w życiu. Olivia nie wyszłaby ponownie za męża, a instynkt podpowiadał mu, że i on nie znalazłby dla siebie innej kobiety.

Musiało istnieć jakieś rozwiązanie! Jack bez końca rozważał sytuację. Może gdyby był ostrożny, gdyby mógł mieć pewność, że nie spłodził dziecka... ale musiałby najpierw powiedzieć Olivii prawdę. Nie mógł jej oszukiwać. Jak by się poczuła, gdyby znienacka dowie-

działa się, że jej mąż może popaść w obłąd? Czy odwróciłyby się od niego? Pewnie znienawidziłyby go za to, co jej zrobił.

A może choroba już toczy jego mózg? I co wtedy? Gdyby mógł mieć pewność, że nie grozi mu przekazanie tej skazy następnym pokoleniom...

Do diabła z człowiekiem, który dał mu życie! Wezbrała w nim wściekłość. Ojciec nigdy nie okazał mu uczucia. Prawdę mówiąc, matka również nie. Przez całe jego życie zajmowała się nim służba, tylko sir Joshua starał się go poznać. No, może jeszcze earlowi zdarzyła się jedna próba.

Kiedyś dziadek zastał go w ogrodzie na zabawie drewnianym mieczem. Spytał go wtedy, czy chce zostać żołnierzem. Uśmiechnął się i pogłaskał go po głowie, a potem nadeszła lady Stanhope i earl odwrócił się, znów przywdziewając maskę obojętności.

Jack oddalił to wspomnienie, bo nie miało już znaczenia. Przez te wszystkie lata lord Heggan okłamywał go, a właściwie nie mówił mu całej prawdy. Powinien był mu wyjawić, co może go spotkać.

Był wściekły na dziadka. Dlaczego powiedział mu, że jego obowiązkiem jest zawrzeć małżeństwo dla dobra rodziny? Chyba lepiej byłoby, gdyby wraz z jego śmiercią zakończyło się przenoszenie choroby.

Takie i podobne ponure myśli tłukły mu się po głowie, gdy odstawiwszy wreszcie szklaneczkę z resztkami złotawego płynu, raszył na górę do sypialni. Przed

drzwiami zawahał się. Może lepiej byłoby skorzystać z pokoiów, w których mieszkał dawniej. Byłaby to jednak obelga dla Olivii, naraziłby ją na kpiny służby.

Nie, nie mógł jej tego zrobić. Zresztą, co za różnica, czy dzielią ich jedne drzwi, czy więcej? Jego cierpienie nie zmalałoby ani na jotę nawet wtedy, gdyby był o tysiące mil stąd.

Wszedł więc do pokoju i zmartwił. Woń pachnidła była silniejsza niż w salonie. Czyżby przyszła tu Olivia? Dostrzegł różę na poduszce. Energicznie podszedł do łóżka i podniósł liścik.

„Słodkich snów, mój przyjacielu” - napisała jego żona. „Będę o tobie śniła, mój najdroższy”.

Jack nie wiedział, czy roześmiać się, czy płakać. A to ci trzpiotka! Zasłużyła sobie na to miano. Gdyby tylko mógł przejść do jej pokoju... Zbliżył się do drzwi, ale po kilku krokach przystanął.

Nie, nie wolno mu było poddać się pragnieniom ciała! Postąpiłby niegodziwie, gdyby zniszczył kobietę, którą powinien szanować bardziej niż wszystkie inne. Jeśli nadejdzie taka chwila, że nie będzie umiał się powstrzymać, to niezwłocznie wyjedzie.

Klnąc pod nosem, przekręcił klucz w drzwiach, które ich dzieliły. Nie mógł narażać się na niespodziewane wizyty Olivii, bo gdyby po przebudzeniu znalazł ją obok siebie w łóżku, to zapewne nie starczyłoby mu siły woli na odesłanie jej do sąsiedniej sypialni.

- Chyba już wszystko milady widziała - powiedziała pani Jenkins następnego ranka, skończywszy oprowadzać Olivię po domu. - Jeśli potrzebne są jakieś zmiany w prowadzeniu domu, wystarczy mi o tym powiedzieć. Sir Joshua zostawiał większość spraw na mojej głowie.

- Ze mną będzie podobnie - odrzekła Olivia z uśmiechem. - Od czasu do czasu mogę mieć różne drobne życzenia, ale takim wielkim domem nigdy nie zarządzałam, polegam więc na pani doświadczeniu.

- Naturalnie, milady może na mnie polegać. - Gospodyni wydawała się zadowolona. - Te kremowe zasłony, które znalazłyśmy, bardzo dobrze będą pasować do łoża w sypialni jego lordowskiej mości. Zaraz polecę służącym, żeby je powiesiły.

- Tak, bardzo proszę. Później przyjdę sprawdzić, jak wyglądają.

Olivia zostawiła gospodynię, która ruszyła do swoich zajęć, i poszła do salonu w głębi domu, który postanowiła zawłaszczyc. Wysokie, przeszklone drzwi łączyły ten pokój z ogrodem, gdzie za wypiełgnowanymi trawnikami znajdowało się rozarium. Otworzyła drzwi i wyszła na dwór zadowolona, że pogoda znacznie się polepszyła. Przez chmury zaczynało przeświecać słońce.

Ruszyła ogrodową alejką, tu i ówdzie przystając, by nacieszyć się zapachem kwiatów. Nagle zamarła, usłyszała bowiem ciche warczenie.

Pies przyglądał jej się podejrzliwie. Nie był rozjuszony tak jak wówczas, gdy natknęła się na niego w lesie w dniu pierwszego spotkania z Jackiem, ale z pewnością rzuciłby się na nią, gdyby wykonała fałszywy ruch. Olivia głęboko odetchnęła i zmobilizowała się, by opanować uczucie paniki. Jak Jack nazwał tę bestię? O, tak, przypomniała sobie.

- Brutus, siad! - poleciła zdecydowanym tonem. - Dobry pies, siad!

Ku jej bezgranicznemu zdumieniu Brutus natychmiast usłuchał. Przez chwilę patrzyła na niego zdeorientowana, wstrzymując oddech. Co dalej? Czy pies skoczy na nią, jeśli będzie próbowała przejść obok?

Nie miało sensu ryzykować. Olivia zrozumiała, że muszą się zaprzyjaźnić. Nie mogła przecież pozwolić na to, żeby przez Brutusa stała się więźniem we własnym domu. Musiała zapanować nad lękiem.

Ktoś kiedyś powiedział jej, że w obecności zwierzęcia nie wolno okazywać strachu. Ta rada wydawała jej się słuszna. Zebrała się więc na odwagę i zbliżyła do psa. Brutus gardłowo warknął, ale dalej siedział tak, jak mu kazano.

- Dobry piesek - pochwaliła cicho Olivia, ośmielona posłuszeństwem zwierzęcia. Podeszła jeszcze bliżej. - Nie jestem intruzem, Brutus. Jestem żoną twojego pana. Powinniśmy zostać przyjaciółmi w dobrze pojętym interesie nas obojga, nie sądzisz?

Brutus przyjrzał jej się niepewnie, po czym lekko po-

ruszył ogonem. Widząc ten gest, Olivia poczuła wyraźną ulgę.

- Naprawdę jesteś grzecznym psem - orzekła i zdecydowanie wyciągnęła przed siebie rękę, żeby Brutus mógł ją powąchać. Zrobił to, a potem przesunął jej szorstkim jęzorem po skórze. Olivia uśmiechnęła się i pochyliła, żeby pogłaskać go po głowie i podrapać za uszami. Jeśli uznać, że wystawiony z pyska jęzor był oznaką zadowolenia, to pieszczota musiała sprawić Brutusowi dużą przyjemność. - Tak, greczny pies - powtórzyła - Chcesz iść ze mną na spacer?

Brutus poznał znajome słowo i szczeknął, tym razem jednak wcale nie wrogo, lecz radośnie.

- O, tak, chcesz - powiedziała Olivia tonem zwykle zarezerwowanym przez ludzi dla szczeniaków i małych dzieci. - Zdaje się, że już od dawna czekasz na to, żeby ktoś się nad tobą zlitował. Wobec tego chodź, przejdziemy się, a potem poprosimy panią Jenkins, żeby dała ci smakowitą kość.

Brutus szczeknął na znak zgody i pobiegł przodem. Był dużym i żywiołowym psem, wyraźnie jednak uznał Olivie za przyjaciela, bo raz po raz zawracał i podbiegał do niej. Gdy przyniósł kawałek złamanej gałęzi, Olivia zrozumiała, o co chodzi, wyjęła ją z psiego pyska i odrzuciła najdalej, jak umiała.

- Przynieś! - zawołała. - Dobry pies, przynieś!

Brutus usłuchał bez wahania. Olivia roześmiała się, a gdy zaaportował gałąź, jej łęk przed wielkim zwierzę-

ciem znikł bez śladu. Tymczasem Brutus usiadł u jej stóp i błagalnie spojrział na nią wilgotnymi, brązowymi oczami.

- Dobry, mądry pies - powiedziała łaskawie i znowu rzuciła mu kij.

Zabawa trwała przez następne pół godziny, a tymczasem Olivia doszła do wniosku, że najwyższy czas wrócić do domu. Zaprowadziła więc Brutusa do kuchennych drzwi i zaskoczyła służbę, wpuściła bowiem psa do środka.

- Zaraz wyrzucę tego kundla - zapewniła pomywaczka i chciała spełnić swój zamiar, ale Olivia ją powstrzymała.

- Pozwól mu zostać. Myślę, że kucharka mogłaby dać mu kość.

- Naturalnie, milady - potwierdziła kucharka, która szybko wyszła z kuchni. - Właśnie chciałam zapytać, czy milady chciałaby zmienić coś w jadłospisie.

- Na razie nie - odparła Olivia. - Pieczeń podana wczoraj wieczorem była wyśmienita, podobnie jak nerkówka w sosie śmietanowym. Milord bardzo je chwalił. Biskopt w winie też był znakomity. Proponuję, żeby przez najbliższe dwa tygodnie nie robić żadnych zmian. Potem zdecyduję, czy mam jakieś życzenia.

- Dobrze, milady. - Kucharka uśmiechnęła się. Zerknęła na Brutusa. - Nigdy nie widziałam, żeby ten pies tak lgnął do kogokolwiek oprócz jego pana. Czy kość z szynki będzie dobra?

- Tak sędę - zgodziła się Olivia. - Niech ją weźmie na dwór, żeby tutaj nikomu nie zawadzał.

Kucharka przyniosła gnat ze spiżarni i pokazała go psu. Brutus bardzo się ożywił i podszedł za nią do drzwi, ale gdy okazało się, że Olivia nie idzie za nim, zatrzymał się i zaczął skamleć z głową zwróconą w jej stronę.

- A to ci dopiero - powiedziała kucharka. - Wygląda na to, że on woli być z milady, niż zająć się kością.

- Rzeczywiście. - Olivia wybuchnęła śmiechem, zdziwiona tym przejawem przyjaźni, lecz zarazem bardzo zadowolona. - Gdyby któryś z lokajów przyniósł derkę do mojego salonu, to może pies aż tak bardzo by nie nabrudził.

- Chyba nie chce pani wpuścić tego bandyty do domu? - zdumiała się służąca.

- Nie taki znów z niego bandyta - sprzeciwiła się Olivia. - Owszem, nie jest zbyt piękny, ale ja go polubiłam. Jeśli jest nauczony czystości, to myślę, że możemy pozwolić mu pobyc w domu.

Kucharka wyraźnie miała poważne wątpliwości, ale Olivia była tutaj panią, nie należało więc jej się sprzeciwiać.

- Powiem Henry'emu, żeby przyniósł jakiś stary koc do salonu, milady.

- Nie zapomnij o kości, psie. - Olivia zwróciła się znowu do kucharki: - Nie będziemy wprowadzać takiego zwyczaju. Brutus ma jeść tutaj albo na dworze, ale sędę, że raz możemy potraktować go wyjątkowo.

- Jak milady sobie życzy - odrzekła kucharka, ale po wyjściu Olivii i podążającego za nią jak cień Brutusa pokręciła głową. - A to ci dopiero. Takie bydlę w domu. Sir Joshua przewraca się w grobie.

Olivia wróciła do salonu i usiadła na krześle przy kominku. Brutus położył się u jej stóp z łbem wspartym na przednich łapach i uważnie ją obserwował. Nawet gdy po kilku minutach przyszedł lokaj, pies ani drgnął, póki Olivia nie wstała i nie pokazała mu koca.

- To dla ciebie - powiedziała. - Nagroda dla grzecznego psa. Nie chcesz? Połóż się i zjedz swoją kość. No, bądź greczny. - Wróciła na miejsce przy kominku. Brutus również zawrócił i przycupnął u jej stóp. - Och, ty głupie stworzenie - zawołała Olivia. - Dlaczego nie jesz?

- Bo wie, że mu nie wolno - rozległ się głos na progu. - Czy zamierzasz zrobić z niego salonowego pieska, Olivio? On jest nauczony, że mieszka na dworze, aby pilnować posiadłości i jej mieszkańców.

- O, jesteś, milordzie - powiedziała Olivia. - Słyszałam, że wybrałeś się na przejażdżkę. Czy jesteś z niej zadowolony?

- Miałem sprawę do moich dzierżawców - wyjaśnił Jack i usiadł na krześle. - Wybacz mi, że cię opuściłem. Mam nadzieję, że się nie nudzisz.

- Czemu miałabym się nudzić? - zdziwiła się Olivia, przesyłając mu uśmiech. - Oglądałam dom. Mówiłam ci, milordzie, że pani Jenkins ma mnie oprowadzić. A potem wyszłam do ogrodu i tam znalazł mnie Brutus.

- Podobno boisz się psów, Olivio. Tymczasem wygląda na to, że opanowałaś swój strach.

- Nie miałam wyboru - odrzekła. - Brutus przyglądał mi się wyjątkowo nieufnie. Gdybym pokazała, że się go boję, zawsze byłabym wobec niego na straconej pozycji. A teraz zostaliśmy przyjaciółmi i nie muszę się go obawiać, jeśli spotkam go na dworze.

- Z tego co widzę, pies stał się twoim cieniem, Olivio - kwaśno stwierdził Jack. - Błagam tylko, nie rozpieść go zanadto, bo inaczej przestanie pilnować posiadłości.

- W zasadzie mógłbyś kupić innego psa - powiedziała Olivia, a przy kącikach ust zrobiły jej się urocze dołeczki. - Bardzo polubiłam Brutusa, Jack. Czy nie mógłby być mój?

- Trzpiotka - odparł z rozbawieniem. - Podejrzewam, że i tak postąpisz według swojego widzimisię, bez względu na moje przyzwolenie.

- Och, nie - zaprzeczyła, tłumiąc śmiech. - Zamierzam być dobrą i posłuszną żoną, Jack. Zrobię wszystko, cokolwiek mi powiesz.

- Czyżby? - Spojrzał na nią niedowierzająco. - Powiedziałam sobie w to wątpić, pani żono. Sądzę, że owinie sobie pani słuźbę dookoła małego palca tak samo jak to głupie zwierzę. Jestem przekonany, że już teraz połowa tego domu je pani z ręki.

- Uważam, że należy szanować ludzi, którzy dla

mnie pracują, a jednocześnie zasługiwać na ich szacunek. Czyż nie tak, milordzie?

- Tak, tak - powiedział, mimo woli się uśmiechając.

- Cóż więc będziemy robić dziś po południu, milady? Czy chcesz wybrać się na przejażdżkę powozem, czy raczej pojechać gdzieś konno? A może wolisz zostać w domu?

- Czy masz w stajni konia, który byłby dla mnie odpowiedni? - spytała Olivia. Jego skinienie głowy skwitowała uśmiechem. - Wobec tego wybieram konną przejażdżkę. Naturalnie jeśli zniesiesz moje towarzystwo.

- To jest jeden ze sposobów spędzania czasu, jaki możemy dzielić. Bardzo chętnie pokażę ci posiadłość.

- A więc przebiore się po jedzeniu. O ile wiem, kucharka przygotowuje dla nas zimną przekąskę w pokoju śniadaniowym. Czy jesteś głodny, milordzie?

- Apetyt mam na pewno - odpowiedział z błyskiem w oku. - Jeśli nie przestaniesz mnie tytułować milordem, Olivio, to sięgnę po łaskę. Jak wiesz, mężowi prawnie nie zabrania bić żony.

Olivia parsknęła śmiechem i wyzywająco spojrzała mu w oczy.

- Mąż ma wiele przywilejów, Jack. Nie odmówiłabym ci żadnego.

Jack podszedł do niej, ujął ją za rękę i pocałował w dłoń.

- Tymczasem nie mogę przyjąć twojej szczodrej propozycji, ale może któregoś dnia...

- Z niecierpliwością oczekuję tego dnia - powiedziała Olivia. - Jestem głodna. Chodźmy coś zjeść.

Serce biło jej w przyspieszonym rytmie. Ponury nastrój męża chyba ustąpił. Jack był prawie tym samym mężczyzną, który zalecał się do niej w Camberwell i flirtował z nią w Brighton. Najwyraźniej uznał, że jeśli mają razem mieszkać, to powinien dotrzymywać jej towarzystwa.

Dobre i to na początek, pomyślała. Jeśli będą ze sobą dużo przebywać i pogłębią przyjaźń, to może z czasem zostaną również kochankami?

Nie miała pojęcia, jak długo Jack bił się z myślami, nie wiedziała też, że jego poprawa nastroju nastąpiła wtedy, gdy postanowił napisać do dziadka.

Jack rozumiał, że dopóki nie odkryje prawdy o swoim ojcu, dopóty nie zazna spokoju. Musiał się dowiedzieć, czy obłąd wicehrabiego Stanhope był dziedziczny, czy może wywołała go jakaś choroba. Kochał Olivię tak bardzo, że po całonocnych rozmyślaniach podjął dramatyczną decyzję. Jeśli ma ten obłąd we krwi, to powinien uwolnić Olivię od małżeńskich więzów. Nie byłoby uczciwie zmuszać ją do trwania w tej namiastce małżeństwa przez całe życie. Trzeba było się rozstać, choćby miało to być bardzo bolesne dla nich obojga.

Tymczasem nacieszy się jej obecnością w tym domu. Skoro nic więcej mu nie wolno, to przynajmniej ofia-

ruje jej przyjaźń i opiekę. A gdyby doszło do rozstania, dokładnie wytłumaczy jej, dlaczego tak się stało.

Nieświadoma toku myśli Jacka Olivia nierozważnie pozwoliła sobie na nadzieję. Kilka jego uśmiechów i nagła bliskość obudziły w niej tęsknotę. Spojrzała na męża rozmarzonym wzrokiem, rozchylając wargi, i nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak bardzo go kusi i jak trudno mu obronić się przed pokusą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jack zorientował się, że Olivia znowu była w jego pokoju. Wyczuł jej obecność, pozostawiła po sobie miłą woń pachnidła. Ta woń towarzyszyła mu zresztą w różnych miejscach domu, którego panią była teraz Olivia. Cóż, nie mógł jej zabronić wstępu do swoich pokojów. Miała prawo przychodzić i wychodzić, kiedy zechce.

Uśmiechnął się na widok róży i następnego liściku na poduszce. Od trzech tygodni Olivia zostawiała mu wiadomości codziennie i prawdę mówiąc, zaczął niecierpliwie ich wyczekiwać, chociaż nie chciał się do tego przyznać nawet przed sobą.

Już drugiego dnia wspólnego mieszkania z Olivią w Briarwood stwierdził, że znikł klucz z drzwi łączących jego sypialnię z salonikiem. Odkrył go na komodzie w saloniku, a wraz z nim liścik z pytaniem, czy boi się, że żona chodzi we śnie i może zakłócić jego spokój. Dalej następowały solenna obietnica, że nic takiego się nie zdarzy, i życzenia słodkich snów. Jack zostawił więc klucz na komodzie. Jeśli mieli toczyć pojedynek na siłę woli, to proszę bardzo. Faktem jest, że by-

ło mu coraz trudniej oprzeć się pokusie przejścia przez nie zamknięte drzwi i odwiedzenia żony nocą,

Z uśmiechem przeczytał najnowszy liścik i schował go razem z innymi w tomiku wierszy poleconych mu przez Olivię. To była doprawdy urocza, błyskotliwa i bardzo bystra towarzyska, zawsze gotowa dzielić z nim jego zainteresowania, nie kapryśna i nie płoża. W dodatku jej uśmiechy mogły zmiękczyć najbardziej zatwardziałe serce, a serce Jacka od dawno już zmiękło jak wosk.

Początkowo liczył na rychłą odpowiedź lorda Heggana, ale wciąż nie dostał od niego ani słowa. Boże, jak bardzo chciał wziąć Olivię w ramiona, okryć jej ciało pocałunkami i pieszczotami. Wiedział, że znowu spędzi bezsennie większą część nocy, aż w końcu będzie musiał wyjść z domu.

W tych przechadzkach przed świtem towarzyszył mu Brutus, który tak naprawdę był jednak teraz psem Olivii, a Jackowi tylko przypominał, że jego żona rzuciła czar na wszystkich dookoła.

A gdyby zaprosili goście... tak, to mogłoby pomóc. Spędzali zbyt dużo czasu wyłącznie w swoim towarzystwie. Powinni wydać kolację dla sąsiadów, którzy na pewno czekają na znak, że odwiedziny w Briarwood House są mile widziane. Skinał głową z zadowoleniem. To im ułatwi życie. Z samego rana zwróci się z taką propozycją do Olivii.

Olivia siedziała w salonie i czytała list, gdy do pokoju wszedł Jack. Był ubrany w brunatną kurtkę jeździecką i nieco jaśniejsze spodnie do kolan, a na szyi miał fular z prostym węzłem. Niewątpliwie wracał z przejażdżki. Na jego widok natychmiast drgnęło jej serce. Przesłała mu ciepły uśmiech i zamachała kartką.

- Przysłała mi to Beatrice - powiedziała. - List od lady Burton. Przeprasza, że nie przyjechała na ślub. Była chora i zbyt późno dostała zaproszenie.

Jack zmarszczył czoło.

- Wierzysz w to, Olivio?

- Nie wiem - przyznała. - Myślę, że lady Burton mogła obawiać się niezadowolenia męża. Przecież to on zabronił jej utrzymywać ze mną kontakty.

- Ale jednak do ciebie napisała?

- Pyta, czy może mnie odwiedzić, i błaga, żebym wybaczyła jej niesprawiedliwe postępowanie.

- Czy chcesz ją przyjąć?

Olivia zamyśliła się na dłuższą chwilę, a potem skłoniła głowę.

- Tak, Jack. Myślę, że ją zaproszę. Kiedy dorastałam, była dla mnie czułą i troskliwą matką. Może trochę nadopiekuńcza i zbyt nerwową, ale sądzę, że byłam jej bliska.

- Czy ona jest ci bliska, mimo że tak postąpiła?

- Lord Burton nie pozostawił jej wyboru.

- A więc musisz do niej wysłać zaproszenie. Właśnie miałem ci zaproponować urządzenie kolacji dla są-

siadów. Chyba powinniśmy zacząć udzielać się towarzysko. Nie sądzisz?

- Nie widzę przeszkód - odparła Olivia. - Co będziemy robili dzisiaj? Pojedziemy gdzieś czy może popspacerujemy w ogrodzie? Mam pewien pomysł związany z tym miejscem, gdzie na skraju lasu stoi świątynia dumania. Czy chcesz o tym porozmawiać, czy wystarczy, jeśli wytłumaczę to ogrodnikom?

Olivia codziennie znajdowała pretekst, żeby zatrzymać go przy sobie. Jack dobrze wiedział, że przegrywa toczony przez nich pojedynek, że z każdą godziną stawia słabszy opór.

- Bardzo cię przepraszam, Olivio, ale mam pewną sprawę do załatwienia - odrzekł. - Możesz sama podjąć decyzję, nie musisz mnie w ogóle pytać o pozwolenie na zmiany.

- Dobrze, wobec tego porozmawiam po południu z ogrodnikami, a jeszcze przedtem napiszę do lady Burtom Czy jesteś pewien, że mogę to zrobić?

- Możesz tu zapraszać, kogo tylko chcesz, Olivio - odrzekł Jack, marszcząc czoło. - To jest twój dom.

- Tak, naturalnie. - Przez chwilę miała w oczach wyraz tak przejmującego smutku, że Jackowi omal nie pękło serce, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, na twarzy Olivii znów zagościł uśmiech. - Musisz mi dać listę swoich przyjaciół, Jack. Ludzi, których chcesz zaprosić na kolację.

- Znajdziesz taką listę w biurku, w gabinecie - od-

rzekł. - Daję ci pełną wolność wyboru. Mnie to nie robi różnicy.

- Jak chcesz. - Wstała i podszedłszy do niego, położyła mu rękę na ramieniu. - Jestem pewna, że polubię wszystkich twoich przyjaciół, najdroższy. Kilkoro może zaproszę w gościnę, bo to pomoże uniknąć krępującej sytuacji podczas pobytu lady Burton.

- Jak sobie życzysz - bąknął Jack i odwrócił się, żeby nie pokazać po sobie, jakie wrażenie wywarło na nim dotknięcie przez Olivię. - Przepraszam teraz, muszę iść do swoich zajęć.

Olivia patrzyła za nim, a jej uśmiech szybko zamierał. Czasem było jej naprawdę trudno nie poddać się rozpaczce, a jednak była zdecydowana nie rezygnować. Będzie naciskać, póki nie usłyszy od Jacka, dlaczego zachowuje dystans między nimi, chociaż oboje cierpią z tego powodu.

- Dobrze, milady. - Ogrodnik z szacunkiem dotknął czoła. - Zgadza się z panią, że byłoby lepiej oczyścić teren wokół świątyni dumania i założyć tutaj trawniki poroździelane niskimi żywopłotami. Stare drzewa są już zbyt wysokie i wszystko zacierają.

- Czy to znaczy, że zajmiecie się tym? - spytała Olivia. - Chciałabym móc tu posiedzieć jesienią i latem.

Uśmiechnęła się do ogrodnika, a potem przyzwała Brutusa i odeszła. W takie ciepłe popołudnie miała

ochotę wybrać się gdzieś dalej, niż była do tej pory, dlatego nie próbowała powstrzymać psa, kiedy pognął w krzaki daleko przed nią.

W lesie było przyjemnie, słońce przeświecało przez liście. Olivii przypominały się lasy w okolicach domu ojca w Abbot Giles. Tam nie lubiła spacerować ze względu na markiza Sywella, ale często intrygował ją święty gaj, który podobno znajdował się w samym sercu leśnego gąszczu. Zastanawiała się, czy rzeczywiście istnieje, a gdy była sama, szeptała sekretną modlitwę do leśnej pani: „Spraw, żeby do mnie przyszedł. Proszę, niech mnie pokocha”.

Spacerowała ponad pół godziny, głęboko zamyślona.

Dlaczego właściwie Jack się od niej odsuwa? Zauważyła przecież, jak na nią ukradkiem patrzy, wyczuwała więc, że trudno mu zachować powściągliwość. Chyba nie myliła się, sądząc, że Jack ją kocha? Nie mogła się mylić! Była przekonana, że sytuacja, w jakiej się znaleźli, także go unieszczęśliwia.

- Kim jesteś, ślicznotko? - rozległ się chrapliwy głos za jej plecami. Zaskoczona Olivia obróciła się raptownie i stanęła twarzą w twarz z mężczyzną, który wyłonił się spomiędzy drzew. Sądząc po jego stroju i wyglądzie, musiał być jednym z włóczęgów, przed którymi ostrzegał ją Jack. - Ho, ho, już wiem. Wybranka jego lordowskiej mości. Ale ślicznotka.

Olivia stała oszołomiona, a mężczyzna powoli się zbliżał. Nie podobało jej się jego spojrzenie. Zerknęła

przez ramię w poszukiwaniu Brutusa, wiedziała jednak, że pies buszuje po krzakach daleko z przodu.

- Co tu robicie, człowieku? - Wreszcie odzyskała głos. - Nie wolno wam być na ziemi mojego męża.

- Nie jestem dość dobry dla takich jak wy, co? Tak sobie myślicie, ty i twój mąż - burknął i zmrużył oczy.

- Ale męża teraz tu nie ma, hę? No, to skosztuję pańskiego...

- Nie ważcie się mnie tknąć - powiedziała stanowczo Olivia i cofnęła się o krok. Nie powinna była spacerować tu sama. Jack zapowiedział jej to od razu pierwszego dnia. - Jeśli tkniecie mnie palcem, mój mąż dopilnuje, żeby was za to ukarano.

- Niech tam, mogę spróbować. - Mężczyzna oblizał wargi, jakby spodziewał się prawdziwej uczyty.

- Nie! - Olivia odwróciła się i pognała przed siebie. Bardzo bała się tego oberwańca. Musiała przed nim uciec! Pędziła z krzykiem, a za plecami słyszała trzask poszycia. Włóczęga zbliżał się do niej i wkrótce ją dogoni. Ta myśl napełniła ją trwogą. Wydała przenikliwy, rozpaczliwy okrzyk i w tej samej chwili zaczęła o wystający korzeń. Przez chwilę miała wrażenie, że leci w powietrzu, zaraz potem ciężko uderzyła o ziemię, przygnieciona ciałem obcego. - Pomocy! - krzyknęła jak oszalała. - Brutus! Och, pomocy, pomocy...

Mężczyzna rozdarł jej suknię, podciągnął spódnicę powyżej ud i zaczął przesuwając brudnymi łapskami po

jej ciele. Poczwała odór potu. Rozpaczliwie wiała się pod jego ciężarem, ale bez skutku.

- Brutus! Pomocy...

Nagle rozległ się dziki charkot. Poczwała gwałtowny wstrząs. To Brutus dopadł włóczęgi. Polała się krew. Przez chwilę Olivia była uwięziona pod obydwooma ciałami. Zaraz jednak mężczyzna przetoczył się z psem na bok, broniąc się przed kłami i pazurami. Korzystając z okazji, zerwała się z ziemi i popędziła na oślep przed siebie. Za plecami słyszała odgłosy zaciętej walki. Śmiertelnie przerażona musiała zasłonić sobie uszy.

Przystanąła dopiero w ogrodzie Briarwood House. Nagle zabrakło jej sił. Zgięła się w pół, chrapliwie dysząc.

- Olivia! - Gdy usłyszała Jacka, podbiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona. - Co się stało? Co ci jest, moja miła? Musisz mi powiedzieć. -

- Rzucił się... rzucił się na mnie... - Jej ciałem wstrząsały dreszcze.

- Brutus? Każę zastrzelić to bydlę!

- Nie Brutus! - krzyknęła Olivia. - Byliśmy w lesie... Włóczęga próbował... - Przełknęła łzy. - Brutus mnie uratował. Skoczył na włóczęgę, a ja wtedy uciekłam. - Podniosła wzrok i błagalnie spojrzała mu w oczy. - Musisz posłać ludzi, żeby odszukali Brutusa. Kiedy uciekałam, słyszałam, jak skamle. Ten włóczęga mógł mieć nóż i go zranić.

- Poślę tam kogoś niezwłocznie, jak tylko będziesz

bezpieczna w domu. - Jack wziął Olivie na ręce. - Każę ich wszystkich za to powiesić!

- Nie! Nie możesz winić wszystkich za to, co zrobił jeden. - Olivia nagle bowiem uświadomiła sobie, do czego o mało nie doszło. Wtuliła twarz w szyję Jacka, bohatercko powstrzymując łkanie.

- Więcej nie ośmielą się tutaj pojawić - syknął Jack przez zęby. Raz już spóźnił się z interwencją w obronie bezradnej kobiety. Tym razem nie zawiedzie! - Winnego należy przykładnie ukarać, a reszcie dać lekcję, której nie zapomną do końca życia.

Olivia próbowała zaprotestować, ale dała spokój. Pierwszy raz w życiu nie była w stanie wyrazić stanowczego sprzeciwu.

Pani Jenkins wyszła im na spotkanie do sieni i natychmiast wydała okrzyk przerażenia, ściągnął on Jenkinsa i resztę służby.

- Lady Stanhope została napadnięta w lesie przez włóczęgę - wyjaśnił Jack, przesyłając Jenkinsowi znaczące spojrzenie. - Brutus może być ranny. Wyślij kogoś do stajni. Wszyscy dorośli mężczyźni mają zaraz być w lesie. Trzeba znaleźć psa, a tego bydlaka...

- Dobrze, milordzie - powiedział Jenkins. Zerknął ostrzegawczo w stronę Olivii. - Ludzie będą wiedzieli, co robić.

Jack skinął głową. Zaniósł Olivie na górę, jedna ze służących pobiegła przodem i otworzyła mu drzwi sypialni, a potem odchyliła kołdrę. Ostrożnie oparł żonę

o poduszki. Widząc błoto i kawałki gałęzi na sukni oraz liczne skaleczenia na ramionach i policzku, zmarszczył czoło.

- Leci ci krew - powiedział, dotykając twarzy Olivii. - Jesteś ranna, kochanie.

Jego zatroskanie załamało Olivię. Wybuchnęła płaczem.

- To nic takiego - mówiła przez łzy. - Jestem trochę podrapana, ale Brutus zdążył na czas i uratował mnie przed... przed tym, co dużo gorsze.

- Dzięki Bogu! - zawołał Jack. - Od tej pory pies może nosić swoje kości, gdzie mu się tylko podoba. Ma cię nie odstępować, Olivio.

- Żeby tylko nic mu się nie stało. - Pociągnęła nosem, chociaż łzy przestały jej płynąć.

- Proszę zostawić milady ze mną, milordzie - wtrąciła pani Jenkins. - Nie zaznamy spokoju, póki nie dowiemy się co z psem, bo dzisiaj to on jest bohaterem, nie ma dwóch zdań.

- Tak. - Jack spojrział na Olivię. - Rzeczywiście najlepiej zrobię, jeśli cię teraz zostawię, kochana. Pani Jenkins się tobą zaopiekuje. Może powinniśmy wezwać doktora.

- Dobrze, milordzie. Zaraz kogoś po niego poślę - powiedziała pani Jenkins, ale błagalny jęk Olivii powstrzymał ją przed pociągnięciem za sznur dzwonka.

- Proszę tego nie robić. To naprawdę nie jest konieczne. Bardzo się przestraszyłam, ale już czuję się

lepiej. Jeśli pół godziny spokojnie tutaj poleżę, to całkiem wydobrzeję.

- Zobaczymy, jak milady będzie się czuła trochę później - zawyrokowała pani Jenkins. - Na razie trzeba milady umyć i dać jej ziółka na uspokojenie.

- Tak, to prawda - zgodziła się Olivia. - Czy może pani polecić, żeby przyniesiono gorącej wody? I jeśli można, proszę, zostawcie mnie samą. I ty, Jack, i pani Jenkins. - Oparła się o poduszki i zamknęła oczy.

- Przyjdę do ciebie, kiedy dowiem się, gdzie jest pies - rzekł zduszonym głosem Jack i szybko wyszedł z pokoju.

- Zioła pomogą milady zasnąć.

Gdy drzwi za panią Jenkins się zamknęły, Olivia westchnęła i wtuliła twarz w poduszkę. Wreszcie mogła spokojnie się wypłakać. Po kilku minutach usiadła na łóżku i otarła oczy rękawem sukni. Uznała, że zachowuje się niemądrze. W ostatecznym rezultacie wykpiła się kilkoma skaleczeniami i siniakami, naprawdę więc nie było nad czym ronić łez.

Wstała i weszła za parawan, aby się rozebrać. Chwilę potem usłyszała służącą, nadchodzącą z kotłem gorącej wody. Upewniwszy się, że została w pokoju sama, nalała wody do porcelanowej wanny. Umyła się od stóp do głów, starannie nacierając ciało wonnym mydłem, żeby zabić zapach tego odrażającego człowieka. Miała już na sobie czystą muślinową suknię, gdy wróciła pani Jenkins z ziółkami.

- Czy milady nie chce się położyć? - spytała zatroskana. - To musiało być wstrząsające przeżycie.

- Owszem, trochę się przestraszyłam - przyznała - ale już mam to za sobą. - Spojrzała z niepokojem na gospodynię. - Czy są jakieś wiadomości o biednym Brutusie?

- Tymczasem nie, milady. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

- Bardzo dziękuję. Myślę, że skorzystam z rady i jednak się położę. - Wzięła z rąk pani Jenkins szklankę gorącego, korzennego płynu i ostrożnie upiła kilka łyków. - Och, jak przyjemnie.

- Proszę wypić wszystko i przynajmniej godzinę odpocząć. Potem na pewno milady poczuje się lepiej - powiedziała gospodyni.

Olivia niepokoiła się o Brutusa, postanowiła jednak wykazać rozsądek. Wprawdzie wcześniej zamierzała zejść na dół, gdy tylko się ubierze, ale w gruncie rzeczy nie miało to sensu. Jack obiecał jej przekazać nowiny natychmiast po powrocie.

Usiadła więc na kanapie i łyk po łyku wypiła napój przyrządzony przez panią Jenkins. Potem wzięła do ręki tomik wierszy. Poczowała jednak, że ciąży jej powieki, położyła się więc i zamknęła oczy. Ogarnęło ją wielkie rozleniwienie. Może nie zaszkodzi chwilę się zdrzemnąć.

Jack przystanął na progu, widząc, że Olivia śpi. Wyglądała tak uroczo, niewinnie... a on omal jej nie stra-

ci! Gdyby Brutus nie przyszedł jej w porę z pomocą, bez wątpienia została by zgwałcona, a może już by nie żyła albo była umierająca.

Nie zniósłby tej straty. Boże, za bardzo ją kochał. Była mu droższa niż własne życie. Bez niej nie miałyby ono sensu.

Gdy podchodził do kanapy, drgnęła, a potem otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

- Jack - powiedziała, wyciągając ku niemu ramiona - śniłam o tobie i nagle do mnie przyszedłeś.

- Olivio... Olivio, uwielbiam cię. Jesteś taka piękna i o tyle lepsza ode mnie...

- Jak to możliwe, milordzie? - spytała. Wstała i spojrzała na niego, zapraszająco rozchylając wargi. - Jestem tylko kobietą, która kocha swojego męża i chce być jego prawdziwą żoną.

- Olivio... - Głos mu się załamał. Jego opór zdawał się błyskawicznie słabnąć. Wyleciały mu z głowy wszystkie obietnice, które dotychczas sobie składał. - Moja piękna żono.

Sam nie wiedział, kiedy znalazła się w jego objęciach. Popatrzył na nią z nieukrywanym pragnieniem i pocałował ją w usta. Pocałunek trwał i trwał, a ich namiętność stawała się coraz bardziej nienasycona. Jęknąwszy z rezygnacją, Jack porwał Olivię na ręce i zaniósł w głąb sypialni, gdzie ostrożnie opuścił ją na łożo.

- Nie wytrzymam dłużej. Za bardzo cię kocham. Wybacz mi, Olivio.



- Nie mów o wybaczeniu. - Czułe pogłaskała go po policzku. - Chcę tego tak samo jak ty, Jack. Wszystko jedno, co jest powodem twojej udręki. Stawimy temu czoło razem. Kocham cię i zawsze będę kochać. Wierz mi, że jesteśmy stworzeni, by być jednym.

Nic już nie mogło go powstrzymać. Znów pochylił się i zamknął jej usta pocałunkiem, rozkoszując się ich smakiem. Olivia działała na niego jak narkotyk, w jej obecności zapominał o wszystkim oprócz tego, że jej pragnie.

Nawet nie wiedzieli, kiedy zrzucili z siebie ubrania, kiedy suknia znalazła się obok spodni, niedbale rzucona na podłogę. Niecierpliwie splecli się w uścisku.

Dla Olivii pocałunki i pieśczoły Jacka były urzeczywistnieniem najskrytszych marzeń. Oddała mu się cała, duszą i ciałem. Bardzo chciała odkryć rozkosze sztuki miłości, jakie tylko Jack zechce jej pokazać. Przecież właśnie do tego tęskniła przez wszystkie noce spędzane samotnie w wielkim łożu.

Wyprężyła ciało, podniecona pocałunkami, które rozgrzewały jej brzuch. Gdy Jack wtulił twarz w jej miękkie włosy u zbiegu ud, przeszył ją dreszcz, a on wkrótce zaczął głaskać ją po udach i próbować smaku jej ciała na kostkach i stopach,

- Aniele - szeptał. - Wiedziałem, że taka będziesz. Myślałem o tobie bez przerwy przez te noce, które spędziłem z dala od ciebie. Uwielbiam cię, Olivio. Zawsze będę cię kochał i chronił.

Przylgnęła do niego. Przesuwała dłonie po umięśnionych ramionach. Kochała tego mężczyznę do szaleństwa. Tęskniła do tego, by uczynił ją swoją. Pieszczoty i pocałunki Jacka doprowadziły ją do takiej gorączki, że gdy w końcu wdarł się do jej wnętrza, krzyknęła bardziej z przyjemności niż z bólu.

Ból został ostatecznie zapomniany, gdy ich ciała zaczęły się do siebie dopasowywać, wychodzić sobie na przeciw i spotykać się na takich wyżynach rozkoszy, że Olivia bała się, czy za moment nie zemdleje. Chwilę potem Jack wydał gardłowy okrzyk i oboje znieruchomili spleceni tak mocno, jakby już nigdy nie mieli się rozdzielić.

Leżeli tak dość długo, aż wreszcie Olivia pogłaskała męża po twarzy, szczęśliwa, że nareszcie są prawdziwym małżeństwem, i szepnęła:

- Teraz jesteśmy jednym, milordzie. Czy powiesz mi, dlaczego tak długo się przed tym wzbraniałeś?

- Później - odparł i zsunął się na bok. Przyglądała się, jak wciąga spodnie i koszulę, a potem zbiera resztę odzienia. - Obiecuję, że ci to powiem, Olivio, dziś wieczorem, po kolacji.

- Jak sobie życzysz - odparła, choć nie była już całkiem pewna, czy tego chce, bo twarz znowu mu spochmurniała. - Nie powiedziałaś mi jeszcze ani słowa o Brutusie... czy bardzo ucierpiał?

- Włóczęgą uderzył go nożem w grzbiet, rana bardzo krwawiła. Sądzę, że się zagoi. Kazałem koniuszemu

zając się Brutusem tak, jakby chodziło o najlepszego ogiera pełnej krwi. Nie trać wiary, Olivio. Zrobimy wszystko, żeby uratować to twoje psisko.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. Nie spytała o los włości. Mądra kobieta pewnych pytań nie stawia. - Kocham cię, Jack. Nie żałuj tego, co się wydarzyło, bo ja na pewno żałować tego nie będę.

- Być może zmienisz zdanie, kiedy wszystkiego się dowiesz. Ale co się stało, to się nie odstanie, nie mamy więc już wyboru.

Patrzyła za nim, gdy opuszczał pokój. Trwożyła ją myśl o tajemnicy Jacka, która musiała być naprawdę straszna, skoro skłaniała go do tak dziwnego zachowania.

Na szczęście nie musiała już długo wykazywać cierpliwości. Gdy wstała, żeby umyć się przed kolacją, wciąż żyła wspomnieniem pieśczot Jacka. Służąca nie przysłała o zwykłej porze; może domyśliła się, że lord i lady Stanhope są razem. Służba zawsze wszystko wiedziała!

Ubrana w koszulę zadzwoniła na Rosie. Nie była w stanie sama zapiąć sukni wieczorowej, ponadto potrzebowała pomocy w układaniu włosów. Pozostało jej zrobić wszystko, żeby się nie zarumienić, i jak ognia uniknąć porozumiewawczego spojrzenia dziewczyny.

- Specjalnie czekałam na dzwonek, milady - powiedziała Rosie. - Mam nadzieję, że postąpiłam słusznie.

- Tak, naturalnie - odrzekła Olivia z godnością. - Był u mnie milord. Mieliśmy sprawę do omówienia.

- Rozumiem, milady.

Olivia dostrzegła głupekowaty uśmiech służącej. Bez wątpienia wkrótce wszyscy pod schodami dowiedzą się, że milord i lady Stanhope kochali się przed kolacją.

- Postanowiłam zostawić rozpuszczone włosy dziś wieczorem - oznajmiła Olivia, gdy Rosie skończyła zapinać jej suknię. - Możesz już odejść, dziękuję.

- Dobrze, milady. - Rosie dygnęła, a tymczasem otworzyły się drzwi łączące sypialnię z garderobą i stanął w nich Jack. - Dziękuję, milady. - Służąca oddaliła się z cichym chichotem, zerknąwszy kątem oka na chlebobdawcę.

- Podejrzewam, że podsłuchiwała pod drzwiami - stwierdził Jack z kwaśnym uśmiechem. - Teraz już nie możesz wystąpić o anulowanie małżeństwa, Olivio.

- Jakie to ma znaczenie, skoro wcale nie zamierzam?

- Przyniosłem ci coś. - Jack podał jej obitą aksamitem szkatułkę. - To miał być prezent na naszą noc poślubną.

Olivia otworzyła szkatułkę i zobaczyła brylantowy naszyjnik. Z radości pocałowała Jacka w policzek. Wzdrygnął się, ale udała, że tego nie zauważa.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem. - Czy zapniesz mi go na szyi?

- Naturalnie.

Ostrożnie spełnił prośbę i przesłał jej dziwny półuśmiech.

- Pięknie wyglądasz w brylantach, milady.

- Ja też tak sędę. - Olivia dotknęła wisiorka w kształcie serca. - Te kamienie są wyjątkowe, Jack. Będę miała okazję je włożyć, kiedy w przyszłym tygodniu odwiedzą nas goście.

- A więc wysłałaś zaproszenia?

- Tak - odrzekła. - Naturalnie nie wszyscy będą mogli przyjechać. Sędę, że możemy liczyć na lady Burton. Zaprosiłam też twojego przyjaciela, wicehrabiego Gransden, oraz lorda i lady Melford. Wprawdzie mieszkają tylko kilka mil stąd, ale za daleko, żeby po kolacji wracać do domu, więc zaproponowałam im pozostanie przez cały koniec tygodnia. Sir Ralph Peterson z córką Sarą, których znam z Londynu, przebywają w swoim wiejskim domu zaledwie dwie mile stąd, ale i im zaofiarowałam nocleg, gdyby chcieli z niego skorzystać.

- Jak już powiedziałem, to ty jesteś tutaj panią domu. Możesz o wszystkim decydować, Olivio.

Jack był wyszukanie uprzejmy, wyczuwała jednak, że znowu odnosi się do niej z dystansem. Wydawało jej się również, że unika jej spojrzenia. Dlaczego? Chyba nie ze wstydu? To niemożliwe! Nie ma nic wstydlivego w spełnieniu małżeństwa, zwłaszcza jeśli małżonkowie się kochają.

- Zejdziemy na dół, najdroższy? - spytała, wspierając się z uśmiechem na jego ramieniu. - Kucharka nie powinna na nas czekać, bo inaczej Bóg raczy wiedzieć, co służba będzie sobie opowiadać.

- Posądziłiby mnie o to, że wolę oddawać się małżeńskim rozkoszom z żoną, niż zejść na kolację. - Jack uśmiechnął się i na chwilę wyraz przygnębienia znikł z jego twarzy. - Mieliby rację, Olivia, ale dobre wychowanie nie pozwala zmuszać służby do czekania.

Olivia roześmiała się. Jack coś przed nią ukrywał, ale nie mógł zaprzeczyć, że ją kocha. Gdy znaleźli się w sieni, dla pokrzepienia ścisnęła go za ramię.

Chyba nie może być aż tak źle, jak mu się zdaje. Cokolwiek go dręczy, poradzą sobie z tym razem.

- Nie będę cię winił, jeśli mnie znienawidzisz - powiedział Jack, gdy zakończył swoje opowiadanie. - Gdyby do naszych zaręczyn doszło w innych okolicznościach, naturalnie poprosiłbym cię o zwolnienie z danego słowa i zrezygnował z małżeństwa. W tej sytuacji mimo wszystko miałem poczucie, że związek, jaki mogę ci zaoferować, też będzie dla ciebie korzystny, a jednak się myliłem. Powinienem być od razu powiedzieć ci prawdę i pozwolić samodzielnie podjąć decyzję.

Olivia zaciskała dłonie z taką siłą, że paznokcie wbiły jej się w skórę. Cały czas zdawało jej się, że to koszmar, z którego w końcu się obudzi. Ojciec Jacka umierający w obłądnie, możliwość dziedziczenia choroby? Nie! To byłoby zbyt straszne. O tym nawet nie można było myśleć.

Wiedziała jednak, że Jack zdobył się na szczerość, a każde jego słowo płynęło prosto z serca. Prawda była

dla niego bardzo bolesna, ale tłumaczyła jego powściągliwe zachowanie w małżeństwie.

- Jeśli poczęliśmy dziecko... - Spojrzała na niego strwożona, bo przecież zdawała sobie sprawę z tego, że nasienie Jacka znalazło się w jej łonie. - Wszystko będzie dobrze, prawda?

- Nie mogę cię okłamywać - odparł Jack schrypniętym głosem. - Obawiałem się właśnie tego, że mogę przynieść tę straszną chorobę. Napisałem do dziadka z prośbą, by mi wszystko wyjaśnił, ale dotychczas nie dostałem odpowiedzi.

- A jeśli... - Zwilżyła wargi czubkiem języka.

- Jeśli earl potwierdzi moje obawy, to nigdy nie będziemy mogli mieć dzieci. - Twarz mu pobladła. - To co zaszło dziś po południu, było nierozważne i niewłaściwe, Olivio.

- Jak możesz tak mówić?! - Skoczyła ku niemu z krzykiem. - To, co mi powiedziałaś, niczego nie zmienia w naszej miłości. Wciąż jestem twoją żoną, Jack. Kocham cię.

- I ja cię kocham, ale musisz zrozumieć, że nawet jeśli możesz znieść moją obecność, znając prawdę, to nie wolno nam nigdy więcej pozwolić na to, aby tak jak dziś poniosły nas uczucia. Musimy być czujni. Nie wolno ci urodzić mojego dziecka, Olivio.

- Nie wolno mi urodzić... - Olivia szybko opanowała szloch, ale Jack z całą wyrazistością zrozumiał, jaki smutek wywołał u niej tymi słowami.

- Wybacz mi. Nie powinienem był się z tobą ożenić. Może jeszcze nie jest za późno... Chociaż unieważnienie małżeństwa naturalnie nie wchodzi w grę. Dam ci powód do rozwodu. Wybuchnie skandal, ale będziesz mogła wyjechać za granicę, Olivio. Mój majątek jest do twojej...

Podeszła do niego i położyła mu palec na wargach. Obawiała się, że jeszcze chwila i pęknie jej serce.

- Nie mów tak. Błagam cię, nie myśl o rozwodzie. Nie chcę cię opuścić i nie zamierzam ponownie wyjść za mąż. Żaden inny mężczyzna nie mógłby zająć twojego miejsca.

- To znaczy, że zniszczyłem ci życie. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu, moja droga, ale jest już za późno.

- Nie odsuwaj się ode mnie - błagała Olivia. - To jest wielki ciężar dla nas obojga, ale musimy być razem, żeby godnie go nieść. Może wkrótce dostaniesz list od earla i okaże się, że twoje obawy są bezpodstawne.

- Dałbym za to cały majątek - powiedział Jack. - Zawiniłem słabością i przez to mój egoizm zniszczył cię, kobietę, którą kocham nad życie.

- Pst, kochanie. Mówisz niemądrze. Wcale mnie nie zniszczyłeś i nie przestałam cię kochać. Owszem, smutno mi, że nie będziemy mogli mieć dzieci, ale jeśli jest to cena, jaką mamy zapłacić za bycie razem, to chętnie na nią przystanę.

- Nie odwrócisz się ode mnie? - spytał Jack. - Obawiałem się, że poczujesz do mnie obrzydzenie, Olivio.

Czy naprawdę możesz powiedzieć, że to, czego się dowiedziałaś, ani trochę nie zmieniło twoich uczuć?

Olivia skłamałaby, twierdząc, że jej uczucia pozostały niezmienione. Miała jednak wrażenie, że stały się silniejsze i chyba bardziej dojrzałe.

- Jack, ja.. - Nie bardzo umiała wyrazić to, co odczuwała. Jej wahanie trwało tylko chwilę, ale dla Jacka było za długie. Wzdrygnął się, jakby wymierzyła mu policzek, a potem obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi. - Jack! Jack, wróć! Nic się nie zmieniło. Kocham cię tak jak przedtem, kocham cię jeszcze bardziej.

Na progu przystanął.

- Jesteś dzielna, Olivio - powiedział. - Wiem to dobrze, ale widzę wątpliwości w twoich oczach. Błagam cię o wybaczenie, że uległem słabości dziś po południu. Zadośćuczynię ci, jeśli tylko będę umiał znaleźć właściwy sposób.

- Proszę, nie odchodź! - błagała. - Nie idź, Jack.

Drzwi za nim się zamknęły. Wściekła na siebie, miała łzy w oczach. Dlaczego się zawahała? Przecież kocha go i potrzebuje, i ani przez chwilę nie uwierzyła w to, że mogła go dotknąć choroba ojca.

A jednak wewnętrzny głos ostrzegał ją przed tym, co mogłoby się stać w najbliższych latach. Jack wyczytał to z jej spojrzenia, chociaż sama nawet nie zdawała sobie sprawy z takich myśli.

Jak głęboko musiało go to urazić! Olivia gorzko żałowała, że nie potrafiła w decydującej chwili wesprzeć

Jacka. Kochała go bezgranicznie. Nie miała pojęcia, co zrobiłaby, gdyby ją opuścił. A jednak pozwoliła sobie na chwilę lęku o niepewną przyszłość.

- Nie odchodź - szepnęła w pustkę. - Nie zostawiaj mnie, mój kochany. Wolałabym umrzeć, niż żyć bez ciebie, Jack.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Goście zaczęli nadjeżdżać. Pani domu powitała już lorda i lady Melfordów, a służba właśnie pokazywała im przeznaczony dla nich pokój. Tymczasem Olivia siedziała przy sekretarzyku w salonie i przebiegała wzrokiem list, który przyszedł od Beatrice. Znalazła w nim ciekawe nowiny z Abbot Giles dotyczące hrabiego Yardleya i opactwa Steepwood... przeszkodziły jej jednak następne głosy w sieni. Zjawili się nowi goście. Odłożyła więc list i promiennie się uśmiechnęła na powitanie wicehrabiego Gransden, a następnie lady Burton, którzy weszli do salonu.

- Witam, lady Stanhope... - Leander Gransden ujął podaną mu rękę i z galanterią uniósł ją do ust. - Cieszę się, że znowu mogę panią zobaczyć.

- A ja cieszę się, że zawitał pan do Briarwood. - Zerknęła w stronę lady Burton, która wciąż stała dość niepewnie tuż za progiem. - Nie wiem, czy zna pan moją ciotkę. Lady Burton... lord Gransden.

- Chyba już się spotkaliśmy - powiedział wicehrabia i skłonił się nad ręką damy, ale nie złożył na niej

pocałunku. - W każdym razie miło mi, że możemy odnowić znajomość.

Maniery miał nieskazitelne, uśmiech czarujący, a jednak Olivia nagle poczuła, że popełniła błąd. Zaprosiła wicehrabiego, ponieważ uważała go za jednego z najlepszych przyjaciół Jacka, ale sposób, w jaki Gransden pocałował ją w rękę, kazał jej się mieć nieustannie na baczności. Na weselu wydał jej się bardzo miłym człowiekiem, teraz jednak nasunęło jej się podejrzenie, że może być zwykłym birbantem. Spotykała już ludzi tego pokroju i nauczyła się wobec nich ostrożności.

- Jenkins zaprowadzi pana na górę, lordzie Gransden - powiedziała. - Bardzo przepraszam za Jacka. Miał... o, właśnie jest. - Uśmiechnęła się do męża. - Już prawie straciłam nadzieję, milordzie.

- Bardzo przepraszam, sprawy zatrzymały mnie dłużej, niż się spodziewałem. Liczę, że mi wybaczysz, Gransden. - Jack uśmiechnął się do lady Burton. - Mam nadzieję, że będziemy mogli potem porozmawiać. Tymczasem z pewnością chce pani odbyć rozmowę z Olivią.

- Jest pan bardzo uprzejmy.

Jack zwrócił się do wicehrabiego.

- Chodźmy do biblioteki, napijemy się madery, Gransden.

- Chętnie.

Mężczyźni wyszli z pokoju, a Olivia pochwyciła spojrzenie lady Burton. Zawahała się, ale widząc skrepowanie damy, podeszła i cmoknęła ją w policzek.

- Witaj, ciociu, jesteś tu mile widzianym gościem. Bładoniebieskie oczy zaszczyły łzami.

- Kiedyś nazywałaś mnie mamą, Olivio.

Lady Burton była drobnej postury. Wydawała się bardziej krucha, niż Olivia ją zapamiętała. Jej wychudła i pobladła twarz nieustannie wyrażała niepokój.

- Ale w rzeczywistości jesteś moją ciotką - przypomniała jej ciepło Olivia. - Nie chcę ci sprawić przykrości takim tytułowaniem. Wiem, że nieporozumienia między nami zaszczyły nie z twojej winy.

- Szczerze żałuję, że tak się stało - wyznała lady Burton, dotykając kącików oczu koronkową chusteczką. - Nigdy nie przestałam cię kochać, Olivio, wbrew temu co musiałaś sobie pomyśleć. Czy będziesz mi mogła kiedyś wybaczyć, że pozwoliłam Burtonowi tak cię potraktować?

- Nie jesteś temu winna - powiedziała Olivia. - Zawsze myślę o tobie ciepło, ciociu, i nie mam do ciebie pretensji. Przeciwnie, cieszyłabym się, gdybyśmy mogły pozostać w przyjaźni.

Lady Burton głośno wydmuchała nos. Olivia bardzo się zmieniła. Zrywała zaręczyny z Ravensdenem jako niewinna panienka, jeszcze prawie dziecko, teraz stała się dojrzałą kobietą. Miała charakter i wiedziała, czego chce. Do przeszłości nie było powrotu, ale chyba mogły ułożyć tę znajomość na nowo.

- I ja chciałabym żyć z tobą w przyjaźni, Olivio - przyznała i uśmiechnęła się dość niepewnie.

- Co powie na to lord Burton?

- To mnie nie obchodzi - odparła ciotka wyzywająco. - Powiedziałam mu, że zamierzam złożyć ci wizytę, a on na to, że jeśli o niego chodzi, mogę iść do diabła. Nasze małżeństwo jest skończone, Olivio. Burton podąża swoją drogą, a ja swoją. Powinnam była znaleźć dość odwagi, by opuścić jego dom już dawno.

- W każdym razie zrobiłaś to teraz i cieszę się z tego razem z tobą. - Olivia ujęła ją za rękę. - Chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju. Możemy chwilę porozmawiać na osobności, a potem dołączymy do reszty gości i wypijemy razem herbatę.

Olivia zerknęła na swoje lustrzane odbicie. Ubrała się w prostą wieczorową suknię z jedwabiu w kolorze żonkili. Bufiaste rękawy były ściągnięte białymi wstążkami. Na smukłej szyi zapięła sznur pereł, który Jack dał jej w prezencie z okazji zaręczyn.

Na myśl o mężu mimo woli westchnęła. Wbrew jej obawom Jack nie wyjechał po ich szczerą rozmowę, ale następnego ranka znów zachowywał się wobec niej jak obcy człowiek. Był troskliwy, uprzejmy i gotów spełnić każde jej życzenie z wyjątkiem tego jednego, na którym naprawdę jej zależało.

Przez cały miniony tydzień ani razu jej nie pocałował. Gdy próbowała okazać mu uczucie, uciekał przed jej dotykiem, jakby miał się sparzyć.

Próbowała go przeprosić za swoją chwilę wahania, ale on tylko chłodno się uśmiechał i kręcił głową.

- To ja powinienem cię błagać o wybaczenie - odpowiadał. - Nie mam do ciebie pretensji o te wątpliwości, Olivio. Wiele kobiet na twoim miejscu reagowałoby dreszczem obrzydzenia na mój dotyk,

- Nie jesteś szalony, Jack! - krzyknęła. - Nigdy tak nie pomyślałam, nawet przez jedną chwilę. Cokolwiek spowodowało chorobę twojego ojca, ty jesteś od niej wolny.

. . - Możliwe... - Jego oczy wciąż miały ten sam, chłodny i beznamiętny wyraz. - Ale na jak długo? Skąd możemy mieć pewność, że ta klątwa któregoś dnia na mnie nie spadnie?

- Skąd można wiedzieć cokolwiek pewnego o przyszłości? - odparła. - Nie zadrezczaj się tak, kochany. Bierzmy dla siebie tyle szczęścia, ile tylko możemy. Wiem, że możemy nigdy nie mieć dziecka, ale jestem gotowa się z tym pogodzić.

Jack oddalił się, zanim skończyła mówić. Nie rozpłakała się jednak, rozumiała bowiem, że mąż znalazł się w jeszcze trudniejszej sytuacji. Przekonanie, że skrzywdził ją i zhańbił, przywiodło go do rozpacz. Ale przecież był w błędzie, tak bardzo się mylił! Z jego pieścot czerpała najczystsza przyjemność. Tylko uporczywe odmowy przyjęcia jej miłości taką, jaka jest, sprawiały jej ból.

Jeszcze raz westchnęła, ale odsunęła od siebie przynębiające myśli. Miała gości i nie mogła pokazać po

sobie, jak bardzo jest nieszczęśliwa. Jack odgrywał rolę troskliwego gospodarza, a na niej spoczywał podobny obowiązek.

Wzięła więc wachlarz i zeszła na dół. Jako pani domu musiała być tam pierwsza i w salonie czekać na gości z powitaniem.

Było dopiero kilka minut po szóstej, a kolację podawano za kwadrans siódma, zdziwiła ją więc obecność Gransdena. Stał przy oknie i przyglądał się ogrodowi, ale słysząc kroki, natychmiast się odwrócił.

- O, lady Stanhope. - Od razu wyczuła, że zszedł wcześniej do salonu specjalnie po to, by pobyć z nią sam na sam. Zmierzył ją wzrokiem z nieukrywanym uznaniem. - Jak uroczo pani wygląda dziś wieczorem. Stanhope to prawdziwy szczęśliwiec.

- Pan jest bardzo uprzejmy.

- Proszę nie patrzeć na mnie w taki sposób, jakby nie wierzyła pani w ani jedno moje słowo. - Wicehrabia zachowywał się swobodnie i próbował flirtować, ale wyraz jego oczu bardzo Oliwię zaniepokoił. Natychmiast go poznała. Gransden patrzył na nią tak, jak myśliwy na przyszłą ofiarę. - Na pewno pani zdaje sobie sprawę ze swojej urody.

- Uroda nie jest najważniejsza - odparła Olivia. - Czy nie sądzi pan, że charakter stanowi trwalszą wartość, milordzie?

- Charakter również pani ma - odrzekł gładko. - Nawet nie próbowałbym twierdzić inaczej. Chyba pani wie,

jak bardzo ją podziwiam? Niewiele kobiet miałoby odwagę, no i chciałyby zerwać zaręczyny z Ravensdenem. Większość byłaby uszczęśliwiona jego majątkiem i pozycją. Tylko kobiety o niezwykłych przymiotach są gotowe zaryzykować wszystko dla miłości.

Olivia spłonęła rumieńcem. Patrzył na nią tak natarczywie, że poczuła się zakłopotana.

- Niektórzy powiedzieliby, że raczej nierozsądna niż odważna.

- To możliwe. - Skinął głową, jakby się z tym zgadzał. - Ale pani im pokazała, kto ma rację. Została pani żoną Stanhope'a i jest szczęśliwa, prawda?

- O, tak - potwierdziła i pochwyciła jego spojrzenie. - Bardzo się kochamy.

- Naturalnie. Wszyscy młodzi małżonkowie powinni się kochać - powiedział i zerknął na swoje paznokcie. - Niestety, pierwsza miłość rzadko trwa dłużej niż przez miodowy miesiąc.

Olivia odwróciła się, do pokoju wszedł bowiem Jack. Uśmiechnęła się promiennie i podeszła czule go pocałować. Nieco zeszywniał, ale nie byli sami, więc się nie odsunął.

- Lord Gransden właśnie prawił mi komplementy - powiadomiła go lekkim tonem. - Wytłumaczyłam, że tak ładnie wyglądam, bo się kochamy, ale jego zdaniem romantyczna miłość rzadko trwa dłużej niż przez miodowy miesiąc. Czy możesz mu powiedzieć, Jack, że w naszym przypadku się myli?

- Bardzo się myli - powiedział bez wahania. - Co do mnie, sędzę, że będę panią kochał do mojego ostatniego dnia, Olivio.

- Pięknie powiedziane, Jack - roześmiał się Gransden. - Widzę, że owinęła cię dookoła małego palca.

Jack zmarszczył czoło, ale zanim zdążył odpowiedzieć, do salonu weszli inni goście. Polecił więc Jenkinsowi podać sherry i wino, a przez resztę wieczoru nie spuszczał wzroku z żony. Zwrócił uwagę, że Gransden wykorzystuje każdą okazję, by dotknąć ramienia Olivii lub zamienić z nią kilka słów, i to bardzo popsło mu humor.

Do diabła z zuchwalstwem Gransdena! Jak on śmie tak spoglądać na Olivie?

Wzbierał w nim gniew, ale w skrytości ducha musiał przyznać, że rola kochanki Gransdena jest dla Olivii na pewno lepsza niż rola jego żony. Wicehrabia mógł jej dać wiele z tego, co dla niego było zakazane. Jack podjął bowiem niezłomną decyzję, że tamto popołudnie, gdy uczynił Olivie swoją, już się nie powtórzy. Dla Olivii byłoby najlepiej, gdyby odeszła, może nawet wyjechała za granicę. Pewnie początkowo płakałaby po nim, ale z czasem znalazłaby pocieszenie w ramionach Gransdena lub kogoś podobnego.

Sama myśl o innym mężczyźnie dotykającym jego żony była jednak dla Jacka jak zatrąty kolec wbijający się w bok, a gdy po pójściu pań na górę Gransden zaproponował jeszcze grę w karty, Jack z najwyższym

trudem zmusił się, by zachować wobec niego uprzejmość.

- Przepraszam cię - powiedział - ale mam pilne sprawy, którymi muszę się zająć. Może jutro... - Z tymi słowami odszedł, zostawiając wicehrabiego w stanie najwyższego zdumienia.

Wygląda na to, że jednak nie wszystko układa się tak różowo, pomyślał Gransden, uśmiechając się pod nosem. To ciekawe! Wietrzył jakąś tajemnicę. Sprawdzenie, jak daleko można się posunąć w zalotach do pięknej oblubienicy, wydawało mu się zabawnym pomysłem. Jeśli sądzić z kształtu ust, lady Stanhope musiała być bardzo namiętna. Chętnie spędziłby z nią trochę czasu w łóżku...

Następne dwa dni minęły bardzo przyjemnie. Olivia nie miała czasu myśleć o swoich kłopotach, przez cały czas bowiem musiała dbać o wygodę i zadowolenie gości. Zazwyczaj damy i dżentelmeni nie opuszczali swoich pokojów przed nastaniem południa, tylko lord Melford i wicehrabia Gransden wstawali wcześniej. Ponieważ obaj byli znakomitymi jeźdźcami, dzień zaczynali od przejażdżki, a potem spotykali się z paniami na późnym śniadaniu.

Również Olivia wstawała wcześniej niż zwykle, toteż w poniedziałek rano, gdy wracała z ogrodu z koszem kwiatów na ramieniu, spotkała lorda Gransdena.

- Oto prawdziwy obraz domowego szczęścia - po-

wiedział wicehrabia. - Gdybym był pewien, że uda mi się znaleźć tak piękną żonę jak pani, lady Stanhope, to może nawet pomyślałbym o małżeństwie.

Spojrzała na niego z wyrzutem. Wicehrabia mimo lekkości tonu zwracał uwagę ogłada i miał całkiem przyjemną twarz. A jednak domyślała się, że jest to tylko maska kryjąca bezwzględność.

- Jestem przekonana, że niejedna ładna, młoda dama z wielką ochotą przyjęłaby pańskie oświadczyzny.

- Och, wiem, że są ich tysiące - odrzekł Gransden, zastępując jej drogę. - Ale pani jest wyjątkową kobietą, lady Stanhope.

- Pochlebia mi pan. - Olivia wysunęła podbródek do przodu. Nie pierwszy raz w ostatnich dniach wicehrabia zasypywał ją komplementami, a poza tym znów nie podobało jej się jego spojrzenie. - Powinien pan zachować takie lukrowane słowa dla dam, które chcą ich słuchać. Ja nie mam takiej potrzeby.

- Jest pani nieuprzejma - odparł Gransden. Wciąż się uśmiechał, ale zmrużył powieki, a wilczy wyraz jego twarzy przyprowadził Olivię o dreszcz. Położył jej rękę na ramieniu. - Stanhope to ponurak. Nie chce pani chyba spędzić większej części życia na wsi. Gdyby przyjechała pani do Londynu, moglibyśmy czasem spotkać się na osobności.

- W jakim celu, szanowny panie? - Olivia spojrzała na niego ze złością. - Myślę, że mamy sobie niewiele do powiedzenia.

- Są przyjemniejsze sposoby spędzenia szarego popołudnia niż rozmowa - odrzekł i pogłaskał ją po obnażonym ramieniu. - Byłbym niezmiernie szczęśliwy, gdybym mógł pani pokazać coś bardziej zajmującego.

- Sądzę, że odrzucę pańską propozycję - odparła. - A teraz bardzo przepraszam, ale muszę włożyć te kwiaty do wody, zanim zwiędną.

Szarpinięciem uwolniła rękę i szybko ruszyła przed siebie. Jak wicehrabia w ogóle śmie czynić jej takie sugestie? Wszak była zaledwie cztery tygodnie po ślubie. Co mogło podsunąć mu myśl, że jego wątpliwej jakości względy zrobią na niej wrażenie? Chyba że Jack napomknął mu o tym, jak naprawdę układają się ich sprawy.

No, nie! Tego chyba nie mógł zrobić! Dla Olivii przykra była nawet myśl o tym, że mąż mógłby rozważać zwierzenie się przyjacielowi z tak intymnego sekretu. Sama nie wspomniała na ten temat ani słowem w listach do Beatrice, nie rozmawiała też o swoim nieszczęściu z lady Burton. W ogóle nie wyobrażała sobie czegoś takiego.

Rozżłoszczona nawet nie zauważyła, że jest obserwowana z okna. To niemożliwe! Jack nie rozmawiałby o ich sprawach z nikim obcym, nawet bardzo wyprawiony z równowagi.

Wciąż jeszcze była zła, gdy w ulubionym saloniku przystąpiła do układania kwiatów w wazonach, które poleciła tam przynieść gospodyni. Wiedziała, że mężczyźni niekiedy rozmawiają o swoich znajomo-

ściach z kobietami, a na pewno chełpią się przed sobą kochankami. Schowana za zasłonami w pokoju lorda Burtona nasłuchiwała się kiedyś bardzo zaskakujących szczegółów. Miała wtedy najwyżej trzynaście lat i była zbyt niewinna, by wiele z nich zrozumieć, ale teraz już wiedziała, co mężczyźni mieli wtedy na myśli i dlaczego wydawało im się to wysoce zabawne.

- O, jesteś Olivia. - Jack wszedł do pokoju, gdy kończyła układać kwiaty. - Melfordowie i Petersonowie wyjeżdżają zaraz po śniadaniu. Gransdena poprosiłem, żeby został do końca tygodnia. Po wyjeździe innych gości na pewno zechcesz spędzić jeszcze trochę czasu z lady Burton, a Gransden słyszał o dobrych koniach pociagowych na sprzedaż. Wybieramy się je obejrzeć dzisiaj po południu.

- Jak uważasz. - Olivia zmarszczyła czoło. Bardzo przygnębiła ją myśl o kolejnych pięciu dniach znoszenia zalotów wicehrabiego. - To twój dom i twój przyjaciel. - Zdradziecki pomysł Jacka sprawił, że wpadła w wyjątkowo oschły ton.

- Ale ty go zaprosiłaś, Olivia. - Jack spojrzał na nią chłodno.

Odwzajemniła to spojrzenie.

- Bo to twój najlepszy przyjaciel. W każdym razie tak mi się zdawało. - Prawdziwy przyjaciel Jacka nigdy nie próbowałby jej uwieść.

- Zdaje się, że całkiem go polubiłaś.

Mina Jacka była absolutnie nieprzenikniona i Olivia

poczuła, że złość zaczynają rozsadzać. Jak on śmie insynuować, że wicehrabia jej się podoba? Przecież w kontaktach z Gransdenem ani razu nie przekroczyła zwyczajowo przyjętych granic zainteresowania pani domu wygodą gościa.

I nagle wylały się z niej wszystkie żale, które zbierały się w jej wnętrzu od kilku tygodni.

- Lord Gransden jest przystojny i pełen uroku, więc miło się z nim przestaje. Sądzę, że większość kobiet dobrze czuje się w jego towarzystwie. -I ona należałaby do nich, gdyby wicehrabia nie patrzył na nią jak na zdobycz.

Wziąwszy wazon ze starannie ułożonymi różami, wyminęła Jacka i wyszła do sieni. Do oczu cisnęły jej się piekące łzy. Jak on może tak źle o niej myśleć? Czym sobie na to zasłużyła?

Postawiła wazon na zgrabnym -stoliku i szybko uciekła na górę do swojego pokoju. Słyszała wołanie Jacka, ale nawet się nie odwróciła. Nie miał prawa tak z nią rozmawiać. Najmniejszego!

Po wyjeździe gości Olivia spędziła miłe, spokojne popołudnie z ciotką. Rozmawiały przede wszystkim o przeszłości, o okresie, gdy Olivia była rozpieszczoną i kochaną córeczką lady Burton. Raz po raz wybuchały śmiechem na wspomnienie zabawnych zdarzeń.

- Pamiętasz tę woskową lalkę, którą mi kupiłaś? - spytała Olivia. - Uwielbiałam biedną Betsy, ale które-

goś dnia wrzuciłam ją do stawu rybnego i ogrodnicy musieli spuścić wodę, żeby ją wydobyć.

- A lalka i tak się zniszczyła, więc potem płakałaś godzinami - dodała lady Burton, ciepło się do niej uśmiechając. - Kupiłam ci drugą, ale to już nie było to samo.

- Nie... - Olivia westchnęła. - Kiedy coś się zepsuje, już nigdy potem nie jest takie samo, prawda?

- Myślę, że nie - przyznała starsza pani. - Ale w pewnych sytuacjach chyba może to wyjść na dobre. Byłaś bardzo rozpieszczonym dzieckiem, Olivia, a ja głupią kobietą, nieszczęśliwą w małżeństwie i przelewającą całe swoje uczucie na dziecko, które nawet nie było moje...

- Ale przecież byłaś moją mamą - powiedziała Olivia. - Zachowałam same dobre wspomnienia z tamtego czasu.

- Tylko że potem Burton cię wydziedziczył, a ja pozwoliłam mu wyrzucić cię z domu.

- To już zapomniane dzieje.

- Wobec tego może uda nam się znowu znaleźć dla siebie cieplejsze uczucia. Chciałabym wierzyć, że kiedy stąd za kilka dni wyjadę, zechcesz mnie w przyszłości odwiedzić... może nawet zwrócić się do mnie w razie, gdybyś potrzebowała czyjejs przyjaźni.

- To naturalne, że będziemy się wzajemnie odwiedzać - zapewniła ją Olivia. - Będziemy również często do siebie pisać i na zawsze pozostaniemy w przyjaźni.

- Bardzo się cieszę, że tak mówisz - stwierdziła

ciotka i po chwili wahania dodała: - Wybacz mi, jeśli wtrącam się do nie swoich spraw. Nie domagam się twoich zwierzeń, Olivia. Ale czy jesteś całkiem szczęśliwa?

- O, tak - skłamała, ale widząc że jest pod baczną obserwacją łagodnych oczu starszej pani, wyjaśniła: Tylko za wicehrabią naprawdę nie przepadam. Wiem, że jest uroczy i dowcipny, ale kiedy na mnie patrzy... czuję się skrępowana.

- Zauważyłam to - przyznała lady Burton. - Podejrzewam zresztą, że wielu mężczyzn będzie patrzeć na ciebie w taki sposób, moja droga. Jesteś piękna i masz w sobie coś takiego... trudno to nazwać, ale mężczyźni zawsze będą do tego ciągnąć jak ćmy do ognia.

- Naturalnie widziałam wcześniej takie spojrzenia również u innych mężczyzn - potwierdziła Olivia. - Ale jemu się chyba wydaje, że mogłabym... To zupełnie niedorzeczne!

- Zauważyłam przypadkiem, jak zatrzymał cię w ogrodzie dziś rano. Musisz być wobec niego stanowcza, właśnie tak jak wtedy. Zachowuj się uprzejmie, ale daj mu wyraźnie do zrozumienia, że jego zaloty cię nie interesują. Twój mąż jest zaborczym człowiekiem. Widziałam to w jego oczach, gdy na ciebie patrzy. Poza tym cię uwielbia.

- Tak, naturalnie. - Olivia dawno już pożałowała ostrych słów, które padły tego rana. Czekwała tylko na okazję, żeby przeprosić Jacka. - Wiem, że bardzo mnie kocha, chociaż nie zawsze to okazuje.

- Niektórzy mężczyźni kryją się ze swoimi uczuciami. Nie niepokój się, jeśli twój mąż nie chodzi za tobą jak piesek na smyczy. On wydaje mi się prawym i dobrym człowiekiem. Cieszę się, że masz takiego męża, Olivio.

- Dziękuję - powiedziała i cmoknęła lady Burton w policzek. - Bardzo się cieszę, że przyjechałaś nas odwiedzić, ciociu.

Lady Burton uścisnęła jej dłoń.

- Kochałam cię nawet wtedy, gdy byłaś rozpieszczoną pannicą. Ale kocham cię jeszcze bardziej teraz, kiedy jesteś współczującą i wielkoduszną kobietą.

- A jak kocham cię jak przyjaciela i moją najdroższą ciocię - odrzekła Olivia. - Przypuszczam, że Jack i Gransden nie wrócą do nas szybko. Możemy chyba, nie oglądając się na nich, spokojnie wypić herbatę.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy dżentelmen wróci z eskapady - odrzekła lady Burton z kwaśnym uśmiechem. - Kto wie, jak daleko się zapuścili w poszukiwaniu koni? Mogli przecież pojechać do jeszcze innego miejsca albo zatrzymać się na posiłek w zajeździe.

Olivia zadzwoniła na służącą. Lady Burton uświadomiła jej, że postąpiła nierozważnie, złościąc się na Jacka z błahego powodu. Przecież wiedziała, w jak trudnej sytuacji jest mąż. Postanowiła jeszcze tego wieczoru znaleźć chwilę na rozmowę w cztery oczy i spróbować załagodzić nieporozumienie.

Dżentelmeni nie wrócili do siódmej, więc Olivia poleciła, by kolację dla niej i lady Burton podano w pokoju śniadaniowym.

- Tam jest bardziej kameralnie, będzie nam wygodniej - wyjaśniła ciotce. - Lepiej można porozmawiać.

Po kolacji przeszły do ulubionego salonu Olivii i dalej toczyły rozmowę. Lady Burton pracowała nad haftem, który Olivia z zainteresowaniem obejrzała.

- Koszulka do chrztu - powiedziała. - Wyszywam ją dla ciebie w prezencie, moja droga.

- Prześliczna. - Olivia ostrożnie dotknęła koronkowych ozdób. Poczowała bolesne ukłucie w sercu, przypomniała sobie bowiem, że koszulka pozostanie bezużyteczna. Udało jej się jednak zamaskować smutek wymuszonym uśmiechem. - Zawsze miałaś talent do takich rzeczy, ciociu. Jakie śliczne ubranka szyłaś dla mojej biednej Betsy.

O dziesiątej wieczorem lady Burton udała się na spacer.

- Wybacz mi, Olivio - powiedziała - ale ostatnio wcześniej chadzam spać. Na twoim miejscu również zrobiłabym dziś to samo. Kiedy dwaj dżentelmeni wychodzą razem, nie sposób przewidzieć, gdzie ich zanieśie i kiedy wrócą.

- Myślę, że masz rację. Wkrótce i ja się położę. - Olivia odprowadziła ciotkę do pokoju, a potem poszła do swojej sypialni.

Czekanie wydawało się bezsensowne, ale nawet po

przebraniu się z pomocą Rosie w nocną koszulę Olivia ociągała się z pójściem spać. Nie spodziewała się, że Jack zabawi poza domem tak długo, jeszcze nigdy mu się to nie zdarzyło. Żałowała, że od razu nie zapowiedział późnego powrotu, bo całkiem wbrew jej woli wewnętrzny głos podpowiadał, że jednak mogło stać się coś złego.

Nie, nie wolno popuszczać wodzy wyobraźni. Jackowi nic się nie stało. Wróci do niej, kiedy będzie mógł.

Już miała położyć się do łóżka, gdy jej uwagę przykuł cichy odgłos na zewnątrz, tak jakby ktoś zastukał w jedną z kamiennych waz na tarasie. Podeszła do uchylonego okna i wyjrzała na dwór. W poświacie księżycy ujrziała dwóch mężczyzn, a z ich zachowania należało wnioskować, że przynajmniej jeden jest mocno pijany.

- Och, Jack - jęknęła Olivia, kręcąc głową, i odwróciła się, by włożyć peniuar.

Była u szczytu schodów, gdy mężczyźni wkroczyli do sieni. Odniosła wrażenie, że to Jack wypił więcej i teraz jest podtrzymywany przez przyjaciela.

Zeszła do nich, a wicehrabia spojrział na nią z podejrzanym uśmiechem.

- Lady Stanhope, mam nadzieję, że mi pani wybaczy. Ostrzegałem pani męża, żeby nie doprowadzał się do tego stanu, ale nie chciał mnie słuchać.

- Nie jestem pijany, Olivio - wymamrotał Jack. - Tylko trochę podchmielony. Idź do łóżka.

- Z nas dwojga to raczej ty powinieneś się położyć

- odparła, widząc, że się zatoczył. - Czy pomoże mu pan wejść na schody, lordzie Gransden? A może lepiej zawołam Jenkinsa?

- Do biblioteki - powiedział dość niewyraźnie Jack.

- Odeślę w bibliotece, Gransden. Nie będę przeszkadzał Olivii.

- To chyba rozsądny pomysł - stwierdził skruszonym tonem Gransden. - Nigdy nie widziałem go w takim stanie. Zawsze miał mocną głowę.

Wprowadził zataczającego się Jacka do biblioteki, a Olivia weszła tam za nimi. Jack zwałił się na kanapę i zamknął oczy. Czyżby upił się z żalu? Wiedziała, że po jej udaniu się na spoczynek wieczorami popijał w bibliotece, ale chyba nie doprowadzał się aż do takiego stanu? Dlaczego więc wypił tyle wina akurat tego wieczoru?

- Czy będzie mu tu wygodnie? - spytała. Ciężki oddech Jacka świadczył o tym, że zmorzył go sen. - Może lokaj przyniesie koc i go okryje?

- To niepotrzebne - odrzekł Gransden. Ich spojrzenia się spotkały i wtedy dostrzegła błysk w jego oczach. Przypomniała sobie, jak skąpo jest ubrana. - Na Boga, ależ pani jest piękna! Stanhope jest głupcem, jeśli nie szuka wieczór w wieczór rozkoszy w łóżku żony.

- Jak pan śmie! - krzyknęła oburzona. - Nie wolno panu mówić do mnie w ten sposób. Nie pozwolę na to! Zachowanie mojego męża nie powinno pana obchodzić. Nie wiem, co panu powiedział, ale to nie ma znaczenia. Kocham go i nikogo innego!

- Co za namiętność - powiedział z uznaniem Gransden. - A Stanhope nic mi nie powiedział. Nigdy nie widziałem równie milkliwego człowieka. Nie gada nawet wtedy, kiedy sobie wypije. Wspomniał tylko, że panią zawiódł. - Podszedł do niej bardzo ożywiony. - Ale jeśli nie potrafi wywiązać się z powinności męża, to proszę pozwolić, Olivio, że pokażę pani...

- Niech pan nie podchodzi - ostrzegła. Zdecydowanym ruchem pociągnęła za sznur dzwonka. - I proszę uważać. Jeśli spróbuje pan mnie tknąć, każę służbie pana wyrzucić.

Gransden popatrzył na nią osłupiały, a potem nagle ku jej zdumieniu wybuchnął śmiechem.

- Och, nie, droga pani. Proszę nie sięgać po tak drastyczne środki w obronie swojego honoru. Z zachowania Stanhope'a wywnioskowałem, że sprawy między wami nie układają się najlepiej. Uwiódłbym panią, gdyby pani tego chciała, ale nie musi się mnie pani obawiać. Jeszcze nigdy nie wziąłem kobiety siłą, to nie leży w moich obyczajach.

- Miło mi to słyszeć, sir - odparła Olivia zadowolona, że Gransden wreszcie potraktował poważnie odprawę, jaką od niej dostał. - Bardzo proszę, aby uszanował pan prywatność naszych małżeńskich spraw. Niech wystarczy panu zapewnienie, że szczerze kocham Jacka. Nigdy nie obejrzę się za innym mężczyzną.

Odwróciła się, bo do pokoju wszedł wezwany lokaj.

- A, jesteś, Thomas. Jego lordowska mość trochę za

dużo świętował. Czy możesz się nim zająć? Nie chciałbym, żeby coś mu się stało.

- Milady może na mnie polegać - powiedział Thomas, który podobnie jak reszta domowników był oddany Olivii duszą i ciałem. - Przyniosę koc do okrycia jego lordowskiej mości i na wszelki wypadek zostanę w bibliotece.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do lokaja. - Dobranoc, lordzie Gransden. Proszę już się nie kłopotać czuwaniem. Mój mąż jest w dobrych rękach.

- Dobranoc, lady Stanhope. Jack jest w czepku urodzony, że znalazł taką wyrozumiałą żonę. Jutro mu to powiem.

Olivia skinęła głową i wyszła z biblioteki. Wracała na górę zamyślona. Bardzo ją zaniepokoił widok pijanego męża. Jeśli sytuacja, w jakiej się znaleźli, tak unieszczęśliwiała Jacka, to może jednak powinna pozwolić mu odejść. Może lepiej byłoby, gdyby zamieszkali oddzielnie. Na rozwód naturalnie nie zamierzała przystać, ale mogła przecież spędzać więcej czasu z lady Burton i swoją siostrą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Olivia zobaczyła męża ponownie dopiero późnym przedpołudniem następnego dnia. Znowu układała róże w srebrnym wazonie, gdy wszedł do salonu.

Przez chwilę przyglądał się w milczeniu, jak przycina łądygi kwiatów, potem odchrząknął i powiedział:

- Muszę przeprosić za ostatni wieczór, Olivio.
- Nic się nie stało. Wprawdzie martwiłam się, czy nie spotkał cię wypadek, ale najważniejsze, że jesteś cała i zdrowy. O ile wiem, dżentelmeni niekiedy nadużywają wina.

- Nigdy dotąd nie przebrałem miary i wczoraj wieczorem też nie miałem takiego zamiaru. Obawiam się, że w pewnej chwili przestałem zwracać uwagę na dolewanie wina do kieliszka, chociaż to mnie naturalnie nie usprawiedliwia.

- Zapomnijmy po prostu o tym zdarzeniu. - Olivia bała się na niego spojrzeć, żeby nie zdradzić się ze smutkiem, jaki wywołało w niej odkrycie, że sprawia Jackowi tak wiele bólu.

- Gransden powiedział mi, że dziś po południu wyjeżdża. Zdaje się, że wezwano go w jakiejś pilnej sprawie.

- Wobec tego nie możemy go zatrzymywać.
- Nie możemy... - Zawahał się. - Muszę również przeprosić cię za to, co powiedziałem wczoraj rano. To było nieprawdziwe i okrutnie. I zupełnie niepotrzebne.
- Rzeczywiście - przyznała Olivia. Spojrzała mu w oczy. - Ale i ja byłam bardzo szorstka, Jack. Mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Czy już wierzysz, że nie pragnę żadnego mężczyzny oprócz ciebie?
- W głębi serca zawsze to wiedziałem, Olivio. To zazdrość mnie zaślepiła. Wszystko przez tę straszną sytuację, w jakiej się znaleźliśmy.
- Myślisz, że tego nie rozumiem? - Jej oczy zwilgotniały od łez. - Oboje cierpimy... - Jack milczał, najwyraźniej nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Olivia zrozumiała, że musi mówić dalej, jeśli chce oszczędzić Jackowi bólu. - Chyba powinnam pojechać w odwiedziny do lady Burton i poczekać tam, aż zdecydujemy, co dla nas będzie najlepsze. Nikt nie będzie się dziwił, że chcę mieć pewność, czy ciotka szczęśliwie dotarła do domu.

Bolesny grymas przemknął mu po twarzy i Olivia pozałowała swoich słów, ale było za późno, by je cofnąć.

- Nie chcę rozwodu, Jack. Tylko trochę czasu na zagojenie ran, które sprawiają nam tyle cierpienia.

Jack skłonił głowę. Wyraz twarzy miał nieprzenikniony.

- Naturalnie. To bardzo słuszna sugestia, Olivio

Tak może być najlepiej dla nas obojga. - Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Zamknęła oczy, nagle bowiem przygniótł ją wielki ciężar. Jak go znieść? Jej życie właściwie się skończyło. Już nigdy nie będzie szczęśliwa. Jak mogłaby zaznać szczęścia, mieszkając z daleka od kochanego mężczyzny? Ale nie mogła też znieść widoku jego rozpaczony i świadomości, że jej bliskość sprawia mu cierpienie.

Podniosła głowę. Jeśli muszą się rozstać, niech się to stanie jak najszybciej. Przedłużanie tej męki tylko zwiększy ich ból. Za bardzo kochała Jacka, by go niszczyć. Postanowiła, że każe spakować swoje rzeczy i z samego rana wyjedzie.

- Żegnam panią z żalem - zakomunikował tego samego dnia wicehrabia Gransden. - Czy przeprosi pani w moim imieniu Stanhope'a, że nie poczekałem, by pożegnać się osobiście?

- Naturalnie - odrzekła Olivia. - O ile wiem, miał pilną sprawę do załatwienia z dzierżawcą. Na pewno będzie bardzo żałował, że nie zdążył wrócić przed pańskim odjazdem.

Gransden skinął głową.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli byłem zbyt natarcywy. To jest moja wada: zawsze muszę naciskać do granic możliwości. Obawiam się, że dotąd zbyt często udawało mi się postawić na swoim i to nie wyszło mi na dobre. Proszę mi jednak wierzyć, że w przyszłości będę pani

przyjacielem. Nie wspomnę nikomu ani słowem o tym, co tutaj się wydarzyło. Naprawdę uważam, że Stanhope jest szczęśliwym człowiekiem, mając taką żonę.

- Teraz jest pan bardzo miły, wybaczam mu więc drobne nieporozumienie, które zaszło między nami.

Przesłała mu uśmiech. Bądź co bądź, był jednak czarującym mężczyzną, a poza tym nie on pierwszy próbował ją uwieść. Podała mu rękę. Uścisnął ją lekko, potem odwrócił się i wyszedł z pokoju. Chwilę później Olivia chciała wyruszyć na poszukiwanie ciotki, zatrzymała ją jednak pani Jenkins.

- Przepraszam, że przeszkadzam, milady, ale parę minut temu był tu jeden ze stajennych. Rany goją się Brutusowi dobrze, ale... - Zrobiła smutną minę. - Biedak w ogóle nie chce jeść. Zdaje mi się, że tęskni za milady.

- Och, biedny Brutus! - krzyknęła Olivia, przejęta wyrzutami sumienia. - Tak bardzo zajęły mnie inne sprawy, że nie byłam u niego dwa dni. Natychmiast to naprawię.

Pani Jenkins uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Tak też sądziłam, milady. Posłałam Rosie po pani szal i zapakowałam dla tej bestii koszyk ze smakołykami, które mogą poprawić apetyt. - Obejrzała się, bo zapukano i do pokoju weszła służąca z szalem. - O, jesteś, Rosie. - Wzięła od niej okrycie i otuliła nim Oliwię. - Po południu zerwał się chłodny wiatr. Zdaje się, że idzie jesień. Lepiej, żeby milady się nie przeziębila.

- Dziękuję za troskliwość. - Olivia uśmiechnęła się do niej. Wiedziała, że będzie tęsknić za panią Jenkins, kiedy wyjedzie z Briarwood. - Zamierzam towarzyszyć lady Burton w jej drodze powrotnej do domu. Czy może pani polecić, żeby spakowano moje rzeczy na jutro rano?

- Czy milady zabawi tam długo?

Olivia zawahała się. Nie chciało jej przejść przez gardło, że w ogóle nie wróci. Poza tym po resztę rzeczy zawsze mogła posłać później.

- Jeszcze nie wiem - odrzekła. - Tymczasem wystarczy mi zwykły kuferek.

- Dobrze, milady. Zaraz wydam niezbędne polecenia.

Olivia uśmiechnęła się, ale w oczach miała smutek. Nawet nie zastanowiła się, co zrobić z Brutusem, jeśli wyjedzie z Briarwood, a przecież taki wielki pies z pewnością nie mógł znaleźć miejsca w domku lady Burton w Bath. Był przyzwyczajony do swobodnego biegania po włościach i z pewnością czułby się jak w pułapce, gdyby nagle pozbawiono go tej możliwości.

Chyba musiała zostawić Brutusa na miejscu i liczyć na to, że pies z czasem ją zapomni, podobnie jak Jack. Ona zresztą też musiała o nich zapomnieć.

Zostawiwszy konia w stajni, Jack ruszył z ponurą miną w stronę domu. Zamierzał wrócić wcześniej i pożegnać Gransdena, ale sprawa nieoczekiwanie się prze-

ciągnęła. A jego przyjaźń z Leanderem Gransdenem została wystawiona w ostatnich dniach na ciężką próbę i może nawet była już nie do uratowania.

Od początku wiedział, że pożałuje swojego zachowania. Nawet nie przypuszczał, że jest do czegoś takiego zdolny, ale skutek wymuszonej abstynencji przestał panować nad swoimi uczuciami. Naturalnie Gransden był znanym flirciarzem i należało się spodziewać, że wykaże zainteresowanie Olivią, bo taka kobieta nie mogła nie przyciągać uwagi mężczyzn. Jack nie był jednak zazdrosnym człowiekiem i w innych okolicznościach zareagowałby raczej rozbawieniem niż złością na uwodzicielskie wysiłki Gransdena. Wiedział zresztą dobrze, że próby te do niczego nie doprowadziły.

Wcale nie był tak bardzo pijany, jak zdawało się Olivii, a chociaż oczy miał zamknięte, a w głowie trochę mu się kręciło, to doskonale słyszał, co się dzieje. Tylko energiczna reakcja jego żony przeszkodziła mu w natychmiastowym wyładowaniu wściekłości, chociaż potem dostrzegł również komiczną stronę całego zdarzenia.

Rano liczył jeszcze na to, że może przeprosinami uda mu się ocalić małżeństwo, ale słowa Olivii nie pozostawiły mu nadziei.

W zasadzie był na to przygotowany, odkąd dowiedział się o obłudzie ojca, ale nagle, gdy Olivia uznała konieczność życia w separacji, zrozumiał, że nie może pozwolić na takie rozwiązanie. Musiał znaleźć inne...

Z zamyślenia wyrwał go widok znajomego powozu przed domem. Najprawdopodobniej należał do earla Heggana.

Serce zabiło Jackowi mocniej. Zamiast odpowiedzieć na list, dziadek przyjechał osobiście. Wreszcie prawda wyjdzie na jaw, nawet jeśli jest trudna do przyjęcia. Jack bardzo liczył na to, że znając prawdę, wymyśli, co zrobić, by zapewnić bezpieczną przyszłość Olivii.

Wszedł szybko do domu i niecierpliwym gestem zbył Jenkinsa.

- Tak, wiem, że przyjechał earl. Czy czeka w salonie?

- Tak, milordzie.

- Czy milady mu towarzyszy?

- Nie, milordzie. Zdaje mi się, że milady wyszła z domu.

Jack skinął głową, ale nie wypytywał Jenkinsa dalej. Bardzo spieszyło mu się do spotkania z dziadkiem. Nareszcie skończy się niepewność.

Lord Heggan stał przy oknie i wpatrywał się w dal. Po wejściu Jacka odwrócił się i zmarszczył czoło.

- Proszę mi wybaczyć, sir. Gdybym wiedział, że...

Earl powstrzymał jego próbę wyjaśnienia uniesieniem ręki.

- Nie ma potrzeby, Jack. To ja powinienem prosić cię o przebaczenie. Obawiam się, że przeze mnie wiele wycierpiałeś...

- A więc to prawda? - Jack pobladł. Miał nadzieję, że earl zaprzeczy jego przypuszczeniu, ale starzec był głęboko zakłopotany. - Nie czyni sobie wyrzutów, sir. Ożeniłem się z własnej woli...

- I moim zdaniem była to najlepsza decyzja, jaką kiedykolwiek podjąłeś. Nie musisz się obawiać, że skończysz tak samo jak Stanhope. Jeśli to cię trapi, możesz być spokojny.

- Czy to znaczy, że jego obłąd nie był dziedziczny?
- Jack nie wierzył własnym uszom. - Czyżby Stanhope zapadł na jakąś ciężką chorobę?

- Nie powiedziałbym. Odziedziczył te skłonności po rodzinie twojej prababki. Moja biedna Mary nie ucierpiała z tego powodu, ale przekazała skłonności synowi, tak samo jak jej babka. Tę chorobę przenosiły kobiety, ale objawiała się ona w swej najgorszej postaci u mężczyzn. Słyszałem, że w obłąd popadło również kilku jej wujów i kuzynów, choć naturalnie dowiedziałem się o tym dopiero po urodzeniu Stanhope'a.

Jack stracił nadzieję.

- To znaczy, że i ja jestem skazany na tę chorobę w późniejszym wieku. I mogę przekazać ją synowi...

- Nie. W twoich żyłach płynie inna krew.

- Nie rozumiem, sir... chyba że nie jestem synem Stanhope'a. - Jack zmarszczył czoło, wyczytał bowiem odpowiedź z oczu dziadka. - Czy to znaczy, że moja matka była przy nadziei, kiedy poślubiła Stanhope'a?

- Nie jesteś synem ani lorda, ani lady Stanhope.

- Earl ciężko westchnął. - Wybacz mi, Jack, że tak długo trzymałem to przed tobą w sekrecie, ale nie mogłem inaczej. Milczenie było ceną, jaką musiałem zapłacić, by mieć pewność, że lady Stanhope uzna cię za swojego syna.

Jack jeszcze nie otrząsnął się z oszołomienia.

- Obawiam się, że nie rozumiem. Jeśli nie jestem ich dzieckiem, to czym?

- Jeszcze się nie domyśliłeś? - Earl wydawał się w tej chwili bardzo stary i zmęczony. - Wybacz mi, ale muszę usiąść. Twój list dotarł do mnie dopiero w Irlandii, dokąd przesłano go ze Stanhope. Ostatnio nie czułem się dobrze, ale jechałem tu co koń wyskoczy, bo wiedziałem, jak bardzo musi dręczyć cię myśl, że jesteś potomkiem mojego syna.

- Usiądź, sir, proszę. Może podać ci szklaneczkę brandy?

- Tak, proszę. - Przytknął dłoń do klatki piersiowej, poczekał, aż Jack naleje mu trunku z karafki stojącej na kredensie, a potem na chwilę zamknął oczy.

- Jeśli jesteś chory, nasza sprawa może poczekać.

- Nie, nie. - Lord Heggan uniósł powieki. - Powiniennem być ci to powiedzieć przed wieloma laty, ale wiązało mnie dane słowo. Długo wydawało się, że Stanhope nie ma poważnych objawów choroby, a ponieważ nie był w stanie spłodzić dziedzica, liczyłem na to, że będzie można na zawsze utrzymać to w tajemnicy. Teraz jednak muszę wyjawić ci prawdę. Jesteś moim synem, Jack, a nie Stanhope'a. Spłodziłem cię już u schyłku

męskiego wieku. Możesz więc zapomnieć o swoich lękach, bo w mojej rodzinie nigdy nie było najmniejszego śladu szaleństwa. Przysięgam.

- Twoim synem? - Jackowi krew odpłynęła z twarzy. - Ale nie synem lady Heggan?

- Nie, nie biednej Mary - powiedział earl i kąciakiem oka uronił łzę. - Po narodzinach Stanhope'a Mary powiedziała mi prawdę i błagała, żebym nigdy więcej nie odwiedzał jej w łóżu. Obawa o to, że jej syn popadnie w obłąd, uczyniła z niej kalekę. Twoja matka była poczciwą kobietą, Jack. Nie piękną, lecz czułą i pełną ciepła. Helen dała mi mnóstwo szczęścia. Pochodziła z dobrej rodziny, zbiedniałej jednak przez hazard. Zatrudniłem ją jako damę do towarzystwa mojej żony, z czasem jednak stała się dla mnie kimś znacznie ważniejszym. Bardzo ją pokochałem i kiedy umarła kilka godzin po twoim urodzeniu, przysięgłem, że jej syn odziedziczy wszystko, co mam do przekazania.

- Ale pochodzę z nieprawego łóża - powiedział Jack. - Gdyby Stanhope miał syna...

- W tym czasie wiedziałem już, że Stanhope zarzuca żonie bezpłodność. Zdaje się, że źle ją traktował, chociaż ona nigdy mi się nie poskarżyła.

- Raz widziałem, jak ją pobił i zgwałcił - potwierdził przypuszczenie ojca Jack. - Byłem wtedy jeszcze mały i nie mogłem go powstrzymać. Potem zdawało mi się, że ona ma o to do mnie pretensje. Sądziłem, że właśnie z tego powodu odwróciła się ode mnie.

- Kiedy zawarliśmy umowę, ona rozpaczliwie chciała mieć dziecko. Sądziłem, że to jest naturalna tęsknota kobiety, ale być może chciała w ten sposób zapewnić sobie spokój i w pewnym stopniu uwolnić się od Stanhope'a. Kazała mi przysiąc, że nie będę się wtrącał do twojego życia i że nikt nigdy się nie dowie prawdy o tobie.

- Ale jak jej się udało oszukać Stanhope'a? Przekonać go, że to on jest ojcem?

- Ona wówczas często bywała w domu sama. Minęło sześć miesięcy, zanim pojawił się mąż. A że zawsze była postawna, wystarczyło sprowadzić akuszerkę, która oświadczyła, że pani jest przy nadziei. Ciebie po prostu ukradkiem podrzuciliśmy do jej sypialni. Lady Stanhope dużo krzyczała, służby nie dopuściliśmy do pokoju. U niektórych kobiet prawie nie widać oznak błogosławionego stanu, a są nawet takie, które dowiedziały się o nim niedługo przed porodem. - Earl urwał, by zacerpnąć tchu. - Poza tym Helen miała mało przyjaciół, nikogo naprawdę bliskiego. Jej matka nie żyła, tylko ojciec czasem ją odwiedzał. Sir Joshua mógł coś podejrzewać, często miałem wrażenie, że domyśla się prawdy. Ale nigdy nie dał po sobie poznać, że nie uważa się za twojego dziadka.

- Zawsze darzył mnie miłością - powiedział Jack i zmarszczył czoło. - Wolałbym nie mieć przekonania, że zostałam oszukany.

- Myślisz o majątku, który ci zostawił? Możesz być

spokojny, Jack. On nie miał nikogo innego, żeby obdarzyć go taką miłością jak ciebie.

- A więc jestem twoim synem? - Jack wciąż nie mógł w to uwierzyć, ale powoli zaczynał rozumieć, że chmura zaciemniająca jego życie bezpowrotnie odpływa. - I na pewno nie przekażę synowi obłądu Stanhope'a?

- Nikt nie może przepowiedzieć przyszłości z absolutną pewnością, ale masz taką samą szansę spłodzić zupełnie zdrowe dzieci jak każdy inny mężczyzna.

- Nikt nie może przepowiedzieć przyszłości z absolutną pewnością... - powtórzył Jack. - Olivia powiedziała mi coś podobnego.

- To jest nie tylko piękna, lecz również bardzo rozadna kobieta. Los się do ciebie uśmiechnął, że ją zna-

lazłeś, Jack.

- Wiem.

- Mam nadzieję, że nie przysporzyłeś żonie strapiień niedorzecznymi domysłami - powiedział starzec. Ale wyraz twarzy Jacka wystarczał za odpowiedź. - No, skoro tak, to lepiej natychmiast jej poszukaj, niech odechnie z ulgą.

- Dobrze... ojciec. - Jack nagłe dał się ponieść uczuciom. Przykląkł przed earlem i ujął jego słabą już rękę. - Straciłeś wiele sił, żeby tu przyjechać i wszystko mi opowiedzieć. Nigdy nie zdołam dostatecznie wyrazić ci mojej wdzięczności.

- Pleciesz androny - obruszył się earl. - Wprawdzie

tymczasem jestem trochę zmęczony, ale ufam, że jeszcze dożyję narodzin wnuka. Wynoś się teraz i znajdź jak najszybciej tę uroczą pannę, którą poślubiłeś. Kiedy jej wytłumaczysz co trzeba, możesz ją do mnie przyprowadzić. Chcę jej powiedzieć, że przypomina mi moją Helen. Wprawdzie tylko z uśmiechu, ale jednak.

- Zaraz ją tu przyprowadzę - obiecał Jack i ucałował rękę ojca. - Cieszę się, że w końcu powiedziałaś mi prawdę. Może uda nam się nadrobić te stracone lata.

- Może - odrzekł szorstko lord Heggan. - Cokolwiek myślisz o mnie, Jack, uwierz mi, że zawsze cię kochałem. Tysiące razy żałowałem, że oddałem cię na wychowanie Stanhope'om, ale gdybym chciał cię odebrać, oznaczałoby to przekreślenie należnych ci praw.

- Tytuły niewiele znaczą, sir - stwierdził Jack. - Ważni są ludzie, których się kocha.

- Wobec tego nie trać więcej czasu i przyprowadź tu tę gołąbkę.

- Zaraz znajdę Olivię - obiecał Jack i wstał. - Niech Bóg cię błogosławi i zachowa jak najdłużej. Ofiarowałeś mi najwspanialszy dar z możliwych.

Starzec skinął głową i oparł się wygodniej, gdy jego syn prawie wybiegał z pokoju. A więc udało mu się przybyć w porę i tylko to miało teraz znaczenie. Szczęściu Jacka nic już nie stało na przeszkodzie, a on mógł spokojnie odejść. Modlił się jednak, by pozostać wśród żywych jeszcze do dnia, gdy zobaczy dziecko Jacka na rękach jego pięknej żony.

Jack czuł się tak, jakby nagle wyrosły mu skrzydła. Przeskakując po dwa stopnie, pędził do pokoju żony. Wreszcie mógł pokazać Olivii, jak bardzo ją uwielbia, mógł ją do woli tulić i całować, mógł ją zapraszać do łóżka, ilekroć przyjdzie im na to ochota. Cień, który tak długo kładł się na jego losach, nagle zniknął. Przez całe życie Jack wiedział, że Stanhope go nienawidzi, wyczuwał, że matka go nie kocha, chociaż gdy był mały, często okazywała mu życzliwość. Dopiero gdy dorósł, ochłodziła w swych uczuciach. Ale czy mógł ją za to winić, skoro miała takie życie?

Człowiek, którego do niedawna uważał za swojego ojca, musiał podejrzewać, że żona zdradziła go z innym mężczyzną. Przecież w następnych latach Stanhope nie spłodził kolejnego dziecka, a wcześniej zarzucał żonie, że jest bezpłodna. Czyżby potem doszedł do wniosku, że to on nie może mieć dzieci i że -żona dopuściła się cudzołóstwa?

To rzecz jasna nie usprawiedliwiało jego zachowania wobec żony, ale wyjaśniało, dlaczego znienawidził i ją, i jego, Jacka. A potem popadł w obłąd i całkiem stracił władzę odróżniania złego od dobrego, stał się żalosnym potworem. Niespodziewanie Jack poczuł, że w pewnym sensie współczuje Stanhope'owi.

W sypialni zastał służącą Oli vii pakującą rzeczy.

- Gdzie mogę znaleźć moją żonę? - spytał.

- Nie wiem, sir - odrzekła Rosie. - Wyszła już

dość dawno, wtedy kiedy wyjeżdżał wicehrabia Gransden...

Serce Jacka przeszły bolesny skurcz. Może wyjechała razem z Gransdenem?! I to on sam wypędził ją z domu zazdrością i oschłym traktowaniem. A teraz spóźnił się! Tak bardzo ją kocha, a ona wyjechała.

- Zdaje mi się, że milady jest w stajni - ciągnęła Rosie, nieświadoma ciosu, jaki zadała swemu panu. - U tego psiska.

- W stajni? Dzięki Bogu! - wykrzyknął Jack, czym całkowicie zaskoczył służącą. Zaraz potem zmrużył oczy, uświadomił sobie bowiem, co robi Rosie. - Po co pakujesz rzeczy pani?

- Pani Jenkins kazała mi zapakować jeden nieduży kufer - wytłumaczyła Rosie, przestraszona gniewnym wyrazem twarzy Jacka. - Milady zamierza towarzyszyć lady Burton w drodze powrotnej do domu, milordzie.

- Ach, tak, naturalnie. - Jack skinął głową. - Coś o tym wspominała.

Odwrócił się i szybko opuścił pokój. Wybiegł na dwór. Lęk, że Olivia wyjechała, że ją stracił, wciąż go dręczył, ale nagle zobaczył żonę wracającą od strony świątyni dumania razem z Brutusem.

- Olivio! - zawołał i wkrótce znalazł się przy niej. - Nie wiedziałem, gdzie jesteś, Niepokoiłem się. Chyba nie poszłaś znowu do lasu?

- Nie, chociaż podobno włóczęgów już nie ma.

- To prawda. Wątpię, czy kiedyś wrócą. - Jack wo-

łał przemilczeć, że człowiek, który ją napadł, wykrwa-
wił się na śmierć, pogryziony przez wiernego Brutusa.
Nie chciał przerazić jej tą wiadomością. - Ale w każ-
dym razie zawsze bierz z sobą psa, gdy odchodzisz
gdzieś dalej. Obiecujesz mi?

- Obiecuję. - Czyżby zapomniał, co uzgodnili? Oli-
vii serce zabiło żywiej, gdy dostrzegła radość w oczach
Jacka. Ostatnio widziała go takim w Camberwell. -
Wzięłam Brutusa na spacer, bo za mną tęsknił.

- Ja też tęskniłem za tobą, Olivio. - Podeszedł o krok
bliżej, błagając wzrokiem, by się przypadkiem nie od-
wróciła. - Bardzo cię kocham, najdroższa. Wybacz mi
ten ból, jaki musiałaś znosić przeze mnie po ślubie. Bła-
gam cię, kochaj mnie. Będę bardzo się starał, żeby już
nigdy umyślnie cię nie skrzywdzić.

- Tym razem nie zrobiłeś tego umyślnie - szepnęła
wzruszona. Po jej ciele przebiegł miły dreszczyk, gdy
mąż pogłaskał ją po policzku. - Co się stało, Jack?
Widzę, że zaszła wielka zmiana. Już nie boisz się mnie
dotykać.

- Przedtem bałem się wyłącznie ze względu na cie-
bie - powiedział. - Bałem się, że mój dotyk cię zbez-
cześci, zniszczy twoją urodę.

- Nigdy tak nie myślałam. Nie jesteś szalony, Jack.
Nawet jeśli twój ojciec był szalony pod koniec życia,
to choroba cię nie dotknęła.

- To prawda. Jego choroba mi nie grozi - odrzekł
Jack - ponieważ nie jestem jego synem. Jestem synem

naturalnym earla Heggana, a nie wnukiem. Obłąd był dziedziczony w rodzinie lady Heggan, a ponieważ w moich żyłach nie płynie jej krew, nic mi nie grozi. Moja matka była podobno poczciwą kobietą z dobrej rodziny, damą do towarzystwa lady Heggan.

- Och, Jack. - Łzy napłynęły do oczu Olivii. - Och, mój drogi! Wiem, ile to dla ciebie znaczy... ile to znaczy dla nas obojga.

- Czy możesz więc wybaczyć mi zazdrość i moją oschłość, Olivio? Czy nie zabiłem twojej miłości?

- Jak mogłeś nawet tak pomyśleć? - spytała, ale gdy pochwyciła jego spojrzenie, zrozumiała lęk drzemiący w jego oczach. - Chciałam wyjechać dla twojego dobra, Jack. Po prostu rozumiałam, jak ci ciężko. Musiałeś się upić, żeby zapomnieć o rozpaczach. Wiem dobrze, że żylibyśmy obok siebie, mijałyby lata i z czasem byś mnie znienawidził. Dlatego uznałam, że powinniśmy się rozstać.

- Nigdy nie mógłbym cię znienawidzić, Olivio. Jesteś spełnieniem moich najskrytszych marzeń. Dzięki tobie dowiedziałem się, jak można kochać. A myślałem, że nigdy nie przeżyję prawdziwej miłości. Namietność tak. Przyjaźń też. I jedno, i drugie znam dobrze. Ale nigdy nikogo nie kochałem tak jak ciebie. Wolałbym umrzeć, niż żyć bez ciebie, kochana.

- To znaczy, że będziesz żył, póki oboje się nie zestarzejemy - powiedziała wesoło. - Bo ja nie zamierzam cię opuścić, Jack. Nigdy.

- Dopóki obiecujesz wrócić, mogę znieść krótkie rozstanie. Lady Burton na pewno oczekuje, że dotrzymasz słowa i odwieziesz ją do domu, moja kochana.

- Tak, ale byłoby jej na pewno przyjemniej, gdybyś i ty z nami pojechał - zapewniła go Olivia. - Ona cię lubi, Jack. Jest szczęśliwa, że się znaleźliśmy, tak mi powiedziała.

- Ona mnie lubi z wzajemnością - odrzekł Jack, w skupieniu wpatrując się w jej twarz. - Początkowo zastanawiałem się, Olivio, czy postąpiłaś rozsądnie, zapraszając ją tutaj, ale kiedy przyjrzałem się wam razem, zobaczyłem, że wiele was łączy. Naturalnie możemy odwieźć twoją ciotkę do domu razem i spędzić u niej kilka dni. Pewnie chciałybyś zobaczyć się również z przyjaciółkami.

- To byłoby bardzo przyjemne - zgodziła się Olivia.
- Ale równie dobrze mogłabym zostać tutaj. Poza tym chyba nie zapomniałeś, że obiecałeś mi wycieczkę do Włoch?

W oczach skrzyła jej się radość. Jack objął ją w talii i razem ruszyli w stronę domu.

- Nie zapomniałem - zapewnił. - Jeśli chcesz, pojedziemy jesienią za granicę. Co tylko powiesz, kochanie, postaram się spełnić.

- Czy to znaczy, że zamierzasz mnie rozpieszczać?
- Przekrzywiła głowę. - Bo jak wiesz, byłam bardzo rozpieszczonym dzieckiem. Potem zaczęłam pracować nad sobą, ale czuję, że wkrótce wrócę do dawnych

zwyczajów. Chyba zrobiłbyś lepiej, gdybyś mnie bił, Jack.

- Och, nie - powiedział cicho i przyciągnął ją do siebie. - Tego nigdy nie zrobię, moja kochana, możesz być pewna.

Olivia lekko odchyliła głowę i Jack zaczął delikatnie ją całować. Wiedziała, że nigdy umyślnie jej nie skrzywdzi. Przez ostatnie tygodnie poznała jego prawdziwą naturę i przekonała się, jakim jest czułym i troskliwym mężczyzną.

- Wobec tego nie pozostaje mi nic innego, jak pozwalać się rozpieszczać. - Przesłała mu uśmiech. - A to, jak rozumiem, znaczy, że pozwolisz mi wziąć w podróż Brutusa.

- To bydlę? - Jack zerknął na psa, który przyglądał im się z dużym zainteresowaniem. - Mam nadzieję, że nie każesz mi dzielić z nim miejsca w powozie?

- Och, nie. Może podróżować razem z moimi bagażami i służącą, chociaż nie z Rosie. Ona go nie lubi. Poproszę kogo innego ze służby, żeby z nami pojechał.

- A biedną Rosie zostawisz? - Jack zrobił zdziwioną minę. - Wydaje mi się, że ona wołałaby zaprzyjaźnić się z Brutusem, niż zostać w domu.

- Czy to znaczy, że mogę wziąć psa?

- A czy on pozwoliłby nam wyjechać? - Jack zaśmiał się cicho. Ten dawno niesłyszany dźwięk sprawił Olivii wielką radość. - Ale jeśli wyobrażasz sobie, że znajdziesz miejsce w naszej sypialni, to oboje się mylicie.

- Wydaje mi się, że on nie będzie tego aż tak bardzo żałował - powiedziała Olivia. - Pod warunkiem, że damy mu soczystą kość. - Lekko pocałowała Jacka w usta. - Już lepiej wejdźmy, kochanie, do domu, zanim cała służba przestanie pracować i zgromadzi się, żeby popatrzeć, jak państwo czują się w ogrodzie.

Jack wybuchnął głośnym śmiechem, nagle zauważył bowiem, że obserwuje ich już kilka par oczu.

- Wygląda na to, że nikt tutaj nie ma nic do roboty - powiedział donośnie. - Najwyraźniej zatrudniam zbyt wielu ludzi.

Olivia zachichotała, bo mężczyźni natychmiast zaczęli się krzątać. Uśmiechnęła się do Jacka i objęci weszli do domu.

Jack leżał w łóżku i przyglądał się Olivii szczotkującej włosy. Ich małżeństwo trwało już prawie trzy miesiące. Właśnie wrócili do domu po odwiedzinach u earla w Irlandii.

- I co, kochanie? Na kiedy planujemy wyjazd do Włoch? - spytał Jack, wyciągając rękę, żeby podrapać Brutusa za uchem. - Czy mam rozpocząć przygotowania?

Olivia odłożyła szczotkę na toaletkę i popatrzyła na niego. Po chwili wahania podeszła do łóżka. Nieco odsunęła Brutusa, żeby zdobyć miejsce przy Jacku.

- Nie powinieneś go tak rozpieszczać - skarciła go z przekornym uśmiechem.

- On ostatnio w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Idzie na swoje posłanie tylko wtedy, kiedy ty każesz mu to zrobić.

Olivia parsknęła śmiechem.

- Och, mój biedny Jack - szepnęła i pochyliła się nad jego ustami. - Czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybyśmy trochę odłożyli podróż? Beatrice chce, żebyśmy spędzili święta w Ravensden.

- Jest mi wszystko jedno, gdzie jesteśmy, bylebym miał ciebie. - Uniósł brwi. - Ale zdaje mi się, że to ty marzyłaś o długiej podróży?

- Może kiedyś - powiedziała. - Teraz jednak nie byłoby to chyba rozsądne. - Uśmiechnęła się do niego czule. - Bo widzisz, zdaje mi się, że będziemy mieli dziecko, którego tak pragnie twój ojciec.

- Moje dziecko? - Jack nagle się wyprostował, a Brutus spojrzał na niego z wyrzutem. - Naprawdę, Olivio?

- Cieszysz się, Jack?

- Znasz odpowiedź. - Pogłaskał ją po policzku. - Oczywiście, że chcę tego dziecka, ale tak szybko... Nie masz nic przeciwko temu?

- Jestem bardzo szczęśliwa - powiedziała i potrząsnęła głową, żeby odgarnąć włosy. Potem obwiodła palcem zarys jego ust. - To mogło się stać tamtego pamiętnego popołudnia.

- Dzięki Bogu, że nie wiedzieliśmy o tym, zanim oj-

ciec powiedział mi prawdę - powiedział Jack i mocno ją przytulił.

Olivia odwzajemniła uścisk, a potem wstała.

- Chodź, Brutus - powiedziała, otwierając drzwi garderoby. - Czas pomaszerować na swoje postanie.

Brutus posłusznie wstał, polizał rękę, która zawsze nagradzała go ostatnią pieśczołą na dobranoc, i znikł w czeluściach garderoby.

Olivia zamknęła drzwi i wróciła w objęcia męża.

*Kolejne książki Z serii Harlequin Romans Historyczny
ukazą się 13 października,
ale już w tym. miesiącu zachęcamy do przeczytania
pierwszego rozdziału powieści
Elizabeth Bailey W kręgu pozorów*